

Roger Zelazny



ATUTY ZGUBY

ROGER ZELAZNY

ATUTY ZGUBY

**Pierwszy tom z cyklu
„The Second Chronicles of Amber”**

Tłumaczył: Piotr W. Cholewa

**Wydanie polskie: 2001
Wydanie oryginalne: 1985**

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

Rozdział 1

To paskudne uczucie, kiedy czekasz, aż ktoś spróbuje cię zabić. Ale był 30 kwietnia, więc musiało się to zdarzyć, jak zwykle. Nie od razu zrozumiałem, w czym rzecz, ale teraz wiedziałem przynajmniej, że muszę się pilnować. Przedtem byłem zbyt zajęty, żeby coś z tym zrobić. Teraz jednak skończyłem pracę, zostałem już tylko z tego powodu. Czułem, że zanim odjadę, powinienem wyjaśnić tę sprawę.

Wstałem z łóżka, wpadłem do łazienki, wziąłem prysznic, umyłem zęby i tak dalej. Znów zapuściłem brodę, więc nie musiałem się golić. Nie trzęsły mną dziwne lęki, jak dawniejszego 30 kwietnia, trzy lata temu, kiedy obudziłem się z bólem głowy i złym przeczuciem; otworzyłem wszystkie okna i zajrzałem do kuchni: wszystkie palniki były otwarte i nie paliły się. Nie. Dzisiejszy dzień nie przypominał nawet 30 kwietnia sprzed dwóch lat, kiedy przed świtem zbudził mnie lekki zapach dymu. To paliło się moje mieszkanie. Mimo to trzymałem się z daleka od wszystkich lamp na wypadek, gdyby żarówki napełniono czymś łatwopalnym, i raczej pstrykałem w przełączniki niż je naciskałem. Nie zdarzyło się nic niezwykłego.

Normalnie nastawiam ekspres do kawy jeszcze poprzedniego dnia wieczorem, z włącznikiem czasowym. Dziś jednak nie miałem ochoty na kawę, której parzenia nie widziałem. Postawiłem dzbanek i czekając, aż będzie gotowa, sprawdziłem bagaż. Wszystko, co miałem tu cennego, leżało teraz w dwóch średniej wielkości skrzynkach: ubrania, książki, obrazy, kilka instrumentów, kilka pamiątek i tym podobne drobiazgi. Zamknąłem wieka. Czysta koszula, bluza, dobra książka i plik czeków podróжных trafiły do plecaka. Wychodząc oddam klucz dozorczy, żeby mógł wpuścić facetów od przeprowadzki. Wyniosą skrzynki do magazynu.

Dziś rano nie będzie przebieżki.

Popijając kawę, przechodziłem od okna do okna. Zatrzymywałem się przy każdym z nich, by rzucić okiem na ulicę w dole i budynki naprzeciwko (w zeszłym roku był to ktoś z karabinem). Myślałem o pierwszym przypadku, siedem lat temu. Szedłem sobie chodnikiem w piękny, wiosenny poranek, kiedy nadjeżdżająca ciężarówka zjechała nagle w bok i niewiele brakowało, by połączyła mnie na stałe z fragmentem muru. Zdażyłem odskoczyć i upaść. Kierowca nie odzyskał już przytomności. Wyglądało to na jeden z tych nie wyjaśnionych wypadków, które czasem wdzierają się w nasze życie.

Jednak rok później, co do dnia, późnym wieczorem wracałem do domu od mojej przyjaciółki. Napadli mnie trzej ludzie, jeden z nożem, dwaj z kawałkami rurek. Nie okazali nawet tyle grzeczności, by najpierw poprosić o portfel.

Zostawiłem szczątki pod drzwiami pobliskiego sklepu muzycznego, a kiedy zastanawiałem się nad tym po drodze, nie skojarzyłem, że to przecież rocznica wypadku samochodowego. Pomyślałem o tym dopiero następnego dnia, ale nawet wtedy uznałem, że to tylko dziwny zbieg okoliczności. Sprawa

paczki z bombą, która zniszczyła połowę sąsiedniego mieszkania, skłoniła mnie do zastanowienia, czy statystyczna natura rzeczywistości nie jest przypadkiem nieco nadwerżona w moim otoczeniu i o tej porze roku. Wydarzenia kolejnych lat zmieniły podejrzenia w pewność.

Kogoś bawiły doroczne próby zamordowania mnie.

Po prostu. Kiedy zamach się nie udawał, miałem roczną przerwę przed kolejnym podejściem. Lecz w tym roku ja także miałem chęć się pobawić.

Najbardziej martwił mnie fakt, że on, ona czy ono nigdy chyba nie był obecny na miejscu zamachu. Wolał się raczej posługiwać różnymi sztuczkami, urządzeniami czy podstawionymi ludźmi. Będę określał tę osobę symbolem S (co w mojej prywatnej kosmologii oznacza czasem „spryciarza”, a czasem „skurwiela”), ponieważ X jest zbyt często wykorzystywane. A nie mam ochoty na kontakty z zaimkami niepewnego rodzaju.

Wyplukałem filiżankę i dzbanek, ustawiłem je na suszarce, chwyciłem plecak i wyszedłem. Pana Mulligana nie było w domu, a może spał, więc wrzuciłem mu klucz do skrzynki na listy i ruszyłem na śniadanie do pobliskiego baru.

Ruch nie był zbyt duży i wszystkie pojazdy zachowywały się jak należy. Szedłem powoli, rozglądałem się i nasłuchiwałem. Słońce świeciło jasno i zapowiadał się piękny dzionek. Miałem nadzieję, że szybko załatwię całą sprawę i będę mógł cieszyć się nim w spokoju.

Bez przeszkód dotarłem do baru. Usiadłem przy oknie. W chwili gdy podszedł kelner, dostrzegłem na ulicy znajomą postać – był to dawny kumpel z klasy, potem kolega z pracy. Lucas Reynard: metr osiemdziesiąt, rudowłosa, przystojny mimo – a może dzięki – artystycznie złamanemu nosowi, o głosie i manierach handlowca, którym był.

Zastukałem w szybę. Zauważył mnie, pomachał, zawrócił i wszedł do środka.

– Merle! Miałem rację – oznajmił. Ścisnął mnie za ramię, usiadł i wyjął mi z rąk kartę. – Nie znalazłem cię w domu i zgadłem, że pewnie będziesz tutaj.

Zaczął czytać menu.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Jeśli chcą się panowie zastanowić, wrócę za chwilę – powiedział kelner.

– Nie – odparł Luke i podyktował gigantyczne zamówienie. Dodałem swoje.

– Ponieważ jesteś istotą podległą władzy przyzwyczajęń – stwierdził, odpowiadając na moje pytanie.

– Przyzwyczajęń? Prawie w ogóle tu nie bywam.

– Wiem. Ale bywałeś w chwilach napięcia. Na przykład przed egzaminami. Albo kiedy coś cię dręczyło.

– Hm – mruknąłem. Chyba miał rację, chociaż dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zakręciłem popielniczką z wytłoczoną głową jednoroźca, pomniejszoną wersją witrażu stanowiącego część ścianki działowej przy drzwiach. – Sam nie wiem czemu – wyznałem po chwili. – Ale dlaczego sądzisz, że coś mnie dręczy?

– Przypomniałem sobie te twoje paranoiczne lęki, jakie z powodu paru wypadków żywiłeś co do 30 kwietnia.

– Więcej niż paru. Nigdy ci o wszystkich nie opowiadałem.

– Więc ciągle w to wierzysz?

– Tak.

Wzruszył ramionami. Zjawił się kelner i nalał nam kawy.

– Niech będzie – zgodził się wreszcie Luke. – Czy dziś masz to już za sobą?

– Nie.

– Szkoda. Mam nadzieję, że nie utrudnia to myślenia.

Wypiłem łyk kawy.

– Żaden problem.

– To dobrze. – Westchnął i przeciągnął się. – Posłuchaj, wczoraj wróciłem do miasta...

– Jak się udał wyjazd?

– Ustanowiłem nowy rekord sprzedaży.

– Świetnie.

– W każdym razie... dopiero w pracy dowiedziałem się, że odszedłeś.

– Zwolniłem się mniej więcej miesiąc temu.

– Miller próbował cię złapać. Miałeś rozłączany telefon, więc nie mógł zadzwonić. Zaglądał nawet kilka razy, ale cię nie zastał.

– Szkoda.

– Chce, żebyś wrócił.

– Zakończyłem tutaj swoje sprawy.

– Czekaj, aż poznasz ofertę. Brady dostaje kopniaka w górę, a ty zostajesz nowym szefem Projektowania. Dwadzieścia procent podwyżki. To miałem ci od niego przekazać.

Cmoknąłem cicho.

– Szczerze mówiąc, brzmi to całkiem obiecująco. Ale, jak już mówiłem, zakończyłem tutaj swoje sprawy.

– Rozumiem... – oczy mu błysnęły i uśmiechnął się chytrze. – Czyli masz na oku coś lepszego. No dobra. W takim przypadku mam ci powiedzieć, żebyś go zawiadomił, ile płacą tamci. A on postara się ich przebić.

Pokręciłem głową.

– Widzę, że nie rozumiesz – westchnąłem. – Skończyłem. Kropka. Nie chcę wracać. Dla nikogo już nie będę pracował. Mam już dość takich zabaw. I mam dość komputerów.

– Ale jesteś naprawdę dobry. Powiedz szczerze, zamierzasz gdzieś uczyć?

– Nie.

– Do diabła, przecież musisz coś robić! Dostałeś spadek czy co?

– Nie. Zamierzam podróżować. Za długo już siedzę w miejscu.

Jednym haustem wychylił filiżankę kawy. Potem oparł się, splótł dłonie na brzuchu i lekko zmrużył powieki. Milczał przez chwilę.

– Mówisz, że skończyłeś – stwierdził w końcu. – Masz na myśli swoją pracę i życie tutaj czy może coś jeszcze?

– Nie bardzo rozumiem.

– Często znikales, jeszcze w college'u. Nie było cię przez jakiś czas, a potem nagle zjawiales się znowu. I nigdy nie chciales o tym rozmawiac. Sprawiales wrazenie, jakbys prowadzil podwójne życie. Czy twój wyjazd ma z tym coś wspólnego?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Uśmiechnął się.

– Na pewno wiesz – mruknął. A kiedy nie odpowiadałem, dodał: – No cóż, powodzenia. We wszystkim.

Wciąż w ruchu, bez chwili spokoju, bawił się kółkiem do kluczy. Piliśmy drugą filiżankę kawy, a on podrzucał i dzwonił kluczami i wisiorzkiem z niebieskim kamieniem.

Wreszcie podano śniadanie i przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Czy nadał masz „Gwiazdną Strzałę”? – zapytał.

– Nie. Sprzedałem ją zeszłej jesieni. Miałem tyle roboty, że nie wystarczało czasu na żagle. A nie chciałem, żeby stała bezczynnie.

Pokiwał głową.

– Szkoda. Niezłe na niej były imprezy, jeszcze w szkole. Później także. Przyjemnie byłoby wypłynąć jeszcze raz, żeby wspominać stare czasy.

– Tak.

– Słuchaj, widziałeś się ostatnio z Julią?

– Nie, odkąd ze sobą zerwaliśmy, nie. Wydaje mi się, że ciągle chodzi z tym facetem. z Rickiem. A ty?

– Owszem. Wpadłem do niej wczoraj wieczorem.

– Po co?

Wzruszył ramionami.

– Była z naszej paczki... a ostatnio jakoś się rozchodzimy.

– Co u niej słychać?

– Wciąż niezłe wygląda. Pytała o ciebie. I prosiła, żeby ci to przekazać.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął zaklejoną kopertę. Charakterem Julii było na niej wypisane moje imię. Rozerwałem i przeczytałem:

Merle.

Nie miałam racji. Wiem, kim jesteś. Grozi ci niebezpieczeństwo. Muszę się z tobą zobaczyć. Mam coś, co będzie ci potrzebne. To bardzo ważne. Zadzwoń albo przyjdź jak najszybciej.

Ucałowania Julia

– Dzięki – rzuciłem, chowając list do plecaka.

Wiadomość była zagadkowa i niepokojąca. W najwyższym stopniu. Później się zastanowię, co z tym zrobić. Nadal lubiłem Julię bardziej, niż chciałem to przyznać, chociaż nie byłem pewien, czy mam ochotę znowu się z nią spotkać. Ale co miała na myśli pisząc, że wie, kim jestem?

Wypchnąłem ją z pamięci.

Przez chwilę obserwowałem ulicę, piłem kawę i wspominałem, jak to na pierwszym roku w Klubie Szermierczym poznałem Luke'a. Był zdumiewająco dobry.

– Dalej walczysz? – spytałem.

– Czasami. A ty?

– Rzadko.

– W końcu nie ustaliliśmy, który z nas jest lepszy.

– Teraz nie ma już na to czasu – westchnąłem.

Zaśmiał się i kilka razy dźgnął w moją stronę nożem.

– Raczej nie. Kiedy wyjeżdżasz?

– Chyba jutro. Muszę jeszcze załatwić parę drobiazgów. Jak tylko skończę, ruszam.

– Dokąd?

– Tu i tam. Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Jesteś wariat.

– Możliwe. Kiedyś nazywali to Wanderjahr. Straciłem swój i teraz zamierzam to nadrobić.

– Szczerze mówiąc, podoba mi się ten pomysł. Może sam powinienem kiedyś spróbować czegoś takiego.

– Może. Ale zdawało mi się, że swój wykorzystałeś w ratach.

– Nie rozumiem.

– Nie byłem jedynym, który często wyjeżdżał.

– Ach, to. – Machnął lekceważąco ręką. – To było w interesach, nie dla przyjemności. Musiałem załatwiać pewne sprawy, żeby spłacić rachunki. Odwiedzisz rodzinę?

Dziwne pytanie. Do tej pory żaden z nas nie mówił o rodzicach, chyba że bardzo ogólnie.

– Raczej nie – odparłem. – A jak twoi staruszkowie?

Spojrzał mi w oczy, a jego chroniczny uśmiech stał się nieco szerszy.

– Trudno powiedzieć – wyznał. – Rzadko się kontaktujemy.

Też się uśmiechnąłem.

– Znam to uczucie.

Skończyliśmy jedzenie, wypiliśmy kawę.

– Czyli nie chcesz pogadać z Millerem? – upewnił się.

– Nie.

Wzruszył ramionami. Kelner przyniósł rachunek, a Luke schował go do kieszeni.

– Ja stawiam. W końcu to ja pracuję.

– Dzięki. Może zdążymy jeszcze zjeść razem kolację. Gdzie się zatrzymałeś?

– Zaczekaj. – Sięgnął do kieszonki koszuli, rzucił mi pudełko zapalek. – Tutaj. Motel New Line.

– Wpadnę koło szóstej.

– W porządku.

Wstał. Rozstaliśmy się na ulicy.

– Na razie – rzucił.

– Cześć.

Do widzenia, Luke Raynard. Niezwykły człowiek. Znaliśmy się już prawie osiem lat. Zaliczyliśmy parę niezłych imprez. Współzawodniczyliśmy w kilku dyscyplinach sportu. Biegaliśmy razem prawie codziennie.

Obaj byliśmy w drużynie lekkoatletycznej. Czasami spotykaliśmy się z tymi samymi dziewczynami. Zastanawiał mnie: silny, inteligentny i tak zamknięty w sobie jak ja. Łączyły nas jakieś więzy, których w pełni nie rozumiałem.

Wróciłem na parking pod moim blokiem. Zanim wrzuciłem do samochodu plecak i uruchomiłem silnik, zajrzałem pod maskę i podwozie. Jechałem wolno, oglądając wszystko, co osiem lat temu było nowe i świeże. Teraz się zegałem. Przez ostatni tydzień robiłem to samo ze wszystkimi ludźmi, którzy cokolwiek dla mnie znaczyli. Oprócz Julii.

To akurat wolałbym odłożyć na kiedy indziej. Ale nie miałem już czasu. Teraz albo wcale, a moja ciekawość została rozbudzona. Skręciłem w kompleks handlowy i znalazłem budkę telefoniczną, ale nikt nie odpowiadał, kiedy wykręciłem numer Julii. Mogła znowu pracować na dziennej zmianie, ale mogła też brać prysznic albo wyjść na zakupy. Postanowiłem pojechać do niej i sprawdzić. Mieszkała niedaleko. I cokolwiek dla mnie miała, odebranie tego będzie dobrym pretekstem, by zobaczyć się z nią po raz ostatni.

Przez kilka minut krążyłem po okolicy, zanim znalazłem miejsce, gdzie mogłem zaparkować. Zamknąłem wóz, cofnąłem się na róg i skręciłem w prawo. Dzień był trochę cieplejszy. Gdzieś niedaleko szczekały psy.

Dotarłem do wielkiego, wiktoriańskiego domu, przerobionego na blok mieszkalny. Od frontu nie było widać okien Julii. Mieszkała na najwyższym piętrze od podwórza. Idąc chodnikiem, bezskutecznie starałem się odpędzić wspomnienia. Powracały obrazy naszej znajomości, a wraz z nimi cała masa przeróżnych uczuć.

Przystanąłem. Głupio postąpiłem, przychodząc tutaj. Po co? Coś, o czym nawet nie wiedziałem? A jednak... Do diabła. Chciałem jeszcze raz ją zobaczyć. Nie cofnę się teraz. Wszedłem na schodki, minąłem ganek.

Drzwi były uchylone, więc wszedłem.

Ten sam hall. Ten sam wymęczony fiołek z zakurzonymi liśćmi w doniczce na komodzie przed lustrem w złożonych ramach – lustrem, które tyle razy odbijało nasz nieco zniekształcony uścisk. Gdy przechodziłem, moja twarz zafalowała.

Wspiąłem się na schody pokryte zielonym chodnikiem. Minąłem krótki korytarzyk, ponure ryciny i wiekowy stół, skręciłem i znów wszedłem na schody. W połowie drogi usłyszałem z góry jakieś drapanie i odgłos, jak gdyby butelka czy wazon potoczyły się po parkiecie.

Potem znów cisza, tylko lekki podmuch wiatru pod okapem. Poczulem niepokój i przyspieszyłem kroku.

Zatrzymałem się u szczytu schodów; nic nie budziło podejrzeń, ale kiedy odetchnąłem, zauważyłem jakiś dziwny zapach. Nie mogłem go zidentyfikować... pot, pleśń, może wilgotna ziemia... z pewnością coś organicznego.

Stałem przed drzwiami Julii i odczekałem chwilę. Zapach był tu silniejszy, ale niczego więcej nie usłyszałem. Zastukałem lekko w ciemne drewno. Przez moment miałem wrażenie, że coś wewnątrz się poruszyło... ale tylko przez moment. Zapukałem znowu.

– Julio?! – zawołałem. – To ja, Merle.

Nic. Zapukałem mocniej.

Coś spadło z trzaskiem. Pociągnąłem za klamkę.

Zamknięte.

Nacisnąłem, szarpnąłem i wyrwałem klamkę, płytę i cały mechanizm zamka. Natychmiast przesunąłem się w lewo, poza brzeg drzwi i framugę. Wysunąłem lewą rękę i delikatnie pchnąłem czubkami palców.

Drzwi uchyliły się o kilkanaście centymetrów i znieruchomiały. Nie doszły mnie żadne nowe dźwięki i nie zobaczyłem nic prócz pasa ściany i podłogi, z kawałkiem akwareli, czerwonej sofy i zielonego dywanu. Pchnąłem drzwi kawałek dalej. Więcej tego samego. A zapach był silniejszy.

Przesunąłem się o krok w prawo i pchnąłem znowu.

Nicnicnic...

Szybko cofnąłem ramię, gdy pojawiła się w polu widzenia. Leżała na podłodze. We krwi...

Krew była na podłodze, na dywanie, krwawe strzępy leżały w kącie po lewej stronie. Poprzewracane meble, porozdzierane poduszki...

Powstrzymałem się, by nie podbiec. Wolno zrobiłem krok, potem następny. Wytężyłem zmysły. W pokoju nie było niczego/nikogo innego.

Frakir zacisnęła mi się wokół nadgarstka. Powinienem wtedy coś powiedzieć, ale myślałem o czym innym.

Podszedłem i klęknąłem przy niej. Było mi niedobrze. Zza drzwi nie widziałem, że brakuje jej połowy twarzy i prawego ramienia. Nie oddychała, nie wyczułem pulsu w tętnicy szyjnej. Miała na sobie pokrwawiony i porwany brzoskwiniowy szlafrok. Na szyi niebieski wisior.

Kałuża krwi, która ściekała z dywanu na parkiet, była rozsmarowana i rozdeptana. Ale ślady nie należały do człowieka: zostawiły je wielkie, podłużne, trójpalczaste łapy z poduszczkami i pazurami.

Podmuchał, z którego tylko podświadomie zdawałem sobie sprawę, dochodzący z otwartych drzwi sypialni za moimi plecami, zelżał nagle, a zapach uległ wzmocnieniu.

Znowu poczułem pulsowanie na przedramieniu. Nie dobiegał najłżejszy dźwięk. Był absolutnie cichy, ale wiedziałem, że jest.

Odwracając się, zmieniłem moją klęczącą pozycję w przysiad... I zobaczyłem paszczę pełną wielkich zębów i krwawe wargi wokół nich. Obramowywały pysk należący do parusetkilowego psopodobnego stwora pokrytego szorstką, przypominającą pleśń żółtą sierścią. Uszy miał jak narośle grzyba, żółtopomarańczowe oczy rozwarte szeroko i wściekle.

Nie żywiłem wątpliwości co do jego intencji. Rzuciłem klamką, którą nieświadomie ścisnąłem w rękę. Bez widocznego efektu odbiła się od kostnego wału nad lewym okiem. Wciąż bezgłośny, stwór skoczył na mnie. Nie miałem nawet czasu, by rzucić choć słowo Frakir...

Ludzie pracujący w rzeźniach wiedzą, że na czole zwierzęcia jest punkt, który znajduje się prowadząc linię od prawego ucha do lewego oka i lewego ucha do prawego oka. Zabójczy cios wymierza się trzy, może cztery centymetry powyżej przecięcia tych linii. Wuj mnie tego nauczył. Nie pracował w rzeźni, ale wiedział, jak się zabija różne stworzenia.

Kiedy stwór skoczył, przesunąłem się do przodu i w bok, i wymierzyłem potężne uderzenie w ten śmiertelny punkt. Zwierz był jednak szybszy, niż przypuszczałem. Kiedy trafiła go moja pięść, już mnie mijał.

Mięśnie szyi pomogły mu zamortyzować siłę ciosu.

Po raz pierwszy wydał jednak z siebie jakiś głos – szczeknął. Potrząsnął głową, odwrócił się błyskawicznie i natarł znowu. Zawarczał głucho, głęboko, i wyskoczył w górę. Wiedziałem, że tym razem nie zdołam się odsunąć.

Wujek nauczył mnie także, jak chwycić psa za skórę po bokach szyi, pod pyskiem. Jeśli pies jest duży, trzeba złapać mocno i trafić właściwie. W tej chwili nie miałem prawie wyboru. Gdybym spróbował kopnąć i chybił, pewnie odgryzłby mi stopę.

Wyciągnąłem ręce w górę przed siebie, i pochyliłem się. Wiedziałem, że jest cięższy ode mnie, i musiałem jakoś wyhamować jego rozpęd.

Wyobrażałem już sobie, jak tracę palce albo dłoń, ale jakoś sięgnąłem pod szczękę, złapałem i ścisnąłem. Ręce trzymałem wyprostowane, mocniej pochyliłem się do przodu. Zaskoczyła mnie siła zderzenia, ale zdołałem jakoś je zamortyzować.

Kiedy słuchałem warkotu i patrzyłem w ociekający pysk, rozwarty o trzydzieści centymetrów od mojej twarzy, pojąłem, że nie zaplanowałem, co dalej. Walcząc z psem, mógłbym walnąć jego głową o coś twardego a poręcznego, gdyż tętnice przebiegają zbyt głęboko, by wystarczyło samo duszenie. Ale ten stwór był silny i czułem już, że od jego szamotania słabnie mój chwyt.

Nie dopuszczałem do siebie tych zębów, równocześnie odpychając go w górę. Przy okazji pojąłem, że kiedy stanie w pionie, będzie wyższy ode mnie. Mógłbym próbować kopnięcia w miękkie podbrzusze, ale pewnie straciłbym równowagę i puścił go przy okazji. A potem moje krocze byłoby odsłonięte dla jego zębów.

Wyrwał mi się z lewej ręki. Musiałem więc użyć prawej albo ją stracić. Odepchnąłem go jak najmocniej i odstałem. Szukałem broni, jakiegokolwiek broni, ale nie dostrzegłem tu niczego, co by się nadawało.

Skoczył znowu, celując w moją krtani. Zaatakował zbyt szybko i był za wysoko, żebym zdołał kopnąć go w głowę. I nie mogłem zejść mu z drogi.

Przednie łapy znalazły się na poziomie mojego brzucha. Z nadzieją, że wujek nie mylił się także w tej kwestii, chwyciłem je i z całej siły szarpnąłem w tył i do wewnątrz.

Przyklęknąłem, unikając wielkich zębów, osłaniając gardło opuszczoną brodą i odsuwając głowę. Trzasnęła kość, a on natychmiast sięgnął paszczą do moich rąk. Wtedy jednak już wstawałem,

odpychając go do przodu i w górę.

Wylądował na grzbiecie, przekreślił się i niemal odzyskał równowagę. Lecz kiedy łapy uderzyły o podłogę, wydał dziwny dźwięk pomiędzy skomleniem a warkotem i padł do przodu.

Chciałem spróbować kolejnego ciosu w czaszkę, ale poderwał się szybciej, niż sądziłem, że potrafi. Od razu podniósł prawą przednią łapę i stanął na trzech. Warczał, wpatrywał się we mnie, a ślina ściekała mu z dolnej wargi. Przesunąłem się nieco w lewo i pochyliłem, a ponieważ od czasu do czasu stać mnie na jakąś oryginalną myśl, przyjąłem pozycję, której nikt mnie nie uczył.

Atakował odrobinę wolniej. Gdybym zaryzykował, może trafiłbym w czaszkę. Nie wiem, ponieważ nie próbowałem. Znowu chwyciłem go za szyję i tym razem był to znajomy teren. Nie zdoła odskoczyć w ciągu tej sekundy, jakiej potrzebowałem. Nie hamując jego rozpędu, skręciłem ciało, przykucnąłem, pchnąłem i pociągnąłem, zmieniając mu lekko trajektorię.

Obrócił się w powietrzu i trafił grzbietem w okno.

Z trzaskiem i hukiem przeleciał na zewnątrz, zabierając większą część ramy, firankę i pręt, na którym wisiała.

Słyszałem, jak dwa piętra niżej uderza o ziemię. Kiedy wyjrzałem, dostrzegłem, że drgnął jeszcze kilka razy i znieruchomiał na betonowym patio, gdzie często nocą wychodziliśmy z Julią na piwo.

Wróciłem do niej i ująłem jej dłoń. Powoli uświadamiałem sobie własną wściekłość. Ktoś musiał za tym stać. Czyżby znowu S? Może to tegoroczny prezent na 30 kwietnia? Miałem przeczucie, że tak. I miałem też ochotę zrobić z S to samo, co z tym potworem, który dokonał mordu. Musi być jakiś powód. Powinienem szukać jakiejś wskazówki.

Wstałem, poszedłem do sypialni, wziąłem koc i nakryłem ciało. Odruchowo starłem z klamki odciski moich palców. Po czym zacząłem przeszukiwać mieszkanie.

Znalazłem je na kominku, między zegarem a stosem książek poświęconych okultyzmowi. Gdy tylko ich dotknąłem i wyczułem chłód, zrozumiałem, że sprawa jest o wiele poważniejsza, niż myślałem. Musiały być tym czymś, o czym sądziła, że jest moje i będzie mi potrzebne.

Tyle że nie były moje, choć kiedy je przerzucąłem, na jednym poziomie świadomości rozpoznałem je od razu. Na innym byłem zdumiony. To były karty. Atuty, lecz niepodobne do żadnych, jakie w życiu widziałem.

Nie miała całej talii. Właściwie tylko parę sztuk, i to bardzo dziwnych. Szybko wsunąłem je do kieszeni, gdyż z ulicy dobiegało już wycie syreny. Później przyjdzie czas na pasjansa.

Pędem zbiegłem po schodach i wypadłem tylnymi drzwiami. Nie spotkałem nikogo. Fido ciągle leżał tam, gdzie upadł, a wszystkie psy z sąsiedztwa dyskutowały na jego temat. Przeskakiwałem płoty, deptałem klomby i przebiegałem podwórza w drodze na boczną uliczkę, gdzie zaparkowałem wóz.

Po kilku minutach, całe kilometry od tego miejsca, próbowałem wytrzeć z pamięci krwawe odciski łap.

Rozdział 2

Jechałem przed siebie, póki nie znalazłem się w spokojnej, zadrzewionej okolicy. Zatrzymałem samochód, wysiadłem i ruszyłem piechotą.

Po dłuższej chwili odkryłem niewielki, pusty skwerek.

Usiadłem na ławce, wyjąłem Atuty i zacząłem je przeglądać. Niektóre wydawały się jakby znajome, ale reszta zupełnie obca. Za długo wpatrywałem się w jeden z nich i miałem wrażenie, że słyszę pieśń syren. Złożyłem je.

Nie potrafiłem zidentyfikować stylu. A wrażenie było wyjątkowo nieprzyjemne.

Przypomniałem sobie historię o światowej sławy toksykologu – omyłkowo połknął on truciznę, na którą nie było antidotum. Podstawową kwestią, jaka go wtedy interesowała, było pytanie, czy zażył śmiertelną dawkę. Zajrzał do klasycznej monografii, którą sam napisał wiele lat temu. Według książki dawka była śmiertelna.

Sprawdził w innej, napisanej przez równie znanego specjalistę. Według tej drugiej, połknął tylko połowę ilości niezbędnej, by zabić kogoś z jego masą ciała. Wtedy usiadł i czekał w nadziei, że się pomylił.

Tak właśnie się czułem, ponieważ jestem swego rodzaju ekspertem. Sądziłem, że znam prace wszystkich, którzy są zdolni do stworzenia tego typu obiektów. Chwyciłem jedną z kart, budzącą niemal znajome uczucie fascynacji.

Przedstawiała niewielki trawiasty cypel wbity w spokojne jezioro; po prawej błyszczało coś jasnego, nierozpoznawalnego. Chuchnąłem na obrazek, aż zaszedł mgłą, i puknąłem paznokciem. Zadzwieczał jak szklany dzwoneczek i ożywił się. Popłynęły migotliwe cienie, a cała scena przeskoczyła w stronę wieczoru. Przesunąłem nad kartą dłoń i wszystko znieruchomiało – znowu jezioro, trawy, dzień.

Bardzo daleko. Strumień czasu płynął szybciej w stosunku do mojego obecnego miejsca pobytu. Ciekawe.

Wygrzebałem starą fajkę, którą czasami lubię się pobawić, nabiłem, zapaliłem, pyknąłem i zadumałem się. Karty działały, czyli nie były jakimiś sprytnymi podróbkami. Wprawdzie nie rozumiałem celu, jakiemu miałyby służyć, ale nie to martwiło mnie najbardziej.

Dzisiaj był 30 kwietnia i po raz kolejny zagroziła mi śmierć. I nie spotkałem osoby, która igra sobie z moim życiem. S znowu posłużył się kimś innym. Stwór, z którym walczyłem, nie był zwyczajnym psem. Jeszcze te karty... skąd Julia je wzięła i dlaczego chciała mi oddać? Karty i pies świadczyły o działaniu potęg, których użycie przekraczało możliwości zwykłego człowieka.

Przez cały czas sądziłem, że jestem obiektem niepożądanego uwagi jakiegoś obłąkańca, z którym poradzę sobie bez kłopotu. Wydarzenia dzisiejszego ranka przesunęły problem na wyższy poziom złożoności. A to oznaczało, że mam gdzieś groźnego wroga.

Zadrzałem. Chciałbym pogadać z Luke'em, poprosić, by odtworzył ich wczorajszą rozmowę; sprawdzić, czy Julia nie powiedziała czegoś, co mogłoby dać mi wskazówkę. Chciałbym też dokładniej przeszukać jej mieszkanie. To jednak było wykluczone. Kiedy odjeżdżałem, radiowóz hamował właśnie przed wejściem. Przez jakiś czas nie będę mógł tam wrócić.

Rick. Był przecież Rick Kinsky, z którym zaczęła się spotykać po naszym rozstaniu. Znałem go z widzenia – chudy, z wąsikami, typ mózgowca w okularach z grubymi szklami i całą resztą. Prowadził księgarnię, którą odwiedziłem raz czy dwa. Poza tym nic o nim nie wiedziałem. Może on powie mi coś o kartach i w jaki sposób Julia uwikłała się w sytuację, w wyniku której straciła życie.

Myślałem jeszcze przez chwilę, po czym schowałem karty. Nie miałem zamiaru więcej się nimi bawić. Na razie. Przede wszystkim potrzebowałem informacji.

Wróciłem do samochodu. A po drodze przypomniałem sobie, że 30 kwietnia jeszcze się nie skończył. Przypuśćmy, że S nie uznał porannej potyczki za zamach wymierzony bezpośrednio we mnie. W takim przypadku miał mnóstwo czasu na następną próbę. Żywiłem też niejasne przeczucie, że jeśli podejść zbyt blisko, S zapomni o datach i skoczy mi do gardła, gdy tylko nadarzy się okazja. Postanowiłem nie zmniejszać czujności i żyć jak w stanie obłączenia, póki cała sprawa się nie rozwiąże.

A ku jej rozwiązaniu skieruję wszystkie wysiłki. Spokojne życie wymagało szybkiego zniszczenia przeciwnika. Zastanawiałem się, czy powinienem szukać pomocy.

A jeśli tak, to czyjej? Moje pochodzenie kryło masę tajemnic, o których nie miałem pojęcia...

Nie, postanowiłem. Jeszcze nie. Muszę spróbować sam wszystko załatwić. Pomijając fakt, że tak właśnie chciałem, potrzebowałem treningu. Tam, skąd pochodzę, umiejętność załatwiania nieprzyjemnych spraw jest niezbędna.

Jechałem, szukając telefonu i starając się nie myśleć o Julii takiej, jaką widziałem po raz ostatni. Od zachodu nadpłynęło kilka chmur. Zegarek tykał mi na rękę, tuż obok niewidocznej Frakir. Radio podawało wiadomości, międzynarodowe i niewesołe.

Zatrzymałem się przy sklepie i skorzystałem z telefonu, by złapać Luke'a w motelu. Nie zastałem go. Zjadłem w bufecie kanapkę, popiłem koktajlem mlecznym i spróbowałem jeszcze raz. Nic z tego.

W porządku. Później do niego zadzwonię. Ruszyłem w stronę miasta. „Zajrzyj” – tak chyba nazywała się księgarnia, gdzie pracował Rick.

Przejechałem obok i przekonałem się, że jest otwarta. Zaparkowałem kilka przecznic dalej i wróciłem pieszo. Przez całą drogę zachowywałem ostrożność, ale nie zauważyłem nikogo, kto jechałby za mną.

Dmuchał chłodny wiatr, zwiastujący deszcz. Przez szybę wystawową dostrzegłem Ricka – siedział za ladą i czytał książkę. Nikogo więcej tam nie było.

Kiedy wszedłem, nad drzwiami zadźwięczał mały dzwonek. Rick podniósł głowę, wyprostował się i otworzył szeroko oczy.

– Cześć – rzuciłem i odczekałem chwilę. – Rick, nie wiem, czy mnie poznajesz...

– Jesteś Merle Corey – odpowiedział cicho.

– Zgadza się. – Pochyliłem się nad ladą, a on odskoczył. – Pomyślałem sobie, że może mógłbyś udzielić mi kilku informacji.

– Jakich informacji?

– Chodzi o Julię.

– Posłuchaj – zaczął. – Nawet się do niej nie zbliżyłem, dopóki ze sobą nie zerwaliście.

– Co? Nie, nie, to nie o to chodzi. Te sprawy mnie nie interesują. Potrzebuję świeższych informacji. W zeszłym tygodniu próbowała się ze mną skontaktować i...

Pokręcił głową.

– Nie widziałem się z nią od paru miesięcy.

– Tak?

– Tak. Przestaliśmy się spotykać. Konflikt zainteresowań.

– Czy zachowywała się normalnie, kiedy... przestaliście się spotykać?

– Chyba tak.

Patrzyłem mu prosto w oczy. Cofnął się. Nie spodobało mi się to „Chyba tak”. Widziałem, że się mnie boi, więc postanowiłem to wykorzystać.

– Co nazywasz „konfliktem zainteresowań”? – zapytałem.

– No wiesz, zrobiła się jakaś dziwna.

– Nie wiem. Opowiedz.

Oblizął wargi i odwrócił wzrok.

– Nie chcę żadnych kłopotów – oświadczył.

– Ja też wolałbym ich unikać. O co poszło?

– No... – zaczął. – Bała się.

– Bała? Czego?

– Uhm... ciebie.

– Mnie? To śmieszne. Nigdy nie zrobiłem niczego, co mogłoby ją przestraszyć. Co mówiła?

– Nie powiedziała tego wprost, ale widziałem, jak reaguje, kiedy tylko padało twoje imię. A potem zajęła się tymi dziwactwami.

– Zgubiłem się – przerwałem. – Zupełnie. Zrobiła się dziwna? Zajęła się dziwactwami? Jakimi? Co się działo? Naprawdę nie rozumiem, a bardzo bym chciał.

Wstał i ruszył na zaplecze. Spojrzał na mnie, jakby chciał, żebym za nim poszedł. Więc poszedłem. Zwolnił, gdy dotarł do półek pełnych książek o medycynie naturalnej, zdrowej żywności, wschodnich sztukach walki, ziołolecznictwie i rodzeniu dzieci w domu, ale minął je i przeszedł do działu twardego okultyzmu.

– Tutaj – oświadczył. – Pożyczyła kilka książek, potem oddała je, pożyczyła inne...

Wzruszyłem ramionami.

– To wszystko? Co w tym dziwnego?

– Ona naprawdę się w to wciągnęła.

– Jak wiele osób.

– Pozwól mi skończyć. Zaczęła od teozofii, była nawet na kilku spotkaniach miejscowej grupy. Zniechęciła się dość szybko, ale tymczasem poznała kilka osób o całkiem innych powiązaniach. Wkrótce potem spotykała się z sufitemi, gurdjieffianami, a nawet z szamanem.

– To ciekawe – mruknąłem. – Żadnej jogi?

– Żadnej jogi. Spytałem ją o to samo. Powiedziała, że szuka mocy, nie samadhi. W każdym razie miała coraz dziwniejszych znajomych. Atmosfera zrobiła się dla mnie trochę zbyt rozrzedzona, więc powiedziałem „do widzenia”.

– Ciekawe dlaczego? – zastanowiłem się.

– Masz – powiedział. – Obejrzyj sobie.

Rzucił mi czarną książkę i odsunął się. Chwyciłem ją. To był egzemplarz Biblii. Otworzyłem na stronie z notką wydawcy.

– To jakaś szczególna edycja? – spytałem.

Westchnął.

– Nie. Przepraszam.

Zabrał mi książkę i wstawił na półkę.

– Chwileczkę – mruknął.

Wrócił za ladę i wyjął kartonową tabliczkę. Był na niej napis WYSZEDŁEM NA CHWILĘ. WRACAM 0... a obok tarcza zegara z ruchomymi wskazówkami.

Ustawił je na pół godziny od teraz i zawiesił tabliczkę na drzwiach. Potem zasunął rygiel i skinieniem ręki wskazał pokój na zapleczu.

Stało tam biurko i parę krzeseł, leżały paczki z książkami. Usiadł za biurkiem i ruchem głowy wskazał mi krzesło. Usiadłem także. Włączył automatyczną sekretarkę, zdjął z blatu stos Faktur i korespondencji, po czym otworzył szufladę i wyjął butelkę Chianti.

– Napijesz się? – zapytał.

– Chętnie, dziękuję.

Wstał i zniknął za otwartymi drzwiami małej łazienki. Zdjął z półki i wypłukał dwie szklanki. Wrócił, postawił je na biurku, nalał i pchnął jedną w moją stronę. Były z Sheratona.

– Przepraszam, że rzuciłem w ciebie Biblią – powiedział. Uniósł szklankę i napił się.

– Wyglądałeś, jakbyś się spodziewał, że zniknę w kłębach dymu.

Kiwnął głową.

– Jestem przekonany, że jej pragnienie mocy miało związek z tobą. Zajmujesz się jakąś formą okultyzmu?

– Nie.

– Czasami mówiła o tobie w taki sposób, jakbyś sam był istotą nadnaturalną.

Roześmiałem się. On też, po chwili.

– Sam nie wiem – westchnął. – Wiele jest nie wyjaśnionych zdarzeń. Oni wszyscy nie mogą mieć racji, ale...

Wzruszyłem ramionami.

– Kto wie? A więc uważasz, że poszukiwała jakiegoś systemu, który obdarzył by ją mocą do obrony przede mną?

– Takie odniosłem wrażenie.

Łyknąłem wina.

– To nie ma sensu – stwierdziłem.

Ale mówiąc to wiedziałem, że taka chyba jest prawda. A jeśli to ja pchnąłem ją na ścieżkę prowadzącą ku śmierci, to byłem po części za tę śmierć odpowiedzialny. Nagle obok bólu poczułem ciężar winy.

– Dokończ – poprosiłem.

– To właściwie wszystko – odparł. – Miałem dość ludzi, którzy bez przerwy chcieli dyskutować o kosmicznej katastrofie. Zerwałem z nią.

– I już? Znalazła właściwy system, odpowiedniego guru? Co się stało potem?

Wypił solidny łyk i spojrzał na mnie.

– Naprawdę ją lubiłem – oświadczył.

– Jestem tego pewien.

– Tarot, kabała, Złoty Świt, Crawley, fortuna... tam trafiła.

– I została?

– Nie wiem na pewno. Ale chyba tak. Dowiedziałem się o tym dużo później.

– Czyli magia rytualna?

– Prawdopodobnie.

– Kto się tym zajmował?

– Masa ludzi.

– Chodzi mi o to, kogo znalazła. Dowiedziałeś się?

– Wydaje mi się, że to Victor Melman.

Spojrzał na mnie pytająco. Pokręciłem głową.

– Przykro mi. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Dziwny człowiek – mruknął. Łyknął wina, oparł się wygodnie i splótł dłonie za głową, wystawiając łokcie do przodu. Spojrzał w stronę toalety. – Ja... słyszałem... od wielu osób, w tym kilku naprawdę godnych zaufania, że rzeczywiście coś potrafi. Podobno ma zdolności, doznał jakiegoś oświecenia, przeszedł inicjację, ma pewną moc, a czasem jest wspaniałym nauczycielem. Chociaż, jak zwykle u tego typu ludzi, ma też pewne problemy z własną osobowością. I jest coś niejasnego w jego przeszłości. Słyszałem nawet, że Melman nie jest jego prawdziwym nazwiskiem, że jest notowany i że więcej w nim Mansona niż maga. Sam nie wiem. Oficjalnie jest malarzem, nawet niezłym. Jego obrazy się sprzedają.

– Spotkałeś go?

Chwila ciszy. Wreszcie:

– Tak.

– Jakie sprawia wrażenie?

– Sam nie wiem. Widzisz... jestem uprzedzony. Trudno mi o tym mówić.

Zamieszałem winem w szklance.

– A to dlaczego?

– Chciałem kiedyś u niego studiować. Nie przyjął mnie.

– Czyli też masz z tym coś wspólnego. Sądziłem...

– Z niczym nie mam nic wspólnego – burknął. – To znaczy, w tym czy innym okresie życia próbowałem wszystkiego. Każdy z nas przechodzi różne etapy. Chciałem się rozwijać, poszerzać horyzonty, iść naprzód. Kto by nie chciał? Ale niczego nie znalazłem. – Wyprostował się i napił wina. – Czasem mam wrażenie, że byłem blisko, że istniała moc, wizja, której mogłem niemal dotknąć czy zobaczyć. Potem zniknęła. To wszystko bzdury. Człowiek tylko się oszukuje. Niekiedy zdawało mi się nawet, że mam ją... ale mijało kilka dni i uświadamiałem sobie, że znowu się okłamywałem.

– Wszystko to zanim poznałeś Julię?

Przytaknął.

– Fakt. Może to właśnie z początku trzymało nas razem. Ciągle lubię rozmawiać o tych bzdurach, nawet jeśli już w nie nie wierzę. Ale ona traktowała je zbyt poważnie, a ja nie miałem ochoty na przejście tej drogi po raz drugi.

– Rozumiem.

Dopił wino i nalał znowu.

– Nic w tym nie ma – stwierdził. – Można się oszukiwać na nieskończenie wiele sposobów, przekonywać, że rzeczy są czymś innym, niż są naprawdę. Chyba pragnąłem magii, a magia w prawdziwym świecie nie istnieje.

– Dlatego rzuciłeś we mnie Biblią?

Parsknął.

– Równie dobrze mógł to być Koran albo Wedy. Z przyjemnością zobaczyłbym, jak znikasz w błysku ognia. Nic z tego.

Uśmiechnąłem się.

– Gdzie mogę znaleźć Melmana?

– Gdzieś tu mam jego adres. – Otworzył szufladę. – O, jest.

Wyjął mały notesik, przerzucił kilka stron, potem przepisał adres na karcie katalogowej. Wręczył mi ją. Łyknął wina.

– Dziękuję.

– To jego pracownia, ale mieszka w niej – dodał.

Skinąłem głową i odstawiłem szklanke.

– Jestem ci wdzięczny za wszystko, czego się dowiedziałem.

Podniósł butelkę.

– Może jeszcze trochę?

– Nie, raczej nie.

Wzruszył ramionami i nalał sobie. Wstałem.

– Wiesz, to naprawdę smutne – stwierdził.

– Co?

– Że magia nie istnieje, nigdy nie istniała i prawdopodobnie nigdy nie zaistnieje.

– To nowina – zauważyłem.

– Świat byłby o wiele ciekawszym miejscem.

– Fakt.

Odwróciłem się.

– Zrób mi przysługę – poprosił.

– Co takiego?

– Po drodze ustaw ten zegar na tablicy na trzecią i zatrzaśnij drzwi.

– Jasne.

Spełniłem jego prośbę. Niebo pociemniało mocno, wiatr był trochę chłodniejszy. Z budki na rogu kolejny raz spróbowałem dodzwonić się do Luke'a, ale jeszcze nie wrócił.

Byliśmy szczęśliwi. Mieliśmy cudowny dzień i wszystko nam się udawało. Poszliśmy na imprezę, potem na późną kolację do takiej naprawdę świetnej restauracyjki, na którą trafiliśmy zupełnym przypadkiem. Długo siedzieliśmy przy drinkach, nie chcąc kończyć tego dnia.

Postanowiliśmy nie przerywać dobrej passy i ruszyliśmy na opustoszałą plażę. Siedzieliśmy, chlapaniśmy się, oglądaliśmy księżyc i czuliśmy podmuchy wiatru. Bardzo długo. I wtedy zrobiłem coś, czego – jak sobie właściwie obiecałem – miałem nigdy nie robić. Ale czy Faust nie uznał, że piękna chwila warta jest duszy?

– Chodź – powiedziałem, mierzając puszką po piwie do kosza. Wziąłem ją za rękę. – Przejdziemy się.

– Dokąd? – spytała, kiedy podniosłem ją na nogi.

– Do krainy czarów – odparłem. – Do bajkowego kraju. Do Edenu. Idziemy.

Ze śmiechem poszła za mną brzegiem do miejsca, gdzie zwięzała się plaża, ściśnięta wysokim urwiskiem. Księżyc świecił jasny i żółty, a morze śpiewało moją ulubioną pieśń.

Trzymając się za ręce minęliśmy skarpe. Potem nagły zakręt skrył piaszczysty brzeg. Szukałem jaskini, która powinna się zaraz pojawić – wysoka i wąska...

– Jaskinia! – zawołałem kilka chwil później. – Wejdzmy.

– Będzie ciemno.

– To dobrze – stwierdziłem i weszliśmy.

Księżycowy blask towarzyszył nam jeszcze przez sześć kroków. Zdążyłem jednak dostrzec łuk w lewo.

– Tędy – oznajmiłem.

– Jest ciemno!

– Pewnie. Trzymaj się mnie jeszcze trochę. Nic się nie stanie.

Piętnaście czy dwadzieścia kroków dalej po lewej stronie pojawiło się słabe lśnienie. Przeprowadziłem ją przez zakręt. Im dalej szliśmy, tym wyraźniej widzieliśmy drogę.

– Możemy się zgubić – powiedziała cicho.

– Ja się nie gubię – zapewniłem.

Było coraz widniej. Korytarz skręcił jeszcze raz, a my podążaliśmy tym ostatnim odcinkiem, by wreszcie wynurzyć się u stóp góry, niedaleko niskich drzew lasu, nad którym wysoko stało poranne słońce.

Zamarła, szeroko otwierając błękitne oczy.

– Jest dzień!

– Tempus, fugit – wyjaśniłem. – Chodźmy.

Szliśmy przez las, słuchając ptaków i wiatru – ciemnowłosa Julia i ja; prowadziłem ją przez kanion barwnych skał i traw, nad strumieniem, który rozlewał się w rzekę.

Podążaliśmy brzegiem, aż nagle dotarliśmy do przepaści, gdzie rzeka spadała w ogromną głębię, wznosząc mgły i rzucając tęcze. Stojąc tam, spoglądając ponad szeroką doliną, poprzez poranek i wodny pył podziwialiśmy miasto iglic i kopuł, złota i kryształów.

– Gdzie... gdzie my jesteśmy? – zapytała.

– Zaraz za rogiem – odparłem. – Chodź.

Powiodłem ją w lewo, potem ścieżką biegnącą wzdłuż ściany urwiska, trafiającą w końcu pod kataraktę. Cienie i brylantowe krople... ryk osiągający potęgę ciszy... Wreszcie znaleźliśmy się w tunelu, z początku wilgotnym, ale coraz bardziej suchym w miarę, jak się wznosił.

Szliśmy nim aż do galerii otwartej z lewej strony, wychodzącej w noc i gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy...

Oszalałymi widok, płonący nowymi konstelacjami, których blask wystarczał, by rzucić na ścianę nasze cienie. Pochyliła się nad niskim parapetem i spojrzała w dół, a jej skóra była jak niezwykle, wypolerowany marmur.

– Są też na dole! – zawołała. – I z obu stron! Pod nami nie ma nic, tylko gwiazdy. I po bokach...

– Owszem. Piękne, prawda?

Staliśmy tam długo, nim zdołałem ją przekonać, by ruszyć tunelem dalej. Wyprowadził nas znowu na zewnątrz i mogliśmy podziwiać ruiny klasycznego amfiteatru pod popołudniowym niebem. Bluszcz porastał połamane ławki i spękane kolumny. Tu i tam leżały rozbite posągi, jakby zrzucone trzęsieniem ziemi. Bardzo widowiskowe. Miałem nadzieję, że się jej tutaj spodoba.

I miałem rację. Na zmianę siadaliśmy i mówiliśmy do siebie ze sceny. Akustyka była wspaniała. Poszliśmy dalej, przemierzając miriady dróg pod niebami o wielu barwach, by wreszcie stanąć nad spokojnym jeziorem, pod słońcem spływającym w wieczór na drugim brzegu. Po prawej stronie migotał stos skał. Znaleźliśmy niewielki cypel, porośnięty mchem i paprocią.

Objąłem ją i staliśmy tak przez długą chwilę, a wiatr wśród drzew był jak pieśń lutni z kontrapunktami niewidocznych ptaków. Jeszcze później rozpiąłem jej bluzkę.

– Tutaj? – spytała.

– Podoba mi się tutaj. Tobie nie?

– Jest pięknie. Dobrze. Zaczekaj chwilę.

I tak położyliśmy się na trawie i kochaliśmy, aż okryły nas cienie. Potem zasnęła, jak tego chciałem. Rzuciłem na nią czar, by się nie obudziła, gdyż zaczynały mnie dręczyć wątpliwości, czy rozsądnie postąpiłem zabierając ją na tę wyprawę. Ubrałem nas oboje i chwyciłem ją na ręce, by zanieść z powrotem.

Użyłem skrótu.

Na plaży, z której wyruszyliśmy, ułożyłem ją na piasku i wyciągnąłem się obok. Po chwili także zasnąłem. Spaliśmy, aż słońce weszło wysoko i przebudziły nas głosy kąpiących się ludzi.

Usiadła i spojrzała na mnie.

– Ta noc – powiedziała – nie mogła być snem. Ale nie mogła też zdarzyć się na jawie. Prawda?

– Chyba tak – przyznałem.

Zmarszczyła brwi.

– Na co się zgodziłeś? – zapytała.

– Na śniadanie. Zjedzmy coś. Chodź.

– Zaczekaj! – Chwyciła mnie za ramię. – Zdarzyło się coś niezwykłego. Co to było?

– Po co niszczyć czar, mówiąc o nim? Chodźmy jeść.

Wypytywała mnie ciągle przez kolejne dni, ale byłem uparty i nie chciałem o tym rozmawiać. Głupio. Cała ta historia była głupia. W ogóle nie powinienem jej zabierać na tę wycieczkę. Była jednym z powodów końcowej kłótni, która nas rozdzieliła.

A teraz, gdy myślałem o tym, siedząc za kierownicą, dostrzegłem coś więcej niż tylko własną głupotę. Pojąłem, że ją kochałem, że nadal ją Kocham. Gdybym nie zabrał jej wtedy ze sobą albo gdybym potwierdził jej oskarżenia, że jestem czarodziejem, nie wkroczyłaby na ścieżkę, którą wybrała, by odnaleźć własną moc – pewnie dla własnej obrony. I żyłaby dzisiaj.

Przygryzłem wargę i zapłakałem. Wyminąłem hamujący przede mną samochód i przejechałem na czerwonym świetle. Jeżeli zabiłem to, co kochałem, to byłem pewien, że przeciwne stwierdzenie na pewno nie będzie prawdziwe.

Rozdział 3

Żal i gniew ograniczają moją wizję świata, a to bardzo mi się nie podoba. Paraliżują pamięć o szczęśliwszych dniach, o przyjaciółach, miejscach, rzeczach i możliwościach. Ściśnięty w uchwycie intensywnej, nieprzyjemnej emocji zamykam się w swej obsesji. Jednym z powodów jest, jak przypuszczam, fakt, że odrzucam wtedy część możliwych wyborów, ograniczam wolność swej woli.

Nie lubię tego, ale od pewnego momentu nie bardzo nad tym panuję. Odnoszę wtedy wrażenie, że poddaję się pewnemu determinizmowi, a to z kolei irytuje mnie jeszcze bardziej. Potem, jak w błędnym kole, irytacja wzmacnia i intensyfikuje emocje, które mną powodują. Prostym sposobem zmiany tej sytuacji jest pęd na oślep, by usunąć przyczynę. Trudniejszy sposób jest bardziej filozoficzny. Wymaga, by się wycofać, odzyskać kontrolę. Jak zwykle, trudniejsza metoda jest lepsza. Atakując na oślep można skrócić sobie kark.

Zaparkowałem w pierwszym odpowiednim miejscu, jakie znalazłem, otworzyłem okno, zapaliłem fajkę. Przysiągłem sobie nie ruszać się stąd, póki się nie uspokoję. Przez całe życie miałem skłonność do przesadzonych reakcji. To chyba cecha rodzinna. Ale ja nie chciałem być taki jak inni. W ten właśnie sposób narobili sobie mnóstwo kłopotów. Reakcja typu wojny totalnej, wszystko-albo-nic, może być właściwa, jeśli zawsze się wygrywa. Może też prowadzić do tragedii, a przynajmniej opery, jeśli staje się przeciwko czemuś niezwykłemu. A pewne poszlaki wskazywały, że tak właśnie jest w moim przypadku. Zatem, jestem durniem. Powtarzałem to sobie tak długo, aż wreszcie uwierzyłem.

Potem słuchałem mojego spokojniejszego ja, które zgodziło się, że istotnie jestem durniem – gdyż nie rozumiałem własnych uczuć wtedy, kiedy jeszcze mogłem coś z nimi zrobić, gdyż ujawniłem moc i nie chciałem uznać konsekwencji, gdyż przez te wszystkie lata nie domyśliłem się niezwykłej natury mego wroga, i gdyż w tej chwili upraszczałem problemy związane z nadchodzącym starciem. Nic nie osiągnę rzucając się na Victora Melmana i próbując wydusić z niego prawdę.

Postanowiłem działać ostrożnie, cały czas zabezpieczając sobie tyły. Życie nigdy nie jest proste, powiedziałem sobie. Siedź spokojnie, zbieraj siły, planuj. Z wolna spływało ze mnie napięcie. Z wolna także rósł mój świat. Dostrzegłem w nim możliwość, że S mnie znał, znał dobrze i mógł nawet tak zaaranżować wydarzenia, bym przestał myśleć i poddał się chwili. Nie, nie będę taki jak inni...

Siedziałem tam i myślałem jeszcze długo, aż wreszcie uruchomiłem silnik i wolno ruszyłem przed siebie.

To był brudny, ceglany budynek na rogu ulicy. Miał trzy piętra i trochę obscenicznych malowideł wykonanych sprayem po stronie alei i na ścianie przy wąskiej uliczce. Spacerując wolno dookoła i rozglądając się uważnie, odkryłem graffiti, kilka wybitych szyb i schody przeciwpożarowe. Zaczął padać lekki deszcz. Parter i piętro zajmowała Brutus Storage Company, jak głosiła niewielka tabliczka obok schodów w krótkim korytarzyku. Śmierdziało tu moczem. a na zakurzonej parapecie

okna z prawej strony leżała pusta butelka po Jacku Danielsie. Na odrapanej ścianie wisiały dwie skrzynki pocztowe, jedna z napisem „Brutus Storage”, druga „V.M.”. Obie były puste.

Wstąpiłem na schody, oczekując, że zatrzeszczą. Nie zatrzeszczały.

W korytarzu na piętrze znalazłem czworo drzwi bez klamek, wszystkie zamknięte. Przez zmętniałe szyby dostrzegłem kontury czegoś, co wyglądało na pudła. Ze środka nie dobiegały żadne dźwięki.

Na schodach przestraszyłem czarnego kota. Wygiął grzbiet, pokazał zęby, syknął, po czym odwrócił się, wbiegł na górę i zniknął.

Na wyższym piętrze też znalazłem czworo drzwi – troje wyraźnie nie używanych, czwarte zabejcowane na ciemno i pociągnięte politurą. Wisiała na nich mała tabliczka z napisem „Melman”. Zapukałem.

Nikt nie odpowiedział. Próbowałem jeszcze kilkakrotnie, z takim samym wynikiem. Żadnych odgłosów z wnętrza.

Prawdopodobnie tutaj mieszkał, a na trzecim piętrze, gdzie w dachu były pewnie świetliki, miał pracownię. Odwróciłem się i wszedłem na ostatni ciąg schodów.

Stanąłem na szczycie i zauważyłem, że jedno z czworga drzwi są lekko uchylone. Nasłuchiwałem przez chwilę. W środku ktoś poruszał się cicho. Podeszedłem i zastukałem. Ktoś głośno nabrał tchu. Pchnąłem drzwi.

Stał jakieś pięć metrów od progu, pod dużym świetlikiem. Odwrócił się w moją stronę – wysoki mężczyzna o szerokich ramionach, z ciemną brodą i oczami. W lewej ręce trzymał pędzel, w prawej paletę. Miał na sobie levisy i sportową koszulę w kratę, a na wierzchu poplamiony farbami fartuch. Na sztalugach za jego plecami dostrzegłem zarysy czegoś, co mogło być Madonną z Dzieciątkiem. Wokół stało sporo płócien, wszystkie zakryte albo odwrócone do ściany.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Czy pan Victor Melman?

Skinął, ni to uśmiechając się, ni to marszcząc czoło. Odłożył paletę na stolik, wsadził pędzel do słoja z rozpuszczalnikiem. Potem wziął wilgotną szmatę i wytarł ręce.

– A pan? – zapytał. Rzucił szmatę i znowu spojrzał na mnie.

– Merle Corey. Znał pan Julię Barnes.

– Nie zaprzeczam – odparł. – Użycie czasu przeszłego sugeruje chyba...

– Zgadza się, ona nie żyje. Chciałem z panem o tym porozmawiać.

Powiesił fartuch na haku koło drzwi i wyszedł na korytarz. Ruszyłem za nim. Zamknął pracownię, nim skierował się na schody. Poruszał się płynnie, niemal z gracją. Słyszałem krople deszczu bębniące o dach.

Tym samym kluczem otworzył ciemne drzwi na drugim piętrze. Uchylił je i odstąpił, gestem zapraszając mnie do środka. Wszedłem do przedpokoju, minąłem kuchnię, gdzie wszystkie blaty były zastawione pustymi butelkami, stosami talerzy i pudełkami po pizzy. Wypchane worki śmieci stały przy kredensie; tu i tam podłoga wydawała się lepka, a wszystko to pachniało jak fabryka przypraw stojąca obok rzeźni.

Wszedłem do salonu – duży pokój z dwoma wygodnymi z wyglądu sofami stojącymi naprzeciw siebie na bitewnym polu tureckiego dywanu, z całą kolekcją rozmaitych stolików, na każdym kilka przepelnionych popielniczek. W kącie pod ścianą zasłoniętą ciężką, czerwoną draperią stał piękny koncertowy fortepian. Spostrzegłem niskie biblioteczki pełne książek o okultyzmie, a przy nich, na nich i obok kilku foteli stosy magazynów. Coś, co mogło być ramieniem pentagramu, wystawało nieco spod największego dywanu. Po kątach unosił się zastały zapach kadzidła i ziół. Po prawej stronie łukowe przejście prowadziło do następnego pomieszczenia, po lewej były zamknięte drzwi. Na ścianach wisiały obrazy częściowo religijnej natury; uznałem, że to jego. Przywodziły na myśl

dzieła Chagalla. Całkiem niezłe.

– Proszę usiąść. – Wskazał mi fotel. Skorzystałem z zaproszenia. – Może piwo?

– Nie, dziękuję.

Usiadł na bliższej z dwóch sof, złożył dłonie i spojrzał na mnie wyczekująco. – Co się stało? – zapytał.

Przyjrzałem mu się.

– Julia Barnes interesowała się systemami okultystycznymi – oznajmiłem. – Przyszła do pana, żeby dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Dziś rano zginęła w bardzo dziwnych okolicznościach.

Lewy kącik ust zadrgał mu lekko. Poza tym był całkowicie opanowany.

– Owszem, interesowała się takimi sprawami – przyznał. – Przyszła do mnie po wiedzę i otrzymała ją.

– Chcę wiedzieć, dlaczego umarła.

Wciąż mi się przyglądał.

– Jej czas dobiegł końca – stwierdził. – Każdego z nas czeka to prędzej czy później.

– Została zabita przez zwierzę, które nie powinno tutaj istnieć. Wie pan coś na ten temat?

– Wszechświat jest miejscem dziwniejszym, niż ktokolwiek z nas potrafi sobie wyobrazić.

– Wie pan czy nie?

– Znam pana – oznajmił, uśmiechając się po raz pierwszy. – Mówiła o panu, oczywiście.

– Co to ma znaczyć?

– To ma znaczyć – odparł – że zdaję sobie sprawę, iż jest pan więcej niż trochę świadom takich rzeczy.

– I co dalej?

– Sztuki tajemne mają swoje sposoby, by doprowadzić do spotkania odpowiednich ludzi w odpowiedniej chwili, gdy trwa dzieło.

– I myśli pan, że o to właśnie chodzi?

– Wiem o tym.

– Skąd?

– Zostało to przepowiedziane.

– Czyli oczekiwał mnie pan?

– Tak.

– To ciekawe. Czy zechciałby pan o tym opowiedzieć?

– Raczej panu pokażę.

– Mówił pan, że coś zostało przepowiedziane. Jak? Przez kogo?

– Wszystko wyjaśni się za chwilę.

– I śmierć Julii?

– Sądzę, że to także.

– A w jaki sposób chce pan doprowadzić mnie do oświecenia?

– Chcę tylko, żeby pan coś obejrzał. – Uśmiechnął się.

– Dobrze. Bardzo chętnie. Niech pan pokazuje.

Skinął głową i wstał.

– To tutaj – wyjaśnił, odwrócił się i ruszył do zamkniętych drzwi.

Zerwałem się i poszedłem za nim. Sięgnął pod koszulę, wyciągnął i zdjął przez głowę łańcuszek. Dostrzegłem, że wisi na nim klucz. Otworzył drzwi.

– Proszę. – Pchnął je i odstał na bok.

Wszedłem. Pokój był duży i ciemny. Pstryknął wyłącznikiem i zapaliła się słaba niebieska

żarówka w prostej oprawce pod sufitem. Zobaczyłem wtedy, że było tu jedno okno, dokładnie naprzeciw mnie, z szybami zamalowanymi na czarno. Nie wstawił tu żadnych mebli; było tylko kilka poduszek rozrzuconych na podłodze.

Część ściany po prawej stronie okrywała czarna draperia. Poza tym nie widziałem żadnych ozdób.

– Patrzę – oznajmiłem.

Zachichotał.

– Chwileczkę, chwileczkę – uspokoił mnie. – Wie pan, jaką dziedziną okultyzmu się zajmuję?

– Jest pan kabalistą – stwierdziłem.

– Zgadza się – przyznał. – Skąd pan wie?

– Ludzie od filozofii Wschodu są na ogół bardzo porządni – wyjaśniłem. – Ale kabaliści to zwykle bałaganiarze.

Parsknął. – Wszystko zależy od tego, co uznaje się za naprawdę ważne – mruknął.

Kopnął na środek podłogi poduszkę.

– Niech pan siada.

– Postoję.

Wzruszył ramionami.

– Jak pan chce – odparł i zaczął mruzczyć coś cicho. Czekałem. Po chwili, wciąż mamrocząc coś pod nosem, jednym ruchem zerwał czarną zasłonę. Spojrzałem.

Obraz przedstawiał kabalistyczne Drzewo Życia, ukazujące dziesięć sefirotów w niektórych z ich ekliptycznych aspektów. Przepięknie wykonany, budził niepokojące wrażenie czegoś znajomego. Był oryginalnym dziełem, nie tandetnym malowidłem ze sklepu z rekwizytami dla okultystów. Styl różnił się od obrazów wiszących na ścianach w sąsiednim pokoju. A jednak nie był mi obcy.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że obraz został namalowany przez tę samą osobę, której dziełem były Atuty znalezione w mieszkaniu Julii.

Melman nie przerywał swej recytacji, a ja podziwiałem obraz.

– To pańska praca? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Podeszedł bliżej i wskazał trzeci sefirot, ten nazywany Binah. Przyjrzałem się. Przedstawiał chyba maga przed mrocznym ołtarzem i... Nie! Nie mogłem uwierzyć! Nie powinien przecie... Poczułem kontakt z postacią. Nie była już czysto symboliczna. Mag stał się rzeczywisty i przyzywał mnie.

Rósł, zyskiwał trzeci wymiar. Pokój wokół mnie zanikał. Znalazłem się niemal...

Tam.

Kraina zmierzchu, niewielka polanka wśród sękatych drzew. Krwisty blask padał na kamienną płytę. Mag o twarzy przesłoniętej kapturem i cieniem, przesuwał na niej jakieś obiekty. Zbyt szybko poruszał rękami, bym mógł nadażyć wzrokiem. Gdzieś z daleka wciąż dobiegał słaby głos nucący inkantację.

Wreszcie mag prawą dłonią pochwycił i wznosił do góry jeden z obiektów – czarny, obsydianowy nóż. Lewą rękę przesunął po powierzchni ołtarza, zmiatając na ziemię wszystko, co tam pozostało.

Po raz pierwszy spojrzał wprost na mnie.

– Podejź – nakazał.

Uśmiechnąłem się słysząc tak prymitywne i głupie żądanie. Wtedy jednak poczułem, że moje stopy poruszają się bez udziału woli. I zrozumiałem, że w tym mrocznym cieniu rzucono na mnie czar.

Podziękowałem innemu wujowi, który żył w miejscu najdalszym ze wszystkich. Jakże można sobie wyobrazić. I przemówiłem w thari, rzucając własne zaklęcie.

Powietrze rozdarł przenikliwy krzyk, jakby atakującego ptaka.

Nie odwrócił uwagi maga i moje stopy nie zostały uwolnione, mogłem jednak unieść przed sobą ręce.

Trzymałem je na odpowiednim poziomie, a kiedy dotknęły brzegu oparza, dodałem własne wysiłki do mocy zaklęcia przywołania, zwiększając energię każdego mechanicznego kroku, jaki musiałem wykonać. Pozwoliłem, by ugięły się łokcie.

Mag sięgał mi już ostrzem do palców, ale za późno.

Naparłem całym ciężarem i przechyliłem głaz. Przewrócił się do tyłu. Mag odskoczył. ale ołtarz uderzył go w nogę, może nawet w obie. Gdy tylko upadł na ziemię, poczułem, że znika moc czaru. Znowu mogłem poruszać się jak należy i myśleć klarownie. Mag podciągnął kolana pod brodę i odtoczył się, nim przeskoczyłem obalony ołtarz. Ruszyłem w pogoń, lecz on przekoziółkował po krótkim zboczu, wpadł między dwa stojące głazy i zniknął w ciemności lasu.

Gdy tylko stanąłem na skraju polany, zobaczyłem setki dzikich oczu lśniących w mroku na różnych poziomach. Głos recytujący zaklęcie zabrzmiał mocniej. Był jakby bliższy i dobiegał zza moich pleców.

Odwróciłem się szybko.

Ołtarz wciąż leżał na ziemi. A nim stała inna postać w kapturze, o wiele większa od pierwszej. To ona recytowała znajomym, męskim głosem. Frakir zacisnęła mi się na nadgarstku. Poczułem, jak tężeje wokół czar, ale tym razem byłem przygotowany. Wezwanie sprowadziło lodowaty wicher, który niby kłęb dymu rozwiął zaklęcie. Szarpał moim ubraniem, odmieniając formę i kolor. Purpura i szarość... rozjaśnił spodnie, przyciemnił płaszcz i koszulę. Czarne buty i szeroki pas, zatknięte za nim rękawice, srebrzysta Frakir spleciona w bransoletę nad lewą dłoń, widzialna teraz i lśniąca. Podniosłem lewe ramię, osłaniając oczy prawą dłoń, i przywołałem błysk.

– Zamilknij – nakazałem. – Obrażasz mnie.

Recytacja ucichła.

Wiatr zerwał mu z głowy kaptur i spojrzałem na przerażoną twarz Melmana.

– Dobrze. Chciałeś mnie tutaj – rzekłem. – Więc jestem, niech niebo ma cię w swej opiece. Powiedziałaś, że wszystko się wyjaśni. Nie wyjaśniło się. Wytłumacz zatem.

Zbliżyłem się o krok.

– Mów! – rozkazałem. – Może ci to przyjść łatwo albo z trudem. Ale będziesz mówił. Wybór należy do ciebie.

Melman odchylił głowę i ryknął: – Mistrzu!

– Owszem, przywołaj swego mistrza. Zaczekam. Gdyż on także musi mi odpowiedzieć.

Krzyknął znowu, ale nie nadeszła żadna odpowiedź. Wtedy rzucił się do ucieczki; lecz byłem gotów z potężnym wezwaniem. Drzewa spróchniały i rozsypały się, zanim do nich dotarł. Potem drgnęły, poruszane wichrem tam, gdzie powinna trwać cisza. Wiatr okrążył polankę, szary i czerwony, wznosząc powyżej i w dole nieprzeniknioną barierę nieskończoności. Staliśmy na okrągłej wysepce średnicy kilkuset metrów, a jej brzegi kruszyły się z wolna.

– Nie przyjdzie – oznajmiłem. – A ty nie odejdziesz. Nie pomoże ci. Nikt nie zdoła ci pomóc. Oto jest miejsce najwyższej magii. a ty profanujesz je swą obecnością. Czy wiesz, co leży poza murem wicherury? Chaos. Oddam mu cię, jeśli nie powiesz mi wszystkiego o Julii i twoim mistrzu, i dlaczego ośmieliłeś się sprowadzić mnie tutaj.

Cofnął się przed Chaosem i odwrócił do mnie.

– Zabierz mnie do mojego mieszkania, a wyznam ci wszystko – powiedział.

Pokręciłem głową.

– Zabij mnie, a niczego się nie dowiesz.

Wzruszyłem ramionami.

– Powiesz, by przerwać ból. A wtedy oddam cię Chaosowi.

Ruszyłem ku niemu.

– Zaczekaj! – Podniósł rękę. – Obiecuj mi życie za to, co mam ci do powiedzenia.

– Żadnych warunków. Mów.

Wichry szalały wokół i kurczyła się wyspa. Ledwie słyszalne, nieartykułowane głosy bełkotały coś wśród huraganu i płynęły w nim strzępy kształtów. Melman odstąpił od kruszącej się krawędzi świata.

– Dobrze – zaczął gromko. – Tak, Julia przyszła do mnie, jak mi to przepowiedziano. Nauczyłem ją kilku rzeczy... nie takich, jakich uczyłbym ją jeszcze rok temu, ale nowych, które sam niedawno poznałem. To także mi powiedziano: bym kształcił ją w taki sposób.

– Kto ci powiedział? Kto jest twoim mistrzem?

Skrzywił się.

– Nie był tak głupi, by zdradzać mi swe imię – odparł. – Wtedy mógłbym próbować zyskać nad nim władzę. Jak ty, on także nie jest człowiekiem, lecz istotą z innej płaszczyzny.

– To on dał ci obraz Drzewa?

Melman przytaknął.

– Przeniósł mnie nawet do każdego z sefirotów. W tych miejscach działała magia. Zyskiwałem moc.

– Co z Atutami? Czy także on je namalował? Czy dał ci je, żebyś przekazał Julii?

– Nic nie wiem o żadnych Atutach – odpowiedział.

– To one! – krzyknąłem sięgając pod płaszcz.

Rozłożyłem karty niby wachlarz iluzjonisty i ruszyłem ku niemu. Pozwoliłem mu patrzeć przez moment, po czym schowałem, nim zdążył się zorientować, że mogą być szansą ucieczki.

– Nigdy ich nie widziałem – oświadczył. Grunt rozsypywał się bezustannie. Przeszliśmy bliżej środka polany.

– Wysłałeś to stworzenie, które ją zabiło?

Gwałtownie potrząsnął głową.

– To nie ja. Wiedziałem, że zginie, bo mi powiedział, że to właśnie sprowadzi cię do mnie. Mówił też, że zabije ją bestia z Netzach... ale ja jej nie widziałem i nie mam nic wspólnego z jej przywołaniem.

– A dlaczego chciał naszego spotkania, mojego przybycia tutaj?

Zaśmiał się szaleńczo. – Dlaczego? – powtórzył. – Żeby cię zabić, naturalnie. Obiecał, że przejmę twoją moc, jeśli zdołam w tym miejscu złożyć cię w ofierze. Powiedział, że jesteś Merlinem, synem Piekła i Chaosu, i że stanę się najpotężniejszym magiem ze wszystkich. Jeśli tylko zdołam cię tutaj zabić.

Nasz świat miał teraz najwyżej sto metrów średnicy i zmniejszał się coraz szybciej.

– Czy to prawda? – zapytał. – Czy naprawdę zyskałbym moc, gdyby mi się udało?

– Moc jest jak pieniądze – odparłem. – Zwykle możesz ją zdobyć, jeśli jesteś dostatecznie kompetentny i jeśli jest to jedyna rzecz, jakiej pragniesz. Ale czy zyskałbyś na tym? Nie sądzę.

– Mówię o sensie życia. Wiesz dobrze.

Pokręciłem głową.

– Wyłącznie głupiec wierzy, że życie ma tylko jeden sens. Ale dość o tym. Opisz mi swego mistrza.

– Nigdy go nie widziałem.

– Co?

– To znaczy widziałem, ale nie wiem, jak wygląda. Zawsze miał kaptur i czarny prochowiec. I rękawiczki. Nie wiem nawet, czy jest czarny czy biały.

– Jak się spotkaliście?

– Pewnego dnia zjawił się w mojej pracowni. Odwróciłem się tylko, a on tam stał. Ofiarował mi moc. Powiedział, że będzie mnie uczył w zamian za moją służbę.

– Skąd wiedziałeś, że może dotrzymać obietnicy?

– Zabrał mnie w podróż poprzez miejsca nie z tego świata.

– Rozumiem.

Wyspa naszego istnienia miała teraz rozmiary dużego pokoju. W głosach wiatru rozbrzmiewała drwina, potem współczucie, lęk, smutek i gniew. Zwinięta w krąg wizja zmieniała się bez przerwy: ani na chwilę nie ustawały drżenia gruntu. Wciąż padał posępny blask. Jakaś część mego umysłu pragnęła natychmiast zabić Melmana, ale skoro nie on był tym, kto skrzywdził Julię...

– Czy twój mistrz zdradził ci, czemu chce mojej śmierci? – zapytałem.

Oblizał wargi i obejrzał się na coraz bliższy Chaos.

– Powiedział, że jesteś jego wrogiem – wyjaśnił. – Ale nie mówił dlaczego. Tylko tyle, że to zdarzy się dzisiaj, że chce, by zdarzyło się dzisiaj.

– Czemu dzisiaj?

Uśmiechnął się lekko. – Dlatego, jak sądzę, że to Noc Walpurgii – odparł. – Choć nigdy nie powiedział tego wprost.

– To wszystko? Nie mówił, skąd pochodzi?

– Raz wspomniał o czymś, co nazwał Twierdzą Czterech Światów w taki sposób, jakby była dla niego bardzo ważna.

– I nigdy nie odniosłeś wrażenia, że zwyczajnie cię wykorzystuje?

– Oczywiście, że mnie wykorzystywał – przyznał z uśmiechem. – Wszyscy to robimy. Tak urządzony jest ten świat. Ale płacił mi za to wiedzą i mocą. Myślę, że jego obietnica może się jeszcze spełnić.

Spojrzał na coś za moimi plecami. To najstarsza sztuczka na świecie, ale obejrzałem się. Nikogo tam nie było. Odwróciłem się natychmiast.

Trzymał czarny nóż. Musiał go chować w rękawie. Ruszył na mnie, mamrocząc nowe zaklęcia. Odskoczyłem i machnąłem ku niemu swym płaszczem. Ciął i odstąpił w bok, zawrócił i zaatakował znowu. Tym razem zbliżał się pochylony, cały czas poruszając wargami. Kopnąłem w dłoń z nożem, ale zdążył ją cofnąć. Wtedy złapałem lewą połą płaszcz, owinałem wokół ramienia, a kiedy znów uderzył, zablokowałem pchnięcie i chwyciłem go za biceps. Pochylając się szarpnąłem go w przód, prawą ręką złapałem lewe udo i wyprostowałem się, unosząc go w górę. A potem cisnąłem nim.

Kiedy odwracałem się, kończąc pchnięcie, pojąłem, co uczyniłem. Za późno. Skupiwszy uwagę na przeciwniku, zapomniałem o szybkim, wyjąłym natarciu niszczycielskich wiatrów. Brzeg Chaosu znalazł się o wiele bliżej, niż sądziłem, a Melmanowi starczyło czasu na najkrótsze zaledwie przekleństwo, nim śmierć zabrała go tam, gdzie nie będzie już rzucał żadnych zaklęć.

Sam za to zakląłem, gdyż byłem pewien, że posiadał jeszcze sporo informacji. Potrząsnąłem głową w samym centrum mego malejącego świata.

Dzień jeszcze się nie skończył, a już był moją najbardziej pamiętną Nocą Walpurgii.

Rozdział 4

Dobrze musiałem się nachodzić, żeby wrócić. Po drodze zmieniłem kostium.

Wyjście z labiryntu przybrało formę wąskiej uliczki między dwoma brudnymi domami z cegły. Wciąż padał deszcz, a dzień przebył już drogę ku wieczorowi. Dostrzegłem mój samochód, zaparkowany po drugiej stronie ulicy, w kałuży światła rzucanego przez jedną z nie rozbitych latarni. Z żalem wspomniałem suche ubranie w bagażniku, po czym ruszyłem w kierunku tablicy Brutus Storage.

W dyżurce na parterze płonęła niewielka lampka, rzucając nieco światła na ciemną bramę. Począłem po schodach, całkowicie przemoczony i rozważnie czujny. Drzwi do mieszkania otworzyły się, gdy nacisnąłem klamkę i pchnąłem. Zapaliłem światło, wszedłem i zamknąłem drzwi na zasuwę.

Sprawdziłem szybko. Lokal był pusty, więc zmieniłem swoją mokrą koszulę na suchą z szafy Melmana. Niestety, jego spodnie były za luźne w pasie i trochę za długie. Przełożyłem Atuty do kieszeni na piersi, żeby nie zamokły.

Etap drugi. Zacząłem systematycznie przeszukiwać cały lokal. Po kilku minutach w szufladzie nocnej szafki trafiłem na okultystyczny dziennik Melmana. Był równie nieporządnym jak wszystko tutaj, z błędami ortograficznymi, skreśleniami i plamami od kawy i piwa. Na oko zawierał głównie notatki z lektur, pomieszane z typowo subiektywnymi przeżyciami – snami i medytacjami.

Przerzucałem kartki szukając miejsca, gdzie spotkał swego mistrza. Znalazłem i dalej czytałem uważnie.

Opisy były długie i dotyczyły przede wszystkim entuzjastycznych wynurzeń na temat działania Drzewa Życia, które otrzymał. Postanowiłem odłożyć lekturę na później, gdy nagle dostrzegłem jakiś wiersz. Był swinburnowski w stylu i nadmiernie alegoryczny, jednak kilka wersów zwróciło moją uwagę: „nieskończone cienie Amberu, zepsuciem zdrady zakażone”. Za dużo aliteracji, ale to myśl była ważna. Znowu poczułem się odsłonięty.

Zacząłem szybciej przeszukiwać pokój. Chciałem stąd wyjść, odjechać daleko i pomyśleć. Nie natrafiłem więcej na żadne niespodzianki. Wszedłem, zebrałem naręczę starych gazet, zaniósłem je do łazienki, rzuciłem do wanny i podpaliłem. Wychodząc otworzyłem okno. Potem odwiedziłem sanktuarium, zabrałem Drzewo Życia, wróciłem i dorzuciłem je do ogniska. Zgasilem światło w łazience i zamknąłem za sobą drzwi. Jako krytyk sztuki jestem bardzo surowy.

Zająłem się stosami różnych papierów na półkach z książkami. Efekty raczej mnie rozczarowały. Byłem w połowie drugiego pliku, kiedy zadzwonił telefon.

Świat zamarł w bezruchu, i tylko moje myśli pędziły szaleńczo. To właśnie dzisiaj miałem trafić tutaj i zginąć. Istniały spore szanse, że jeśli miało się to stać, to pewnie było już po wszystkim. Czyli możliwe, że dzwoni S, by się dowiedzieć, czy wywieszono już moje nekrologi. Rozejrzałem się i na

ścianie koło drzwi sypialni zauważyłem aparat. Od razu wiedziałem, że odbiorę.

Zwlekałem przez dwa do trzech dzwonek – dwanaście do osiemnastu sekund – by zdecydować, czy lepiej rzucić jakąś złośliwość, obrazę albo groźbę, czy może podszyć się pod Melmana i sprawdzić, czego się dowiem. Pierwsza możliwość dostarczyłaby mi sporo satysfakcji, jednak rozsądek, jak zwykle psując zabawę, nakazywał wybrać raczej tę ostatnią. Sugerował też, by ograniczyć wypowiedz do niewyraźnych monosylab, udawać rannego i oddychać chrapliwie. Podniosłem słuchawkę, gotów, by usłyszeć w końcu S i przekonać się, czy przypadkiem go nie znam.

– Tak? – powiedziałem.

– I co? Czy to się stało? – usłyszałem.

Przeklęty zaimek. Głos należał do kobiety. Niewłaściwy rodzaj, ale właściwie brzmiące pytanie. No cóż, jedno trafienie na dwa to całkiem niezły wynik.

Odetchnąłem ciężko i odpowiedziałem:

– Tak.

– Co z tobą?

– Jestem ranny – wychrypiałem.

– Coś poważnego?

– Chyba tak. Ale... coś tu... mam. Lepiej przyjdź... zobacz.

– Co to jest? Coś od niego?

– Tak... Trudno mówić... Słabo mi. Przyjdź.

Z uśmiechem odłożyłem słuchawkę. Uznałem, że odegrałem to znakomicie. Uwierzyła chyba we wszystko. Przeszedłem do salonu, usiadłem w tym samym fotelu, który zajmowałem poprzednio, przysunąłem nieduży stolik z wielką popielniczką, wyjąłem fajkę i czekałem.

Czas na odpoczynek, pielęgnację cnoty cierpliwości i na zastanowienie.

Kilka chwil później poczułem znajomy, jakby elektryczny dreszcz. Zerwałem się na nogi i złapałem popielniczkę – niedopałki pofrunęły wokół jak pociski. Raz jeszcze przeklinając własną głupotę, gorączkowo rozglądałem się po pokoju.

Tam! Przy czerwonych draperiach, obok fortepianu.

Nabierała kształtu...

Zaczekałem na pełny kontur, a potem z całej siły rzuciłem popielniczką.

Ułamek sekundy później już tam była – wysoka, o ciemnych włosach, ciemnych oczach, trzymając w dłoni coś, co wyglądało na pistolet kalibru 38.

Trafiona popielniczką w żołądek, jęknęła i zgięła się wpół.

Zanim zdążyła się wyprostować, byłem przy niej. Wyszarpnąłem i odrzuciłem pod ścianę pistolet. Potem chwyciłem ją za rękę, szarpnąłem mocno i siłą usadziłem w najbliższym fotelu. W lewej dłoni trzymała jeszcze Atut. Wyrwałem go; przedstawiał mieszkanie Melmana i został wykonany w tym samym stylu, co Drzewo i karty w mojej kieszeni.

– Kim jesteś? – warknąłem.

– Jasną – odparła z wściekłością. – A ty trupem.

Szeroko otworzyła usta i opuściła głowę. Poczulem wilgotny dotyk warg na lewej ręce, którą wciąż przytrzymałem jej nadgarstek przy poręczu fotela. A po sekundzie potworny ból przeszył mi ramię. To nie było ugryzienie, przypominało raczej rozżarzony gwóźdź wbity w ciało.

Puściłem ją i wyszarpnąłem rękę. Ruch był dziwnie powolny, pozbawiony energii. Lodowaty dreszcz przebiegł w dół, do dłoni, i w górę wzdłuż ramienia. Ręka opadła bezwładnie i miałem wrażenie, że ją straciłem.

Kobieta bez trudu uwolniła się z mojego uchwytu, z uśmiechem dotknęła czubkami palców mojej

piersi i pchnęła.

Upadłem na plecy. Byłem idiotycznie słaby i nie panowałem nad własnymi mięśniami. Nie czułem bólu, kiedy uderzyłem o podłogę, a odwrócenie głowy wymagało wielkiego wysiłku. Patrzyłem, jak Jasra wstaje z fotela.

– Przyjemnej zabawy – rzekła. – Kiedy się zbudzisz, będziesz cierpieć przez resztę swego krótkiego istnienia.

Przeszła poza moje pole widzenia i usłyszałem, jak podnosi słuchawkę telefonu.

Byłem pewien, że dzwoni do S, i wierzyłem w to, co przed chwilą powiedziała. Przynajmniej zdążę poznać tajemniczego artystę...

Artystę! Poruszyłem palcami prawej dłoni. Wciąż funkcjonowały, choć niezbyt sprawnie. Wytężając całą wolę i energię, jaką mogłem jeszcze dysponować, spróbowałem sięgnąć ręką do piersi. Udało się – wolno, po kawałku. Dobrze, że upadłem na lewy bok i własnym ciałem zasłaniałem te próby przed kobietą, która mnie pokonała.

Dłoń mi drżała i chyba jeszcze bardziej zwolniła, gdy trafiła wreszcie do kieszeni na piersi. Całe wieki później dotknąłem palcami brzegów kawałków kartonu. W końcu wyjąłem jeden i jakoś zdołałem unieść tak wysoko, by na niego spojrzeć. Prawie mdlałem i mgła przesłaniała mi wzrok. Nie byłem pewien, czy starczy mi sił na przeskok. Z ogromnej dali słyszałem głos Jasry – rozmawiała z kimś, ale nie rozróżniałem słów.

Skoncentrowałem resztkę uwagi na karcie. Przedstawiała sfinksa, siedzącego na niebieskawej skalnej półce. Sięgnąłem ku niemu... Nic. Miałem wrażenie, że umysł spowijają mi kłęby waty. Świadomości pozostało zaledwie dosyć na jeszcze jedną próbę. Poczułem chłód, a sfinks jakby poruszył się lekko na swym kamiennym legowisku. Zdawało mi się, że spadam w pędzącą ku górze falę czerni.

I to wszystko.

Długo trwało, zanim przyszedłem do siebie. Świadomość sączyła się wolno, ale kończyny ciągle były jak z ołowiu. Ukąszenie obcej damy wprowadziło chyba jakąś neurotropową toksynę. Próbowałem zgiąć palce u rąk i nóg, ale nie byłem pewien, czy coś osiągnąłem.

Postarałem się więc oddychać szybciej i głębiej. To przynajmniej się udało.

Po pewnym czasie usłyszałem jakby ryk. W chwilę później przycichł trochę i pojąłem, że to szum mojej własnej krwi. Potem dotarły do mnie uderzenia serca i zacząłem coś widzieć. Światło, mrok i bezkształtność przemieniły się w piasek i skały. Na całym ciele czułem niewielkie obszary chłodu. Zacząłem się trząść, potem drżenie minęło i zrozumiałem, że mogę się ruszać. Byłem jednak bardzo słaby, więc na razie zrezygnowałem. Na jakiś czas.

Usłyszałem dźwięki – szelesty, stąpnięcia. Dobiegały gdzieś z góry i z przodu. Wyczułem też dziwny zapach.

– Pytałem, czy jesteś już przytomny? – Pytanie rozległo się z tej samej strony, co odgłosy poruszeń.

Uznałem, że niezupełnie kwalifikuję się do takiego określenia, więc nie odpowiadałem. Czekałem, aż w moje ciało wpłynie więcej życia.

– Naprawdę byłbym wdzięczny, gdybyś dał mi znać, czy mnie słyszysz – rozległ się znowu ten sam głos. – Chciałbym przystąpić do rzeczy.

Ciekawość zwyciężyła w końcu rozsądek i podniosłem głowę.

– Właśnie! Wiedziałem!

Na szaroniebieskiej skalnej półce nade mną przysiadł sfinks, też niebieski: ciało lwa, wielkie, ciasno złożone pierzaste skrzydła, bezpłciowa twarz spoglądająca na mnie z uwagą. Oblizwał wargi, demonstrując garnitur wspianiałych zębów.

– Do czego przystąpić? – spytałem. Usiadłem powoli i kilka razy głęboko odetchnąłem.

– Do zagadek – wyjaśnił. – To potrafię najlepiej.

– Może kiedy indziej – mruknąłem. Czekałem, aż miną skurcze mięśni rąk i nóg.

– Przykro mi, ale muszę nalegać.

Roztarłem ukąszone przedramię i spojrzałem na bestię z niechęcią. Większość znanych mi historii o sfinksach wspominała o pożeraniu ludzi, którzy nie potrafili rozwiązać zagadki.

– Nie będę uczestniczył w twojej grze – oznajmiłem.

– W takim przypadku przegrywasz walkowerem – odparł. Mięśnie barków naprężyły mu się wyraźnie.

– Zaczekaj. – Uniosłem rękę. – Daj mi minutę czy dwie na powrót do formy, to może zmienię zdanie.

Położył się swobodnie.

– Dobrze. W ten sposób wszystko będzie bardziej oficjalne. Daję ci pięć minut. Zawiadam, kiedy będziesz gotów.

Podniosłem się, zacząłem wymachiwać rękami i przeciągać się. Przy okazji rozejrzałem się szybko.

Znajdowaliśmy się na piaszczystym dnie wąwozu, z którego tu i tam sterczały pomarańczowe, szare i błękitne głazy. Skalna ściana, której występ zajmował sfinks, miała około ośmiu metrów. Druga, mniej więcej tej samej wysokości, wyrastała dziesięć metrów za moimi plecami. Podłoże wznoszące się stromo po prawej stronie, po lewej było bardziej płaskie. W zagłębieniach i szczelinach rosło kilka kolczastych krzewów. Zbliżał się zmierzch, niebo było bladożółte i nie widziałem słońca. W dali słyszałem szum wiatru, chociaż nie czułem podmuchu. Było chłodno, ale nie zimno.

W pobliżu dostrzegłem kamień rozmiarów niedużego ciężarka do hantli. Zrobiłem dwa kroki w bok – nie przerywając wymachów i rozciągań – i leżał tuż obok mojej prawej stopy.

Sfinks odchrząknął.

– Jesteś gotów? – zapytał.

– Nie – odparłem. – Ale nie sądzę, by cię to powstrzymało.

– Masz rację.

Ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by ziewnąć; zrobiłem to.

– Mam wrażenie, że brakuje ci odpowiedniego nastawienia – zauważył. – Ale oto zagadka: Wznoszę się z ziemi wśród ognia. Szarpią mnie wichry i chłoszcze woda. Wkrótce stanę ponad wszystkim.

Czekałem. Upłynęła minuta.

– No więc? – spytał sfinks.

– Co wiec?

– Czy znasz rozwiązanie?

– Rozwiązanie czego?

– Zagadki, oczywiście.

– Czekałem. Nie postawiłeś pytania, wygłosiłeś tylko ciąg stwierdzeń. Nie mogę odpowiadać na pytanie, skoro nie wiem, jak ono brzmi.

– To forma uświęcona tradycją. Problem wynika z kontekstu. To oczywiste, że pytanie brzmi: „Czym jestem?”

– Równie dobrze mógłbyś zapytać: „Kto jest pochowany w grobie Granta?” Ale niech będzie. Co to jest? Feniks, oczywiście. Ma gniazdo na ziemi i w płomieniach unosi się nad nią, wlatuje w

powietrze, przez chmury, na wielką wysokość...

– Błąd.

Uśmiechnął się i poruszył groźnie.

– Czekaj – rzuciłem szybko. – To wcale nie jest błąd. Może oczekiwałeś innej odpowiedzi, ale ta spełnia wszelkie założenia. Pokręcił głową.

– Ja tu ostatecznie rozstrzygam kwestie odpowiedzi. Do mnie należą definicje.

– W takim razie oszukujesz.

– Nieprawda!

– Wypiłem połowę zawartości butelki. Czy jest teraz w połowie pusta czy w połowie pełna?

– Jedno i drugie.

– No właśnie. To jest to samo. Jeśli pasuje więcej niż jedna odpowiedź, musisz uznać je wszystkie. To jak fale i cząstki.

– Nie podoba mi się takie podejście – oświadczył. – Otwiera pole dla wieloznaczności. Może popsuć cały zagadkowy interes.

– Nie moja wina – mruknąłem, zaciskając i rozprostowując palce.

– Poruszyłeś jednak interesujący problem.

Z zapalem kiwnąłem głową.

– Przecież powinna istnieć tylko jedna właściwa odpowiedź.

Wzruszyłem ramionami.

– Żyjemy w świecie, który nie jest całkiem doskonały – próbowałem mu wytłumaczyć.

– Hm.

– Zgódźmy się na remis – zaproponowałem. – Nikt nie wygrywa, nikt nie przegrywa.

– Uważam, że takie rozwiązanie nie daje estetycznej satysfakcji.

– W wielu innych grach sprawdza się całkiem dobrze.

– W dodatku zaczynam być trochę głodny.

– Prawda wychodzi na jaw.

– Ale nie jestem nieuczciwy. Na swój sposób także służę prawdzie. Wspomniałeś o remisie. To nasuwa mi pomysł rozwiązania sporu.

– To dobrze. Cieszę się, że rozumiałeś...

– Mianowicie przez dogrywkę. Teraz ty zadaj mi zagadkę.

– To głupie – zaprotestowałem. – Nie znam żadnych zagadek.

– Więc lepiej szybko sobie jakąś przypomnij. Ponieważ to jedyne wyjście z tego ślepego zaułka.

W przeciwnym razie uznam cię za pokonanego.

Zrobiłem wymach i kilka przysiadów. Miałem wrażenie, że całe moje ciało staje w ogniu. Ale też nabiera sił.

– Dobrze – zgodziłem się. – Dobrze. Jedną sekundę... Co by tu, do diabła...

– Co jest zielone w czerwonym i pływa w koło i w koło, i w koło?

Sfinks zamrugał dwa razy, po czym zmarszczył brwi.

Wykorzystałem ten czas na głębokie oddechy i bieg w miejscu. Ognie przygasły, umysł rozjaśnił się, puls wyrównał...

– I co? – spytałem kilka minut później.

– Myślę.

– Nie spiesz się.

Przeprowadziłem krótką walkę z cieniem. Potem parę ćwiczeń izometrycznych. Niebo pociemniało i po prawej stronie dostrzegłem kilka gwiazd.

– Uhm, nie chciałbym cię popędzać, ale...

Sfinks prychnął.

– Jeszcze myślę.

– Może powinniśmy ustalić jakiś limit czasu.

– To już nie potrwa długo.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli trochę odpocznę?

– Nie krępuj się.

Wyciągnąłem się na piasku i zamknąłem oczy. Zanim usnąłem, szepnąłem jeszcze Frakir strzegące słowo.

Zbudziłem się drżący. Światło raziło mnie w oczy, a wiatr dmuchał w twarz. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to rano. Niebo rozjaśniało się po lewej stronie, a po prawej znikaly gwiazdy. Byłem spragniony. I głodny.

Przetarłem oczy. Wstałem. Znalazłem grzebień i przyczesalem włosy. Spojrzałem na sfinksa.

– ...i pływa w koło i w koło, i w koło – wymruczał.

Chrząknąłem. Żadnej reakcji. Bestia zachowywała się tak, jakby w ogóle mnie nie dostrzegala. Zacząłem się zastanawiać, czy może zdołam się wymknąć... Nie. Zwrócił ku mnie wzrok.

– Dzień dobry – powiedziałem uprzejmie.

Usłyszałem krótkie zgrzytnięcie zębów.

– No dobrze – stwierdziłem. – Myślisz już o wiele dłużej ode mnie. Jeśli nie zgadłeś do tej pory, to dalsza gra już mnie nie interesuje.

– Nie podoba mi się twoja zagadka – oświadczył w końcu.

– Przykro mi.

– Jakie jest rozwiązanie?

– Poddajesz się?

– Muszę. Jakie jest rozwiązanie?

– Chwileczkę. – Podniosłem rękę. – Takie sprawy należy załatwiać we właściwym porządku. Zanim ci odpowiem, wolałbym najpierw poznać rozwiązanie twojej.

Pokiwał głową.

– Jest w tym jakaś sprawiedliwość. Niech będzie. To Twierdza Czterech Światów.

– Co?

– To jest rozwiązanie. Twierdza Czterech Światów.

Przypomniałem sobie, co mówił Melman.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Leży na granicy światów czterech żywiołów. Wznosi się z ziemi wśród ognia, chłostana wiatrami i wodą.

– A co z tym sięganiem ponad wszystko?

– Może tu chodzić o widoki albo o imperialne plany jej władcy. Albo jedno i drugie.

– Kto jest władcą?

– Tego nie wiem. Ta informacja nie jest istotna dla rozwiązania.

– A właściwie skąd wzięłeś tę zagadkę?

– Od wędrowca. Parę miesięcy temu.

– To dlaczego ze wszystkich zagadek, które znasz, właśnie tę mi zadałeś?

– Musi być dobra, skoro jej nie rozwiązałem.

– A co się stało z wędrowcem?

– Poszedł w swoją drogę, nie zjedzony. Rozwiązał moją zagadkę.

- Czy miał jakieś imię?
- Nie powiedział.
- Mógłbyś go opisać?
- Nie. Był grubo opatulony.
- I nic więcej nie mówił o Twierdzy Czterech Światów?
- Nie.

– W takim razie chyba wezmę z niego przykład i też sobie pójde.

Odwróciłem się i stanąłem przed zboczem po prawej stronie.

– Stój!

– O co chodzi? – Obejrzałem się.

– Twoja zagadka – przypomniał. – Podałem ci rozwiązanie swojej. A teraz ty musisz mi powiedzieć, co jest zielone w czerwonym i pływa w koło i w koło, i w koło.

Schyliłem głowę, przeszukałem ziemię. A tak, tam leży – mój kamień w kształcie ciężarka.

Przeszedłem kilka kroków i stanąłem przy nim.

– Żaba w sosie pomidorowym – oświadczyłem.

– Co?

Napiął mięśnie barków, zmrużył oczy, a jego liczne zęby stały się bardzo wyraźnie widoczne.

Wypowiedziałem kilka słów do Frakir i poczułem, że drgnęła. Przykucnąłem i prawą ręką chwyciłem mój kamień.

– To właśnie to – powiedziałem wstając. – Jedno z tych wizualnych dań w Cuisinart...

– To oszukańcza zagadka! – osądził sfinks.

Lewym palcem wskazującym wykonałem przed sobą dwa szybkie ruchy.

– Co robisz? – zdziwił się.

– Wykreślam linie od twoich uszu do oczu – wyjaśniłem.

W tej właśnie chwili Frakir stała się widzialna. Zsunęła się z nadgarstka i wplotła między palce.

Wzrok sfinksa sięgnął ku niej, a ja uniosłem kamień na wysokość ramienia. Jeden koniec Fraku opadł luźno i wijąc się zwisał z wyciągniętej dłoni. Jaśniała wciąż mocniej, aż wreszcie płonęła niby rozpalony srebrny drut.

– Uważam, że nasz turniej skończył się remisem – oznajmiłem. – Co ty na to?

Sfinks oblizwał wargi.

– Tak – zgodził się wreszcie z westchnieniem. – Chyba masz rację.

– W takim razie życzę ci miłego dnia.

– Tak. Szkoda. No trudno. Szczęśliwej drogi. Ale zanim odejdiesz, czy mógłbym poznać twoje imię? Do kroniki.

– Czemu nie. Jestem Merlin z Chaosu.

– Ach – mruknął. – Więc ktoś zjawiłby się, żeby cię pomścić.

– To całkiem możliwe.

– W takim razie remis jest rzeczywiście najlepszy. Idź.

Odszedłem jeszcze kawałek tyłem, nim odwróciłem się i ruszyłem zboczem w górę.

Zachowywałem ostrożność, póki nie opuściłem tej okolicy, jednak nikt mnie nie ścigał.

Ruszyłem biegiem. Byłem głodny i spragniony, ale w tej puste, skalistej okolicy pod cytrynowym niebem raczej nie mogłem spodziewać się śniadania. Frakir zwinęła się i znikła. Kilka razy odetchnąłem głęboko, kierując się dalej od wschodzącego słońca.

Wiatr w moich włosach, pył w oczach... Biegłem ku grupce głazów, wszedłem między nie. Oglądane z głębi ich cienia niebo nabrało zielonkawej barwy. Wynurzyłem się na mniej surowej

równinie. Coś połykiwało w dali, po lewej stronie płynęły chmury.

Utrzymywałem równe tempo. Dotarłem do niewielkiego wzniesienia, pokonałem je, zszedłem po zbocz, gdzie falowały rzadkie trawy. W dali zagajnik rosochatych drzew... Ruszyłem ku nim, płosząc niewielkie stworzonko o pomarańczowym futrze, które przebiegło przez moją ścieżkę i zniknęło po lewej stronie. Po chwili przemknął czarny ptak; krzyknął jękliwie i skręcił w tym samym kierunku. Biegłem dalej, a niebo stawało się coraz ciemniejsze.

Zielone niebo, gęściejsza trawa, także zielona... Silne podmuchy wiatru w nieregularnych odstępach czasu... Bliżej drzew... Ptasia piosenka dobiega spośród gałęzi... Suną chmury... Znika sztywność mięśni i powraca znajoma płynność ruchów... Mijam pierwsze drzewa, krocząc po długich, upadłych liściach... Przechodzę wśród omszałych pni... Udeptana ścieżka, którą podążam, zmienia się w trakt; na nim niezwykle ślady stóp... Trakt opada, zakręca, poszerza się i zwęża na powrót... Grunt wznosi się po obu stronach... Drzewa brzęczą basową nutą skrzypiec... Łaty nieba pomiędzy liśćmi mają barwę morynowego turkusy... Pasma chmur wiją się niby srebrzyste rzeki...

Obok szlaku wyrastają niewielkie kępki niebieskich kwiatów... Zbocza po obu stronach wznoszą się wyżej, ponad głowę... Droga staje się kamienista... Biegnę... Szlak poszerza się coraz bardziej i opada w dół... Zanim jeszcze dostrzegam ją czy słyszę, czuję zapach wody... Ostrożnie teraz, między kamieniami... Tu wolniej... Skręcam i widzę strumień, wysokie kamieniste brzegi po obu stronach, metr czy dwa płaskiego nabrzeża...

Jeszcze wolniej, obok bulgoczącego, roziskrzonego potoku... Podążam za jego meandrami... Zakręty, łuki, drzewa wysoko nad głową, po prawej stronie odsłonięte korzenie, urwisko szare i żółte, opadające ku łupkowemu podłożu...

Płaski brzeg jest coraz szerszy, skarpy wciąż niższe... Pod stopami więcej piasku i mniej kamieni... Niżej, niżej... Kolejny zakręt, wąwóz znowu płytszy... Sięga do szyi, do piersi... Wokół drzewa o zielonych liściach, nad głową błękitne niebo, po prawej ręce trakt... Wspinam się na skarpe i podążam nim...

Drzewa i krzewy, ptasie głosy i chłodny wiatr... Wciągam powietrze, wydłużam krok... Przechodzę drewnianym mostkiem; kroki odbijają się echem, wąski ruczaj spływa do niewidocznego już strumienia, przy nim omszałe głazy... Po prawej stronie niski, kamienny murek... Przede mną koleiny wozów... Polne kwiaty przy trakcie... Z daleka dobiega głośny śmiech... Rzenie konia... Skrzypienie powozu... Zakręt w lewo... Szerszy szlak... Cień i słońce, słońce i cień... Plamy, cętki... Po lewej rzeka rozlewa się szeroko, skrzy się... Smuzka dymu nad pobliskim wzgórzem... Zwalniam dochodząc do szczytu. Osiągam go spacerkiem, przyczesując włosy. Mięśnie boją, płuca pracują jak miechy, krople potu chłodzą mi skórę. Wypluwam kurz. Poniżej, nieco z prawej, stoi wiejska gospoda: kilka stolików na obszernej, drewnianej werandzie, wychodzącej na rzekę; jeszcze kilka w ogrodzie tuż obok. Żegnaj, czasie terażniejszy. Przybyłem.

Zszedłem ze wzgórza, po drugiej stronie budynku znalazłem pompę i splukałem ręce i twarz. Lewe przedramię ciągle jeszcze bolało i było lekko zaognione w miejscu, gdzie ukąsiła mnie Jasra. Wszedłem na werandę i usiadłem przy stoliku, skinąwszy na posługaczkę, którą zauważyłem wewnątrz. Po chwili przyniosła mi owsiankę, parówki, jajka, chleb, masło, konfiturę z truskawek i herbatę. Rozprawilem się z tym błyskawicznie i zamówiłem jeszcze jedną porcję. Tym razem pojawiło się wrażenie powrotu do normalności, więc zwolniłem, rozkoszowałem się nim i przyglądałem rzece.

W dziwny sposób zakończyłem pracę. Wykonałem swe dzieło i liczyłem na jakiś przyjemny wyjazd, na długie, leniwe wakacje. Na przeszkodzie stała tylko drobna sprawa z S – byłem pewien, że potrafię ją szybko załatwić. A teraz znalazłem się w samym centrum czegoś, czegoś niepojętego,

niesamowitego i groźnego.

Popijając herbatę, czując grzejące wciąż mocniej słońce, łatwo mógłbym ulec wrażeniu chwilowego spokoju. Ale wiedziałem, że to ulotny moment. Póki nie rozwiążę zagadki, nie będzie dla mnie odpoczynku ani bezpieczeństwa. Oceniając zdarzenia rozumiałem, że jeśli chcę wyjść z tego cały i znaleźć rozwiązanie, nie mogę już polegać na własnych odruchach. Pora ułożyć jakiś plan.

Tożsamość S i usunięcie go z drogi znalazły się wysoko na liście spraw, o których powinienem wszystkiego się dowiedzieć i które powinienem załatwić.

Jeszcze wyżej umieściłem określenie motywów S. Musiałem porzucić opinię, że mam do czynienia z jakimś monomaniakalnym wariatem. S zbyt precyzyjnie organizował swoje działania i posiadał niezwykle zdolności. Zacząłem szukać odpowiednich kandydatów we własnej przeszłości. Lecz choć bez trudu potrafiłem wskazać kilku zdolnych do zaaranżowania wszystkiego, co wydarzyło się do tej chwili, to nikt z nich nie żywił do mnie szczególnie nieprzyjaznych uczuć. A jednak dziennik Melmana wspominał o Amberze. W teorii czyniło to całą kwestię sprawą rodzinną i chyba nakładało obowiązek powiadomienia krewnych. Lecz byłoby to prośbą o pomoc, stwierdzeniem, że nie potrafię sam rozwiązać własnych problemów. A zagrożenie mojego życia to przecież mój problem. Julia to mój problem. Do mnie należy zemsta. Kiedyś będę musiał się nad tym zastanowić.

Ghostwheel?

Przemyślałem ten pomysł, odrzuciłem, potem zadumałem się znowu. Ghostwheel... Nie. Nie wypróbowany. Wciąż w stadium rozwoju. Ta myśl przyszła mi do głowy tylko dlatego, że był moim ulubieńcem, dziełem życia, niespodzianką dla innych. Nie, szukałem przecież możliwie prostego rozwiązania. Musiałbym wprowadzić o wiele więcej danych, co oznaczało, że musiałbym ich poszukać.

Ghostwheel...

W tej chwili potrzebowałem informacji. Miałem karty i dziennik. Atutami wolałem się na razie nie bawić, skoro pierwszy okazał się czymś w rodzaju pułapki. Przeczytam dziennik, naturalnie, choć odniosłem wrażenie, że jest zbyt subiektywny, by w czymś pomóc.

Powinienem jednak wrócić do Melmana i jeszcze raz się rozejrzeć – na wypadek, gdybym coś przeoczył. A potem znaleźć Luke'a. Może powie coś więcej, może przypomni sobie jakiś szczegół, który będę mógł wykorzystać. Tak... Westchnąłem i przeciągnąłem się. Dopięłem herbatę, cały czas patrząc na rzekę. Przesunąłem Frakir nad garścią pieniędzy i wybrałem dość przekształconych monet, by zapłacić za posiłek. Potem wróciłem na szlak. Pora wracać.

Rozdział 5

Wbiegłem w późne popołudnie i zatrzymałem się na ulicy przed moim samochodem. Z trudem go rozpoznałem. Był pokryty kurzem, popiołem i miał pełno zacieków wody. Jak długo właściwie mnie nie było? Nie próbowałem ustalić różnicy upływu czasu pomiędzy tam a tutaj, ale wóz sprawiał wrażenie, że stoi tu ponad miesiąc. Chociaż nie był uszkodzony. Nikt się nie włamał ani...

Moje spojrzenie przebiegło ponad maską i dalej. Budyńku, gdzie mieściła się Brutus Storage Company i mieszkanie świętej pamięci Victora Melmana, już tam nie było. Na rogu pozostał tylko wypalony szkielet i zachowane części dwóch ścian. Ruszyłem w tamtą stronę.

Szedłem spacerowym krokiem i oglądałem to, co pozostało. Zwęglone szczątki były zimne i martwe. Szare smugi i gładkie kręgi sadzy wskazywały, że pompowano tu wodę, która zdążyła już wyschnąć. Zapach pogorzelniska nie był szczególnie intensywny. Czy to ja spowodowałem pożar tym ogniskiem w wannie? Chyba nie. To był niewielki i odizolowany płomień, a póki czekałem w mieszkaniu, nic nie wskazywało na to, by miał się rozszerzyć.

Kiedy badałem ruiny, obok przejechał chłopiec na zielonym rowerze. Wrócił po kilku minutach i zahamował trzy metry ode mnie. Wyglądał na jakieś dziesięć lat.

- Widziałem to – oznajmił. – Widziałem, jak się paliło.
- Kiedy to było? – spytałem.
- Trzy dni temu.
- Wiedzą, co było powodem?
- Coś w tych magazynach, coś łatwego.
- Łatwopalnego?
- Tak – potwierdził ze szczerbatym uśmiechem. – Może specjalnie. Coś z ubezpieczeniami.
- Naprawdę?
- Uhm. Tata mówił, że pewnie marnie im szły interesy.
- Takie rzeczy się zdarzają – przyznałem. – Czy byli jacyś ranni?
- Myśleli, że może spalił się ten malarz, co mieszkał na górze, bo nigdzie nie mogli go znaleźć. Ale nie było żadnych kości ani nic. To był Fajny pożar. Długo się paliło.

- Wybuchł w dzień czy w nocy?
- W nocy. Patrzyłem stamtąd... – Pokazał miejsce po drugiej stronie ulicy, w kierunku, z którego przyszedłem. – Dużo wody nalali.
- Nie widziałeś, czy ktoś wychodził z budynku?
- Nie – odparł. – Jak przyszedłem, paliło się już na całego. Pokiwałem głową i zawróciłem do samochodu.
- Naboje powinny wybuchnąć w takim pożarze, prawda? – zapytał.
- Prawda – potwierdziłem.

– Ale nie wybuchły.

Odwróciłem się.

– Nie rozumiem.

Malec grzebał już w kieszeni.

– Wczoraj bawiliśmy się tu z chłopakami – wyjaśnił. – I znaleźliśmy całą masę naboii.

Otworzył dłoń, demonstrując kilka metalowych obiektów, Kiedy szedłem ku niemu, przykucnął i położył jeden na chodniku. Potem złapał jakiś kamień i zamachnął się.

– Nie! – krzyknąłem.

Kamień uderzył w nabój i nic się nie stało.

– Mogłeś zrobić sobie krzywdę... – zacząłem, ale przerwał mi.

– Nie. Nie ma sposobu, żeby te dranie wybuchły. Nie da się nawet podpalić tego różowego ze środka. Masz zapałki?

– Różowego? – powtórzyłem. Chłopiec przesunął kamień, odsłaniając zgniecioną łuskę i drobne ślady różowego proszku.

– Tego. – Wskazał palcem. – Śmieszny, nie? Myślałem, że proch jest szary.

Przyklęknałem i dotknąłem dziwnej substancji. Roztarłem w palcach. Powąchałem. Nawet skosztowałem.

Nie miałem pojęcia, co to może być za paskudztwo.

– Nie wiem – stwierdziłem. – Mówisz, że się nic pali?

– Nie. Nasypaliśmy trochę do gazety i podpaliśmy ją. Ten proszek roztopił się i wypłynął. Nic więcej.

– Masz jeszcze parę?

– No... mam.

– Dam ci za nie Dolca – obiecałem.

Znowu pokazał zęby i przerwy między nimi, a jego dłoń zniknęła w kieszeni dzinsów. Przesunąłem Frakir nad dziwną gotówką z Cienia, po czym wybrałem ze stosu dolara. Chłopak przyjął go i wręczył mi dwa brudne od sadzy naboje kalibru 30,30.

– Dzięki – powiedział.

– Drobiazg. Znalazłeś jeszcze coś ciekawego?

– Nie. Wszystko się spaliło.

Wróciłem do samochodu. Wycieraczki tylko rozmazywały brud na szybie, więc skręciłem po drodze do pierwszej napotkanej myjni. A kiedy gąbczaste macki sięgały ku mnie spośród morza piany, sprawdziłem, czy mam jeszcze te zapałki, które zostawił mi Luke. Były. To dobrze. Przed myjnią zauważyłem telefon.

– Halo, motel New Line – odezwał się młody, męski głos.

– Parę dni temu wprowadził się do was Lucas Raynard – powiedziałem. – Chciałbym sprawdzić, czy nie zostawił dla mnie wiadomości. Nazywam się Merle Corey.

– Chwileczkę.

Cisza. Jakieś szmery.

– Tak, zostawił.

– Co napisał?

– Jest w zaklejonej kopercie. Wolałbym raczej...

– W porządku. Podjadę do was.

Na miejscu, za kontuarem w hallu znalazłem właściciela głosu. Przedstawiłem się i poprosiłem o kopertę.

Recepcjonista – niewysoki blondyn ze zjeżonym wąsem – przyglądał mi się przez chwilę.

– Czy spotka się pan z panem Raynardem? – zapytał w końcu.

– Tak.

Otworzył szufladę i wyjął małą, brązową kopertę. Było na niej wypisane nazwisko Luke'a i numer pokoju.

– Nie zostawił adresu – wyjaśnił, otwierając kopertę. – Pokojówka znalazła to w łazience, kiedy się wyprowadził. Czy mógłby mi pan oddać?

– Jasne – zgodziłem się, a on wręczył mi pierścień.

Usiadłem w fotelu po lewej stronie hallu. Pierścień był z różowawego złota, z niebieskim kamieniem. Chyba nigdy go u Luke'a nie widziałem. Wsunąłem go na serdeczny palec lewej ręki. Pasował idealnie. Postanowiłem nosić go, póki się nie spotkamy.

Otworzyłem list napisany na motelowej papeterii.

Przeczytałem:

Merle.

Skoro, z kolacji nic nie wyszło. Czekałem. Mam nadzieję, że nic się nie stało. Rano wyjeżdżam do Albuquerque. Zostanę tam trzy dni. Potem następne trzy w Santa Fe. Tu i tu zatrzymam się w Hiltonie. Jest parę spraw które chciałbym z tobą omówić. Skontaktuj się.

Luke

Hm.

Zadzwoiłem do mojego biura podróży i dowiedziałem się, że jeśli się pospieszę, mogę dostać miejsce na popołudniowy lot do Albuquerque. Zdecydowałem się, ponieważ zależało mi na rozmowie twarzą w twarz, nie przez telefon. Podjechałem do nich, odebrałem bilet, zapłaciłem gotówką, dotarłem na lotnisko i parkując pożegnałem się z samochodem. Nie sądziłem, żebym go znowu zobaczył. Zrzuciłem plecak na ramię i ruszyłem do terminalu.

Reszta była łatwa i prosta. Patrzyłem, jak oddala się ziemia, i wiedziałem, że pewien etap mojego życia właśnie dobiegł końca. I jak wiele rzeczy. odbyło się to całkiem inaczej, niż sobie planowałem. Zamierzałem szybko załatwić sprawę S albo zapomnieć o niej, potem odwiedzić kilku osób, które od dawna już chciałem zobaczyć, zatrzymać się w paru miejscach, które od dawna mnie interesowały. Później ruszyłbym poprzez Ciebie by jeszcze raz sprawdzić Ghostwheela, i wreszcie podążyć ku jaśniejszemu biegunowi mojej egzystencji. Teraz priorytety uległy zmianie – wszystko z powodu jakiegoś związku między S a śmiercią Julii, a także dlatego, że w sprawę była zaangażowana jakaś niezrozumiała dla mnie siła z Cienia.

Ta druga sprawa niepokoiła mnie w najwyższym stopniu. Czyżbym kopał dla siebie grób, równocześnie z powodu własnej dumy narażając krewnych i przyjaciół? Chciałem sam to załatwić, ale, przyjazne nieba, im więcej o tym myślałem, tym większe wrażenie robiły na mnie wrogie siły, które już poznałem, a także skromny zakres mej wiedzy o S. To nieuczciwe, zatajać wszystko przed innymi – zwłaszcza że im też może grozić niebezpieczeństwo. Chciałbym sam rozwiązać całą sprawę i wręczyć im S w prezencie. Może nawet to zrobię, ale...

Do diabła, przecież muszę im powiedzieć. Jeśli S dostanie mnie i zwróci się przeciw nim, lepiej, żeby wiedzieli. Jeśli to element czegoś większego, lepiej, żeby wiedzieli.

I chociaż bardzo mi się to nie podobało, będę musiał im powiedzieć.

Pochyliłem się i zawahałem, sięgając do schowanego pod fotelem plecaka. Nic się przecież nie stanie, stwierdziłem, jeśli zaczekam do rozmowy z Lukiem. Zanim opowiem im swoją historię,

wolałbym najpierw poznać więcej szczegółów. Nie ma pośpiechu.

Westchnąłem. Stewardesa podała mi drinka i teraz sączyłem go wolno. Normalna jazda do Albuquerque trwałaby zbyt długo, a skrót przez Ciebie raczej nie wchodził w grę, ponieważ nigdy tam nie byłem i nie wiedziałem, jak znaleźć właściwe miejsce. Tym gorzej. Szkoda, że nie będę miał samochodu. Luke jest już pewnie w Santa Fe.

Łyknąłem jeszcze i przyglądałem się kształtom chmur. Dostrzegałem takie, które pasowały do mojego nastroju, więc wyjąłem książkę i czytałem, póki nie zaczęliśmy podchodzić do lądowania. Kiedy znowu spojrzałem w okno, moje pole widzenia wypełniały górskie szczyty.

Trzeszczący głos zapewnił mnie, że pogoda jest znakomita. Myślałem o swoim ojcu.

Dotarłem do bramki, minąłem kiosk pełen indiańskiej biżuterii, meksykańskich naczyń i krzykliwych pamiątek, znalazłem telefon i zadzwoniłem do miejscowego Hiltona. Powiedzieli, że Luke już się wyprowadził. Zatelefonowałem do Hiltona w Santa Fe. Owszem, zameldował się, ale nie było go u siebie. Zarezerwowałem pokój i odłożyłem słuchawkę. Kobieta w informacji powiedziała, że za jakieś pół godziny mogę złapać autobus Shuttlejack do Santa Fe i wskazała, gdzie są kasy. Santa Fe to jedna z niewielu stolic stanów, które nie mają porządnego lotniska. Czytałem gdzieś o tym.

Kiedy jechaliśmy na północ autostradą I-25, gdzieś pomiędzy coraz dłuższymi cieniami w okolicach Sandia Peak, Frakir zacisnęła mi się nagle na ręce i natychmiast zwolniła nacisk. I znowu. A potem jeszcze raz. Rozejrzałem się szybko, szukając niebezpieczeństwa, przed którym właśnie mnie ostrzeżono.

Miałem miejsce z tyłu. Na przodzie dostrzegłem parę w średnim wieku – mówili z teksaskim akcentem i mieli na sobie straszliwe ilości srebrnej biżuterii z turkusami. Bliżej środka trzy starsze kobiety dyskutowały, co słysząc w Nowym Jorku. Po drugiej stronie siedziała para bardzo zajętych sobą młodych ludzi i dwóch chłopaków z rakietami do tenisa, rozmawiających o college'u. Za nimi zakonnicza czytała jakąś książkę. Wyjrzałem przez okno, ale na autostradzie ani w jej pobliżu nie zauważyłem niczego szczególnie groźnego. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi, co nastąpiłoby z pewnością, gdybym użył którejś z technik lokalizacji.

Dlatego roztarłem ramię i wypowiedziałem jedno słowo w thari. Ostrzeżenia urwały się. Pozostała część podróży minęła spokojnie, jednak to zdarzenie mocno mnie zaniepokoiło. Co prawda, od czasu do czasu mógł się trafić fałszywy alarm. Wynikało to z samej natury systemu nerwowego. Zastanawiałem się, obserwując czerwone łupki, czerwone i żółte pasy skał, przejeżdżając nad wąwozami, spoglądając na odległe szczyty i bliższe zbocza. Czyżby S? Czy kryje się gdzieś niedaleko, przygląda się i czeka? A jeśli tak, to dlaczego? Czy nie moglibyśmy po prostu omówić tego wszystkiego przy piwie? Może cała sprawa wynikała z jakiegoś nieporozumienia.

Miałem przecucie, że nie chodzi tu o nieporozumienie. Ale na razie wystarczyłaby mi wiedza o tym, co się właściwie dzieje, nawet gdybyśmy niczego nie rozwiązali. Mógłbym nawet zapłacić za piwo.

Gdy wjeżdżaliśmy do miasta, blask zachodzącego słońca wykrzesał jasne iskry na łąkach śniegu w Sangre de C'ristos. Cienie prześlizgiwały się po szarzielonych zboczach. Większość budynków w polu widzenia była otynkowana. Wysiadając przed Hiltonem miałem wrażenie, że jest o jakieś dziesięć stopni zimniej, niż kiedy wchodziłem do autobusu w Albuquerque. Nic dziwnego; zyskałem około sześciuset metrów wysokości i przesunąłem się ponad godzinę w kierunku wieczoru.

Zameldowałem się, znalazłem swój pokój i spróbowałem zatelefonować do Luke'a, ale nikt nie odpowiadał.

Wziąłem prysznic, przebrałem się i zadzwoniłem znowu, też bez rezultatu. Zaczynałem być głodny

i miałem nadzieję, że zjemy kolację razem.

Postanowiłem znaleźć bar, posiedzieć chwilę przy piwie, a potem sprawdzić jeszcze raz. Miałem nadzieję, że nie wróci z jakiegoś męczącego spotkania. Niejaki pan Brazda, którego spytałem w hallu o drogę, okazał się kierownikiem. Zapytał, czy jestem zadowolony z pokoju, wymieniliśmy kilka uprzejmości, potem wskazał mi korytarz prowadzący do baru. Ruszyłem w tamtą stronę, ale nie dotarłem do celu.

– Merle! Co ty tu robisz, do licha? – usłyszałem znajomy głos.

Odwróciłem się i spojrzałem na Luke'a, który właśnie wszedł do hallu. Spocony i uśmiechnięty, miał na sobie zakurzony wojskowy dres, ciężkie buty, wojskową czapkę i kilka plam brudu na twarzy. Podał mi rękę.

– Chciałem z tobą porozmawiać – wyjaśniłem. I dodałem: – Co to, zaciągnąłeś się czy co?

– Nie. Byłem na całodniowej wyprawie w Pecos. Zawsze to robię, kiedy trafię w te okolice. Rewelacja!

– Będę musiał kiedyś spróbować. A na razie to chyba moja kolej, żeby postawić kolację.

– Fakt – zgodził się. – Wezmę tylko prysznic i zmienię rzeczy. Spotkajmy się w barze za piętnaście, dwadzieścia minut. Zgoda?

– Dobrze. To na razie.

Ruszyłem korytarzem i znalazłem lokal. Był średniej wielkości, mroczny, chłodny i dosyć zatłoczony. Składał się z dwóch połączonych sal z niskimi, wygodnymi na oko krzesłami i małymi stoliczkami. Jakaś para właśnie zwolniła miejsce w rogu po lewej stronie i z drinkami w dłoniach ruszyła za kelnerką do sąsiedniej restauracji. Zająłem stolik. Po chwili zjawiała się kelnerka z baru. Zamówiłem piwo.

Kilka minut później siedziałem sobie, popijałem wolno i pozwalałem, by moje myśli dryfowały nad perwersyjnie splątanymi wydarzeniami ostatnich dni. Nagle zdałem sobie sprawę, że jedna z licznych przechodzących obok postaci jakoś nie przeszła. Zatrzymała się przy mnie z tyłu, akurat tak daleko, by wzrok zarejestrował ją jako ciemny kształt na granicy percepcji.

– Przepraszam bardzo – odezwała się cicho. – Czy mógłbym zadać panu jedno pytanie?

Obejrzałem się. Stał przy mnie niski, szczupły mężczyzna o wyglądzie Hiszpana. z włosami i wąsikami przyprószonymi już siwizną. Był dostatecznie elegancki i zadbany, by uchodzić za miejscowego biznesmena. Zauważyłem wyszczerbiony przedni ząb, kiedy uśmiechnął się lekko – zwykle skrzywienie ust – jakby chciał okazać zdenerwowanie.

– Nazywam się Dan Martinez – powiedział, nie podając ręki. Rzucił okiem na krzesło naprzeciwko mnie. – Czy mogę przysiąść się na chwilę?

– O co chodzi? Jeśli pan coś sprzedaje, to nie jestem zainteresowany. Czekam na kogoś i...

Pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Wiem, że pan na kogoś czeka: na pana Lucasa Raynarda. Szczerze mówiąc, chodzi właśnie o niego.

Wskazałem mu miejsce.

– Dobrze. Niech pan siada i zada to pytanie. Skorzystał z zaproszenia i złożył dłonie na blacie stolika. Pochylił się lekko.

– Przypadkiem słyszałem rozmowę panów – zaczął. – I odniosłem wrażenie, że zna go pan dobrze. Czy zechciałby pan zdradzić, od jak dawna trwa ta znajomość?

– Jeśli tylko to pana interesuje – odparłem – to od ośmiu lat. Razem chodziliśmy do college'u, a potem przez kilka lat pracowaliśmy w jednej firmie.

– W Grand Design – dokończył. – Firma komputerowa z San Francisco. Ale nie znał go pan przed

college'em?

– Mam wrażenie, że wie pan już całkiem sporo. Ale czego pan właściwie chce? Jest pan glina albo czymś takim?

– Nie – zaprzeczył. – Nic podobnego. Zapewniam pana, że nie próbuję przysporzyć pańskiemu przyjacielowi kłopotów. Chciałbym tylko oszczędzić ich sobie. Czy mógłbym spytać...

Pokręciłem głową.

– Dość tego przesłuchania – stwierdziłem. – Nie mam ochoty rozmawiać z obcymi o przyjaciółach. Chyba że mają naprawdę ważne powody.

Rozłożył szeroko ręce.

– Niczego nie knuję. Wiem przecież, że wszystko mu pan powtórzy. Więcej nawet, proszę o to. On mnie zna. Chcę, żeby wiedział, że o niego pytam. Dobrze? Właściwie to dla jego dobra. Do licha, zwracam się przecież do przyjaciela. Kogoś, kto mógłby skłamać, żaby mu pomóc. A chodzi mi tylko o kilka prostych faktów...

– A mnie chodzi o jeden prosty powód: po co panu te informacje?

Westchnął.

– No dobrze. Przedstawił mi, na próbę, muszę zaznaczyć, pewne bardzo interesujące możliwości inwestycyjne. W grę wchodziłaby duża suma pieniędzy. Istnieje element ryzyka, jak w większości przedsięwzięć dotyczących nowych firm na wysoce konkurencyjnym rynku, ale możliwe zyski czynią tę propozycję atrakcyjną. Pokiwałem głową.

– I chciałby pan sprawdzić, czy jest uczciwy.

Zachichotał.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy jest uczciwy. Interesuje mnie tylko, czy potrafi dostarczyć produkt czysty w sensie prawnym.

Jego sposób mówienia przypominał mi kogoś, ale mimo wysiłków nie mogłem sobie przypomnieć kogo.

– Rozumiem – odparłem, pociągając z kufła. – Jakoś wolno dzisiaj kojarzę. Przepraszam. Oczywiście, chodzi o interes z komputerami.

– Oczywiście.

– Chciałby pan się dowiedzieć, czy aktualny pracodawca mógłby go przygwoździć, gdyby z kimś innym wprowadził na rynek to, co obiecał dostarczyć.

– Krótko mówiąc, tak.

– Poddaję się – przyznałem. – Trzeba o wiele lepszego fachowca, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Własność intelektualna to dość zagmatwana dziedzina prawa. Nie wiem, co chce sprzedać, i nie wiem, skąd to pochodzi. On dużo podróżuje. Ale nawet gdybym wiedział, to nie mam pojęcia, jaka byłaby pańska sytuacja prawna.

– Niczego więcej nie oczekiwałem – zapewnił z uśmiechem.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Czyli przekazał pan swoją wiadomość – stwierdziłem.

Skinął głową i podniósł się.

– Ach, jeszcze jedna sprawa – zaczął.

– Tak?

– Czy wspominał kiedyś – powiedział, patrząc mi prosto w oczy – o miejscach zwanych Amberem i Dworcami Chaosu?

Nie mógł nie zauważyć mojego zaskoczenia, które z kolei musiało wyrzucić na nim całkowicie fałszywe wrażenie. Byłem pewien, że jest pewien, że kłamie, chociaż odpowiedziałem zgodnie z

prawdą:

– Nie. Nigdy nie słyszałem, by wymieniał te nazwy. Czemu pan pyta?

Potrząsnął głową, odsunął krzesło i wyszedł zza stolika. Znów się uśmiechał.

– To nieważne. Dziękuję, panie Corey. Nus u dhabzhuu dhuilsha.

Niemal biegnąc zniknął za rogiem.

– Chwileczkę! – zawołałem tak głośno, że na moment w barze zapadła cisza i wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Zerwałem się i ruszyłem za nim, kiedy ktoś wykrzyknął moje imię.

– Hej, Merle! Nie uciekaj! Już jestem!

Obejrzałem się. Luke stanął właśnie w wejściu tuż za mną. Włosy miał jeszcze wilgotne po prysznicu. Podeszedł, klepnął mnie w ramię i opadł na krzesło zwolnione przez Martineza. Usiadłem znowu, a on skinął głową w stronę mojego do połowy opróżnionego kufla.

– Też mi się przyda – stwierdził. – Boże, ależ mi się chce pić! – Po czym dodał: – Gdzie się wybierałeś, kiedy wszedłem?

Wolałem nie opowiadać mu o niedawnym spotkaniu – z wielu powodów, z których nie najmniej ważnym było jego zakończenie. Najwyraźniej nie zdążył zobaczyć Martineza.

Zatem...

– Szedłem do toalety.

– Jest tam – ruchem głowy wskazał kierunek, skąd przyszedł. – Mijałem ją po drodze.

Spuścił wzrok.

– Słuchaj, ten pierścień, który masz na palcu...

– A tak... – Przypomniałem sobie. – Zapomniałeś go w motelu New Line. Wziąłem go, kiedy przyjechałem po twoją wiadomość. Zaraz, poczekaj... Szarpnąłem, ale nie chciał się zsunąć.

– Chyba utknął – zauważyłem. – To zabawne. Włożyłem go bez trudu.

– Może palec ci spuchł – zasugerował. – To może mieć jakiś związek z ciśnieniem. Jesteśmy dosyć wysoko. Przywołał kelnerkę i zamówił piwo. Ja tymczasem zmagalem się z pierścieniem.

– Chyba będę musiał ci go sprzedać – stwierdził. – Dam ci dobrą cenę.

– Zobaczymy – odparłem. – Wracam za moment.

Leniwie uniósł dłoń i pozwolił jej opaść, a ja ruszyłem do toalety.

Wewnątrz nie było nikogo, więc wymówiłem słowa, które uwolniły Frakir z czaru utajnienia, jaki rzuciłem na nią w autobusie. Zanim zdążyłem wydać kolejny rozkaz, Frakir rozwinęła się płonąca blaskiem. Przesunęła się na grzbiet dłoni i owinęła serdeczny palec. Patrzyłem zafascynowany, jak palec sinieje i zaczyna boleć w coraz silniejszym uścisku.

Rozluźnienie nastąpiło szybko, a mój palec wyglądał jak nagwintowany. Zrozumiałem, o co jej chodziło. Wykręciłem pierścień wzdłuż wyciśniętego w ciele śladu. Frakir poruszyła się znowu, jakby chciała go zaatakować, a ja pogładziłem ją.

– Już w porządku – powiedziałem. – Dziękuję. Wracaj.

Zawahała się przez chwilę, lecz moja wola wystarczyła bez potrzeby dodatkowych rozkazów. Wycofała się po dłoni na nadgarstek, owinęła rękę i zniknęła.

Załatwiłem, co miałem tam do zrobienia, i wróciłem do baru. Usiadłem, oddałem Luke'owi pierścień i napiłem się piwa.

– Jak go zdjąłeś? – zdziwił się.

– Wystarczył kawałek mydła.

Owinął pierścień w chusteczkę i schował do kieszeni.

– W tej sytuacji nie mogę chyba brać za niego pieniędzy.

– Chyba nie. Nie włożysz go?

– Nie, to prezent. Wiesz, nie spodziewałem się, że przyjedziesz. – Nabrał garść orzeszków z miseczki, która pojawiła się na stole pod moją nieobecność. – Myślałem, że kiedy dostaniesz wiadomość, zadzwonisz i umówimy się jakoś na później. Ale dobrze, że tu dotarłeś. Kto wie, kiedy to później by nastąpiło. Widzisz, pewne moje plany zaczęły się realizować szybciej, niż oczekiwałem.. i o tym właśnie chciałbym z tobą pogadać.

Kiwnąłem głową.

– Ja też mam kilka spraw do omówienia.

On także kiwnął.

Jeszcze w toalecie postanowiłem, że nie będę na razie wspominał o Martinezie ani o tym, co mówił i sugerował. Wprawdzie cały układ nie dotyczył chyba niczego, co by mnie jeszcze interesowało, ale zawsze czuję się bardziej bezpieczny, gdy rozmawiam z ludźmi – nawet z przyjaciółmi – dysponując przynajmniej drobną informacją, a oni nie domyślają się, że coś wiem. Dlatego zdecydowałem, by póki co trzymać się tego systemu.

– Bądźmy dobrze wychowani i odłóżmy ważne sprawy na po kolacji – zaproponował, z wolna drąc serwetkę na drobne strzępki i zwijając je w kulkę. – W jakimś miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Dobry pomysł. Zjemy tutaj?

Pokręcił głową.

– Tu już jadłem. Jest niezłe, ale mam ochotę na jakąś odmianę. Znalazłem tu niezłą restaurację, zaraz za rogiem. Sprawdźę, czy mają wolny stolik.

– Proszę cię bardzo.

Dopił piwo i wyszedł.

...A potem wspomniał jeszcze o Amberze. Kim, do diabła, był Martinez? Musiałem się tego dowiedzieć, gdyż wyraźnie nie był tym, na kogo wyglądał. Ostatnie zdanie wygłosił w thari, moim ojczystym języku. Nie miałem pojęcia, jak to się mogło stać i dlaczego się stało. Przeklinałem własne lenistwo, ponieważ już dawno powinienem wyjaśnić sprawę S. Wszystko, co nastąpiło, było rezultatem jedynie mojej arogancji. Nigdy bym nie przypuszczał, że sytuacja tak niesamowicie się skomplikuje. Dostałem nauczkę, choć nie czułem wdzięczności za lekcję.

– W porządku – oznajmił Luke, wyłaniając się zza zakrętu. Pogrzebał w kieszeni, rzucił na stół jakieś pieniądze. – Wypij. Przejdziemy się. Skończyłem piwo, wstałem i poszedłem za nim. Wróciliśmy do holu, potem skręciliśmy w boczny korytarz prowadzący do tylnego wyjścia. Wyszliśmy w balsamiczne powietrze wieczoru, przecięliśmy parking i ruszyliśmy chodnikiem wzdłuż Guadalupe Street. Stąd niewielka odległość dzieliła nas od skrzyżowania z Alameda. Dwa razy przeszliśmy przez ulicę, minęliśmy wielki kościół i na następnym rogu skręciliśmy w prawo. Luke wskazał restaurację La Tertulia, po drugiej stronie ulicy, niedaleko przed nami.

– Tam – powiedział.

Podeszliśmy do drzwi. Lokal mieścił się w niskim budynku z cegły, w hiszpańskim stylu, z elegancko urządzonej wnętrzem. Zamówiliśmy dzban sangrii, dwie porcje poto adova z puddingiem oraz mnóstwo filiżanek kawy. Dotrzyliśmy umowy i podczas kolacji nie wspominaliśmy o niczym ważnym.

Dwa razy z Lukiem witali się jacyś ludzie. Obaj zatrzymali się przy naszym stoliku, by rzucić kilka uprzejmych uwag.

– Znasz wszystkich w tym mieście? – spytał go w chwilę później.

Roześmiał się.

– Załatwiam tu sporo interesów.

– Naprawdę? Wydaje się, że to takie małe miasteczko.

– Owszem, ale to błędne wrażenie. To stolica stanu. Jest tu wielu ludzi, którzy kupują to, co my sprzedajemy.

– Rozumiem, że często tu bywasz.

Przytaknął.

– To jeden z najgorętszych punktów mojej trasy.

– Jak ci się udaje robić tu jakieś interesy, kiedy wyjeżdżasz na wycieczki do lasu?

Podniósł głowę znad formacji bojowej, ustawionej z różnych naczyń na stole.

– Muszę czasem odpocząć – wyjaśnił. – Mam już dość miast i biur. Muszę się wyrwać, pobiegać po lesie, popływać łodzią albo kajakiem czy coś w tym rodzaju. Inaczej chyba bym zwariował. Szczerze mówiąc, to jeden z powodów, dla których rozkręciłem interesy w tym mieście: w pobliżu jest wiele terenów odpowiednich na takie wycieczki.

Napił się kawy.

– Wiesz – mówił dalej – noc jest taka piękna, że powinniśmy zrobić sobie małą przejażdżkę. Pokażę ci, co mam na myśli.

– Niezły pomysł. – Rozprostowałem ramiona i poszukałem wzrokiem kelnera. – Ale chyba jest już za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć?

– Nie. Świeci księżyc, świecą gwiazdy, a powietrze jest idealnie czyste. Przekonasz się.

Sprawdziłem rachunek, zapłaciłem i wyszliśmy. Rzeczywiście, księżyc wypłynął już na niebo.

– Zostawiłem wóz przy hotelu – poinformował mnie na ulicy. – Tędy.

Na parkingu otworzył drzwi swojego kombi i zaprosił mnie do środka. Ruszyliśmy. Skręcił na najbliższym skrzyżowaniu, pojechał Alameda do Paseo, potem w prawo ulicą Otero i znowu w prawo Hyde Park Road. Ruch zmniejszył się wyraźnie. Minęliśmy tablicę informującą, że zbliżamy się do ośrodka narciarskiego.

Gdy jechaliśmy krętą drogą pod górę, czułem, jak spływa ze mnie napięcie. Wkrótce pozostawiliśmy za sobą wszelkie ślady cywilizacji. Pędziliśmy przez noc i absolutny spokój. Żadnych latarni. Przez otwarte okno wpadał aromat sosen, a powietrze było chłodne. Wypoczywałem, z dala od S i wszystkich kłopotów.

Spojrzałem na Luke'a. Marszcząc brwi, patrzył prosto przed siebie. Chyba wyczuł mój wzrok, gdyż rozluźnił się nagle i uśmiechnął.

– Kto zaczyna! – spytał.

– Wal pierwszy – odparłem.

– Dobra. Pamiętasz, jak wtedy w barze rozmawialiśmy o twoim odejściu z Grand D? Twierdziłeś, że nie zamierzasz pracować dla nikogo innego i że nie interesuje cię nauczanie.

– Zgadza się.

– Powiedziałeś, że chcesz trochę pojeździć.

– Tak.

– Nieco później przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Milczałem, gdy spojrzał na mnie badawczo.

– Zastanawiałem się – ciągnął po chwili – czy przypadkiem nie chodzi o poszukiwania: albo wsparcia dla założenia własnej firmy, albo kupca na coś, co masz na sprzedaż. Wiesz, o czym mówię?

– Uważasz, że wymyśliłem coś zupełnie nowego i nie chcę, żeby przejęła to Grand Design.

Klepnął ręką siedzenie.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś sprytny. I na razie włączysz się tylko, żeby mieć czas na

dopracowanie pomysłu. A potem znajdziesz nabywcę, który da najwięcej szmalu.

– Sensowne założenie – przyznałem. – Gdyby istotnie o to chodziło. Ale nie.

Parsknął.

– Nie bój się – uspokoił mnie. – Pracuję dla Grand D, ale nie jestem ich szpiegiem. Powinieneś to wiedzieć.

– Wiem.

– I nie pytałem z czystej ciekawości. Szczerze mówiąc, mam zupełnie inne zamiary. Chciałbym, żebyś zrobił na tym interes, doskonały interes.

– Dzięki.

– Mógłbym ci nawet zaproponować pomoc... cenną pomoc.

– Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz, Luke, ale...

– Wysłuchaj mnie, dobrze? Ale najpierw odpowiedz na jedno pytanie: nie podpisywałeś żadnej umowy z nikim w tej okolicy, prawda?

– Nie.

– Tak przypuszczałem. To byłoby jeszcze trochę przedwcześnie.

Drzewa przy drodze były teraz wyższe, nocny wiatr chłodniejszy. Księżyc urósł i świecił jaśniej niż w mieście. Pokonaliśmy kilka łuków, wjeżdżając potem w ciąg serpentyn, prowadzących wciąż wyżej i wyżej. Od czasu do czasu widziałem po lewej stronie strome urwisko. Nie było bariery zabezpieczającej.

– Posłuchaj – rzekł. – Nie próbuję podłączyć się do tego za darmo. Nie proszę o udział przez pamięć dawnych czasów ani nic takiego. To jedna sprawa, a interesy to całkiem inna. Chociaż, to nigdy nie przeszkadza dogadywać się z kimś, komu możesz zaufać. Pozwól, że zapoznam cię z realiami życia. Jeśli masz jakiś naprawdę fantastyczny projekt, to owszem, gromadzie ludzi w tym fachu możesz go sprzedać za niezłą forszę... pod warunkiem, że jesteś ostrożny. Diabelnie ostrożny. Ale to wszystko. Twoja szansa odpłynęła.

Jeżeli jednak naprawdę chcesz się wybić, zakładasz własną firmę. Spójrz na Apple'a. O ile rzecz się rozwinie, możesz sprzedać wszystko później, za większą sumę, niż dostałbyś za sam pomysł. Możesz być magikiem projektowania, ale ja znam rynek. I znam ludzi. W całym kraju znam ludzi, którzy mi zaufają i dadzą forszę, żeby zobaczyć, jak cała sprawa rozrasta się i trafia na ulice. Do licha, przecież nie mam zamiaru przez całe życie tkwić w Grand D. Weź mnie do spółki, a ja załatwię finanse. Ty prowadzisz warsztat, ja prowadzę interes. To jedyny sposób załatwienia czegoś naprawdę dużego.

– O rany – westchnąłem. – Chłopie, to owszem, ładnie brzmi, ale idziesz fałszywym tropem. Nie mam nic do sprzedania.

– Daj spokój! – zawołał. – Możesz być ze mną szczery. Nawet jeśli odmówisz, nikomu o tym nie powiem. Nie sypię kumpli. Uważam po prostu, że popełnisz błąd, jeśli sam tego nie rozkręcisz.

– Luke, ja mówiłem poważnie.

Zamilkł na chwilę. Potem znowu poczułem na sobie jego wzrok. Kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że się uśmiecha.

– Jak brzmi następne pytanie? – spytałem.

– Co to jest Ghostwheel?

– Co?

– Ścisłe tajny, nikomu-ani-słówka projekt Merle'a Coreya. Ghostwheel – wyjaśnił. – Schemat komputera wykorzystujący paskudztwa, których nikt jeszcze nie widział. Ciekłe półprzewodniki, zbiorniki kriogeniczne, plazmę...

Wybuchnąłem śmiechem.

– Rany boskie! To był dowcip, nic więcej. Takie zwariowane hobby. Wiesz, zabawa w projektowanie... Maszyna, której nie można zbudować na Ziemi. No, może większą część elementów, owszem. Ale nie mogłaby działać. To tak jak obrazy Eschera: świetnie wyglądają na papierze, ale w rzeczywistości nie da się ich zrealizować. – Zastanowiłem się chwilę. – A właściwie skąd się dowiedziałeś? Nikomu o tym nie mówiłem.

Odchrząknął, wprowadzając wóz w kolejny zakręt. Korony drzew grabiły księżycowe promienie. Na szybie pojawiło się kilka kropel wilgoci.

– Wiesz, nie ukrywałeś się przesadnie – powiedział. – Wiele razy, kiedy do ciebie wpadałem, na stole i desce leżały schematy i rysunki. Trudno było nie zauważyć. Większość nawet podpisałeś „Ghostwheel”. A że nic podobnego nie dotarło nigdy do Grand Design, uznałem, że to twój prywatny projekt i klucz do dobrobytu. Nie sprawiałeś wrażenia marzyciela. Na pewno jesteś ze mną szczery?

– Gdybyśmy teraz usiedli i zbudowali tyle, ile jest możliwe na Ziemi – odparłem zgodnie z prawdą – to by po prostu stało sobie, wyglądało dziwnie i nie robiło absolutnie nic.

Pokręcił głową.

– To przecież perwersja – ocenił. – Zupełnie do ciebie niepodobna, Merle. Dlaczego, do diabła, marnowałeś czas, projektując maszynę, która nie może działać?

– To takie ćwiczenie z teorii konstrukcji... – zacząłem. – Wybacz, ale dla mnie to bzdura. Chcesz powiedzieć, że w całym wszechświecie nie ma takiego miejsca, gdzie ta twoja cholerna maszyna mogłaby zastartować?

– Tego nie powiedziałem. Tłumaczę ci przecież, że zaprojektowałem ją do działania w dość dziwacznych, hipotetycznych warunkach.

– Aha. Innymi słowy, jeśli w innym świecie znajdę odpowiednie miejsce, możemy się brać do roboty?

– No... tak.

– Dziwak jesteś, Merle. Wiedziałeś o tym?

– Uhm.

– Kolejny plan rozwalony w strzępy. Trudno... Słuchaj, a może jest w tym coś przełomowego, co da się wykorzystać tu i teraz?

– Nie. Tutaj nie byłby w stanie wykonywać swoich funkcji.

– A jakie są te niezwykle funkcje?

– Kupa teoretycznych rozważań na temat przestrzeni i czasu, plus pewne idee dwóch facetów nazwiskiem Everett i Wheeler. Podlegają jedynie matematycznym wyjaśnieniom.

– Jesteś pewien?

– A co za różnica? Nie mam produktu, więc nici z naszej firmy. Przykro mi. Powiedz Martinezowi i spółce, że to ślepa uliczka.

– Komu? Kto to jest Martinez?

– Jeden z twoich potencjalnych inwestorów w firmę Corey i Reynard – przypominałem. – Dan Martinez: w średnim wieku, raczej niski, dość elegancki, wyszczerbiony przedni ząb...

Zmarszczył czoło.

– Merle, nie mam pojęcia, o kogo ci chodzi.

– Zaczepił mnie w barze, kiedy na ciebie czekałem. Odniosłem wrażenie, że sporo o tobie wie. Zadawał pytania o układ, który – co teraz widzę – właśnie zaplanowałeś. Zachowywał się tak, jakbyś wcześniej zwracał się do niego z propozycją inwestycji.

– Nie – mruknął. – Nie znam go. Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś?

– Poszedł sobie, a ty powiedziałaś, że przy kolacji żadnych rozmów o interesach. Wiesz, on nawet mnie prosił, żeby ci przekazać, że wypytywał o ciebie.

– A czego konkretnie chciał się dowiedzieć?

– Czy jesteś w stanie dostarczyć nie obciążony produkt komputerowy tak, żeby inwestorzy nie trafili do sądu. Tyle zrozumiałem.

Klepnął dłonią kierownicę.

– Przecież to nie ma sensu – stwierdził.

– Zupełnie. – Przyszło mi do głowy, że mogli go wynająć ludzie, których sondowałeś w sprawie tej inwestycji. Miał się rozejrzeć, a może nawet trochę ci postraszyć, żebyś grał uczciwie.

– Merle, masz mnie za durnia? Myślisz, że traciłbym czas na szukanie inwestorów, nie mając pewności, czy w ogóle istnieje coś, w co warto włożyć pieniądze? Oprócz ciebie z nikim jeszcze nie rozmawiałem, a teraz też nie będę, jak się pewnie domyślasz. Jak sądzisz, kto to mógł być? Czego chciał?

Potrząsnąłem głową, ale cały czas pamiętałem te kilka słów w thari.

Dlaczego nie?

– Spytał też, czy w mojej obecności nie wspomniałeś kiedyś o miejscu zwanym Amberem.

Kiedy to powiedziałem, patrzył właśnie w lusterko wsteczne. Gwałtownie szarpnął kierownicą, by zmieścić się w ostrym łuku.

– Amber? Chyba żartujesz.

– Nie.

– Dziwne. To pewnie przypadek...

– Co?

– Naprawdę słyszałem kiedyś o krainie ze snu zwanej Amberem. W zeszłym tygodniu. Ale nikomu o tym nie wspominałem. To była tylko taka pijacka gadka.

– Kto? Kto to mówił?

– Mój znajomy malarz. Prawdziwy wariat, ale utalentowany. Nazywa się Melman. Lubię jego prace i kupiłem parę obrazów. Kiedy ostatnio byłem w mieście, zajrzałem, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś nowego. Nie miał, ale i tak zostałem u niego do późna. Rozmawialiśmy, piliśmy i paliliśmy jakieś zielsko, które skądś wyciągnął. Po jakimś czasie był już na ostrym haju i zaczęliśmy dyskutować o magii. Nie o karcianych sztuczkach, ale o rytuałach i zaklęciach. Wiesz, o co chodzi?

– Tak.

– No właśnie. A później zaczął mi tę magię demonstrować. Gdybym sam nie był trochę zaćmiony, przysięgłbym, że to działało: lewitował, stwarzał zasłony płomieni, sprowadzał i odsyłał różne potwory. W tym, co mi dał, musiały być jakieś prochy. Ale, niech mnie diabli, to wszystko wydawało się całkiem realne.

– No, no.

– W każdym razie – mówił dalej – wspomniał o czymś w rodzaju archetypicznego miasta. Trudno powiedzieć, czy było czymś w rodzaju Sodomy i Gomory, czy raczej Camelotu. Używał wszystkich możliwych epitetów. Nazywał to miejsce Amberem i twierdził, że władza tam na wpół obłąkana rodzina, a w samym mieście żyją ich bękarty i ludzie, których przodków sprowadzono dawno temu z innych krain. Cienie rodziny i miasta mają podobno występować w większości znanych legend... cokolwiek miałyby to oznaczać. Nie byłem pewien, czy mówił to w sensie metaforycznym, co zdarza mu się dość często, ani w ogóle co miał na myśli. Ale to od niego usłyszałem o Amberze.

– To ciekawe – mruknąłem. – Melman nie żyje. Parę dni temu jego mieszkanie zniszczył pożar.

– Nie wiedziałem. – Znów spojrzął w lusterko. – Znałeś go?

– Spotkałem... już po twojej ostatniej wizycie. Kinsky powiedział, że Julia się z nim widywała.

Poszedłem więc, żeby sprawdzić, czy czegoś się o niej nie dowiem. Widzisz... Julia nie żyje.

– Jak to się stało? Przecież rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu.

– Bardzo dziwnie. Została zabita przez niezwykle zwierzę.

– Boże!

Zahamował nagle i zjechał w lewo na szerokie pobocze. Wyjrzałem na stromy, porośnięty drzewami stok. Ponad koronami widziałem w dali światła miasta. Luke zgasił silnik i wyłączył reflektory. Wyjął z kieszeni kapciuch z tytoniem i zaczął skręcać papierosa.

Dostrzegłem, że spogląda w górę i do przodu.

– Bez przerwy patrzyłeś w lusterko.

– Tak – potwierdził. – Byłem prawie pewien, że jakiś wóz jedzie za nami od samego parkingu pod Hiltonem. Przez dłuższy czas trzymał się kilka zakrętów z tyłu. A teraz zniknął.

Zapałił papierosa i otworzył drzwi.

– Chodź, zaczerpnijmy świeżego powietrza. Poszedłem za nim. Przez chwilę podziwialiśmy szerokie przestrzenie zalane blaskiem księżycy tak silnym, że drzewa rzucały cienie.

– Niech to szlag! – mruknął. – To wszystko za bardzo się komplikuje. Posłuchaj: wiedziałem, że Julia spotyka się z Melmanem. Jasne? Byłem u niej następnego dnia po wizycie u niego. Jasne? Oddałem jej nawet mały pakiecik, który dostałem z prośbą o przekazanie. Jasne?

– Karty – stwierdziłem.

Przytaknął.

Wyjąłem je z kieszeni i pokazałem mu. Prawie nie patrząc skinął głową.

– Tak, te same. – I dodał: – Ciągle ją lubiłeś, prawda?

– Tak, chyba tak.

– Niech to diabli – westchnął. – No dobrze. Są pewne sprawy, o których będę musiał ci powiedzieć, stary. Nie wszystkie miłe. Daj mi jeszcze chwilę, żebym sobie to jakoś poukładał. Właśnie stworzyłeś mi wielki problem... albo sam go sobie stworzyłem, ponieważ właśnie coś postanowiłem.

Kopnął w łachę żwiru i kamienie zagrzechotały na zboczu.

– Dobrze – powiedział. – Najpierw daj mi te karty.

– Po co?

– Mam zamiar podrzeć je na konfetti.

– Akurat podrzesz. Dlaczego?

– Są niebezpieczne.

– To już wiem. Zostawię je sobie.

– Nic nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz.

– To nie takie łatwe. Muszę zdecydować, co ci powiedzieć, a czego nie.

– Dlaczego po prostu nie wszystko?

– Nie mogę. Wierz mi...

Padłem na ziemię, gdy tylko usłyszałem pierwszy strzał, który zrykoszetował na głazie po prawej stronie. Luke nie padał. Zygzakując ruszył biegiem do kępy drzew po lewej. Ktoś stamtąd wystrzelił jeszcze dwa razy. Luke trzymał w ręku coś, co uniósł. Strzelił trzykrotnie. Napastnik zdążył wypalić jeszcze raz. Po drugim wystrzale Luke'a usłyszałem czyjś jęk.

Zerwałem się i popędziłem ku niemu. Po trzecim dobiegł odgłos padającego ciała.

Kiedy go dogoniłem, odwracał trupa na plecy. Zdążyłem zobaczyć przejrzystą chmurę niebieskiej

czy szarej mgły, która mijając wyszczerbiony ząb wysunęła się z ust zabitego i odpłynęła.

– Co to było. do diabła? – spytał Luke, kiedy zniknęła.

– Też widziałeś? Nie mam pojęcia.

Spojrzał na bezwładne ciało. Na jasnej koszuli rosła wolno ciemna plama, a prawa dłoń wciąż ścisnęła rewolwer kalibru 33.

– Nie wiedziałem, że nosisz broń – odezwałem się.

– Jeśli ktoś tyle podróżuje, musi uważać – wyjaśnił. – W każdym mieście kupuję nowy i sprzedaję go, kiedy wyjeżdżam. Przepisy bezpieczeństwa na lotniskach. Tego raczej nie sprzedam. Merle, nigdy nie widziałem tego faceta. A ty?

Kiwnąłem głową.

– To Dan Martinez, o którym ci opowiadałem.

– O rany – jęknął. – Jeszcze jedna komplikacja. Może powinienem wstąpić do jakiegoś klasztoru Zen i przekonać siebie, że to bez znaczenia. Właściwie...

Nagle podniósł dłoń i przycisnął palce do czoła.

– Och – powiedział. – Merle, kluczyki są w stacyjce. Wracaj do wozu i jedź do hotelu. Szybko. Zostaw mnie samego.

– O co chodzi? I co...

Uniósł broń – pistolet z krótką lufą – i wymierzył we mnie.

– Natychmiast! Zamknij się i zjeżdżaj!

– Ale...

Opuścił lufę i wystrzelił w ziemię między moimi nogami. Potem wycelowwał mi w żołądek.

– Merlinie, synu Corwina – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Jeśli natychmiast nie ruszysz biegiem, to jesteś trupem.

Posłuchałem tej rady, wyrzucając spod stóp strumienie żwiru, i znacząc szosę śladami gumy, gdy ostro wprowadziłem w zakręt jego kombi. Przyhamowałem na następnym lewym łuku. Potem zwolniłem.

Zjechałem na pobocze i zatrzymałem się przy jakichś krzakach u stóp urwiska. Wyłączyłem silnik, zgasilem światła, zaciągnąłem ręczny hamulec. Cicho otworzyłem drzwi, a kiedy wysiadłem, nie zamknąłem ich do końca.

W takiej okolicy dźwięk niesie się zbyt daleko.

Ruszyłem z powrotem, trzymając się prawej, ciemniejszej strony szosy. Minąłem pierwszy zakręt i pomaszerowałem do następnego. Coś frunęło między drzewami – pewnie sowa. Wolniej, niż chciałem, by unikać hałasu, zbliżałem się do drugiego zakrętu.

Pokonałem go na czworakach, wykorzystując dla osłony liczne głązy i listowie. Potem zatrzymałem się i obserwowałem teren, gdzie niedawno staliśmy. Nic.

Zbliżyłem się powoli, ostrożnie, gotów przypaść do ziemi, skoczyć pod krzak albo puścić się biegiem, zależnie od rozwoju sytuacji.

Nic się nie poruszało prócz gałęzi na wietrze. Nikogo w polu widzenia.

Wstałem i pochylony ruszyłem dalej, wciąż bardzo powoli, wciąż szukając osłony. Nie ma go. Gdzieś się wyniósł. Podszedłem bliżej, przystanąłem i nasłuchiwałem co najmniej minutę. Żaden dźwięk nie zdradzał ludzkiej obecności.

Przeciąłem szosę i dotarłem do miejsca, gdzie upadł Martinez. Ciało zniknęło. Zbadałem teren, ale nie znalazłem niczego, co mogłoby sugerować, jak przebiegały wypadki po moim odejściu. Nie wymyśliłem żadnego powodu, by zawołać, więc zrezygnowałem.

Bez żadnych przygód wróciłem do wozu, wsiadłem i ruszyłem do miasta. Nie mogłem sobie nawet

wyobrazić, co, u diabła, się tu wydarzyło. Zostawiłem samochód na parkingu, w pobliżu miejsca, gdzie stał poprzednio. Wszedłem do hotelu, znalazłem pokój Luke'a i zapukałem do drzwi. Szczerze mówiąc, nie oczekiwałem odpowiedzi, ale takie zachowanie wydało mi się właściwym wstępem do włamania.

Uważałem, żeby wyłamać tylko zamek, nie uszkodzając drzwi ani framugi – ponieważ pan Brazda wydał mi się sympatyczny. Trwało to trochę dłużej, ale w korytarzu nikogo nie było. Wsunąłem rękę, zapaliłem światło, rozejrzałem się szybko i wśliznąłem do środka. Nasłuchiwałem przez chwilę, ale z korytarza nie dobiegały żadne dźwięki.

Idealny porządek. Walizka na stojaku, pusta. Garnitur na wieszaku w szafie – w kieszeniach nic ciekawego, tylko dwie paczki zapalek, pióro i ołówek. Trochę ubrania i bielizny w szufladzie, poza tym nic. Przybory toaletowe w kosmetyczce albo równo ustawione na półeczce. Niczego niezwykłego. Egzemplarz „Strategii” B. H. Liddella Hartya leżał na nocnej szafce, z zakładką mniej więcej w trzech czwartych grubości.

Niedbale rzucony dres wisiał na krześle, zakurzone buty stały obok na podłodze, przy nich skarpetki.

W butach nic, tylko para owijaczy. Sprawdziłem w kieszeniach koszuli. Z początku wydawały się puste, ale czubkami palców wyczułem parę maleńkich papierowych kulek. Zdziwiony, rozwinąłem kilka. Tajemnicze, sekretne wiadomości? Nie... Nie ma co wpadać w paranoję, skoro brunatne plamki na papierze wyjaśniały wszystko.

Tytoń. To były kawałki papierosowej bibułki. Najwyraźniej na wyprawach do lasu zbierał swoje niedopałki. Przypomniałem sobie kilka wspólnych wycieczek: nie zawsze był taki porządny.

Przeszukałem spodnie. W tylnej kieszeni miał wilgotną opaskę, w drugiej grzebień. W prawej przedniej nic, w lewej pojedynczy nabój. Schowałem go odruchowo, potem sprawdziłem pod materacem i za szufladami. Zajrzałem nawet do rezerwuaru w ubikacji. Nic, co wyjaśniałoby niezwykle zachowanie Luke'a.

Zostawiłem kluczyki na nocnej szafce i wróciłem do siebie. Nie przejmowałem się, że od razu zauważy włamanie. Nawet mi się to podobało. Zirykowałem się, że grzebał w moich planach Ghostwheela. Poza tym winien mi był jakieś naprawdę rozsądne wytłumaczenie swojego postępowania. Rozebrałem się, wziąłem prysznic, poszedłem do łóżka i zgasiłem lampkę. Napisałbym mu kartkę, ale wolałem nie zostawiać śladów. Miałem silne przeczucie, że już tu nie wróci.

Rozdział 6

Był niskim, solidnie zbudowanym mężczyzną o rumianej cerze. Ciemne włosy miał przyprószone siwizną i trochę przerzedzone na czubku głowy. Siedziałem w jego gabinecie w wiejskiej posiadłości w stanie Nowy Jork, sączyłem piwo i opowiadałem o swoich kłopotach.

Za oknem trwała wietrzna, gwiazdzista noc, a on był świetnym słuchaczem.

– Mówisz, że Luke nie zjawił się następnego dnia – powtórzył. – Czy przesłał jakąś wiadomość?

– Nie.

– A co ty robiłeś?

– Rano sprawdziłem jego pokój, ale nic się tam nie zmieniło. Spytałem w recepcji. Nic, jak już wspomniałem. Potem zjadłem śniadanie i sprawdziłem jeszcze raz. Z tym samym wynikiem. Wyszedłem na długi spacer po mieście. Wróciłem zaraz po południu, zjadłem obiad i znów zajrzałem do pokoju. Bez zmian. Wypożyczyłem wóz i pojechałem na miejsce, gdzie byliśmy poprzedniej nocy. Mimo dziennego światła nie znalazłem nic niezwykłego. Zszedłem nawet po zboczach i przeszukałem okolicę. Ani ciała, ani żadnych śladów. Wróciłem, oddałem kluczyki i kręciłem się po hotelu aż do kolacji. Zjadłem coś i zadzwoniłem do ciebie. Kiedy kazałeś mi przyjeżdżać, zarezerwowałem bilet i wcześniej poszedłem spać. Rano złapałem autobus i przyleciałem tu z Albuquerque.

– Czy rano zajrzałeś do niego jeszcze raz?

– Tak. Nic nowego.

Pokręcił głową i zapalił wygasłą fajkę.

Nazywał się Bill Roth i był przyjacielem, jak również doradcą prawnym mojego ojca, kiedy ten mieszkał jeszcze w tej okolicy. A także jedynym chyba człowiekiem na Ziemi, któremu tato ufał. Ja także mu ufałem. W ciągu ośmiu lat tutaj odwiedziłem go kilkakrotnie – niestety, ostatnio jakieś półtora roku temu, w dniu pogrzebu jego żony, Alice. Opowiedziałem mu historię ojca tak, jak ojciec mnie ją opowiadał pod Dworcami Chaosu. Czuję, że tato chciałby, by Bill wiedział, co się działo, i uważał, że za pomoc winien mu jest wyjaśnienie. A Bill jakby naprawdę rozumiał wszystko i uwierzył. No ale przecież znał tatę o wiele lepiej ode mnie.

– Wspominałem już, jak bardzo jesteś podobny do ojca?

Przytaknąłem.

– Rzecz nie tylko w zewnętrznym podobieństwie – mówił dalej. – Przez pewien czas miał zwyczaj pojawiania się nagle jak zestrzelony pilot myśliwski za liniami wroga. Nigdy nie zapomnę tej nocy, gdy przybył konno, z mieczem u boku, i kazał mi szukać jakiejś zaginionej pryzmy kompostu. – Zaśmiał się. – A teraz ty przychodzisz z historią, która sugeruje, że ktoś znów otworzył puszkę Pandory. Dlaczego nie chcesz się rozwieść, jak każdy rozsądny młody człowiek? Albo spisać testament, albo założyć spółkę? Coś w tym rodzaju? Ale nie. To wszystko przypomina mi problemy Carla. W porównaniu z tym, nawet inne sprawy, jakie załatwiałem dla Amberu, wydają się całkiem zwyczajne.

– Inne sprawy? Masz na myśli Traktat... kiedy Ransom wysłał do ciebie Fionę z kopuł Układu Skazy Wzorca, zawartego ze Swayvillem, królem Chaosu? Ona miała tłumaczyć, a ty szukać możliwych luk?

– Tak, to także. Pamiętam, zanim skończyłem, zacząłem studiować wasz język. Potem Flora chciała odzyskać swoją bibliotekę... niełatwa sprawa... i odnaleźć dawnego kochanka. Nigdy się nie dowiedziałem, czy aby odnowić romans, czy aby się zemścić. Ale zapłaciła złotem. Kupiłem za to domek w Palm Beach. Potem... Do diabła, chciałem nawet dopisać sobie na wizytówce „Doradca Dworu Amberu”. Te zlecenia były jednak całkiem zrozumiałe. Bez przerwy zajmuję się podobnymi sprawami, choć nie dla tak niezwykłych klientów. Ale twój problem ma taki nastrój gwałtownej śmierci i czarnej magii, jaki zawsze towarzyszył twojemu ojcu. To mnie przeraża. Nie mam pojęcia, co mógłbym ci doradzić w tej kwestii.

– Gwałtowna śmierć i czarna magia to moja dziedzina – stwierdziłem. – Chyba nawet za mocno wpływają na mój sposób myślenia. Ty z pewnością patrzysz na wszystko zupełnie inaczej. Martwe pole to z definicji coś, z czego człowiek nie zdaje sobie sprawy. Co mogłem przeoczyć?

Napił się piwa i znowu zapalił fajkę.

– Spróbujmy – zgodził się. – Twój przyjaciel Luke... skąd pochodzi?

– Ze środkowego Zachodu. Wspominał chyba Nebraskę, Iowę, Ohio... któryś z tych stanów.

– Rozumiem. Czym zajmuje się jego ojciec?

– Nigdy o nim nie mówił.

– Ma jakieś rodzeństwo?

– Nie wiem. Nie powiedział.

– Czy to nie dziwne, że przez te osiem lat znajomości nigdy nie wspomniał o swoich krewnych ani nie rozmawiał o rodzinnym mieście?

– Nie. W końcu ja też o tym nie mówiłem.

– To nie jest naturalne, Merle. Dorastałeś w niezwykłym miejscu, o którym po prostu nie mogłeś opowiadać. Miałeś istotne powody, by zmieniać temat i unikać takich kwestii. On najwyraźniej miał je także. Wtedy, gdy tu przybyłeś, nie byłeś nawet pewien, jak ludzie powinni się zachowywać. Czy zastanawiałeś się kiedyś nad Lukiem?

– Oczywiście. Ale on szanował moją małomówność. Musiałem więc uszanować jego. Można powiedzieć, że mieliśmy rodzaj milczącej umowy, że takie tematy przekraczają granice uprzejmości.

– Jak go poznałeś?

– Byliśmy razem na pierwszym roku. Chodziliśmy na te same zajęcia.

– I obaj byliście obcy, bez żadnych przyjaciół. Od razu się polubiliście...

– Nie. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Uznałem, że jest zarozumiałym draniem, który uważa się za dziesięć razy lepszego od każdego, kogo spotyka. Nie lubiłem go i on też raczej mnie nie lubił.

– Dlaczego nie?

– Miał o mnie taką samą opinię.

– Czyli dopiero stopniowo przekonywaliście się, że nie macie racji?

– Nie. Obaj mieliśmy rację. Poznaliśmy się, próbując się przed sobą popisywać. Jeśli tylko ja zrobiłem coś... wyjątkowego, on próbował mnie przebić. I odwrotnie. Do tego stopnia, że uprawialiśmy te same sporty, próbowaliśmy się umawiać z tymi samymi dziewczynami, dostawać lepsze stopnie.

– I..?

– Gdzieś po drodze poczuliśmy dla siebie szacunek. A kiedy obaj weszliśmy do olimpijskiego finału, coś pękło. Zaczęliśmy klepać się po plecach i zaśmiewać, poszliśmy do miasta, zjedliśmy razem kolację i gadaliśmy przez całą noc. Powiedział, że nie obchodzi go Olimpiada. Chciał tylko pokazać, że jest lepszy ode mnie, ale już go to nie interesuje. Uznał, że obaj jesteśmy dobrzy i że na tym może zakończyć sprawę. Czulem dokładnie to samo, więc mu to powiedziałem. Tak zostaliśmy przyjaciółmi.

– Potrafię to zrozumieć – stwierdził Bill. – To wybiórcza przyjaźń. Byliście przyjaciółmi tylko w pewnych obszarach.

Ze śmiechem napiłem się piwa.

– Wszyscy są tacy.

– Z początku tak. Niektórzy nawet na zawsze. Nie ma w tym nic złego. Wydaje się tylko, że wasza przyjaźń była bardziej wybiórcza niż w większości przypadków.

Wolno kiwnąłem głową.

– Możliwe.

– Ale to wciąż nie ma sensu. Dwóch chłopaków, tak sobie bliskich, jakimi się staliście... bez przeszłości, którą mogliby sobie opowiedzieć.

– Chyba masz rację. Co to może oznaczać?

– Nie jesteś zwykłą istotą ludzką.

– Nie, nie jestem.

– Nie jestem pewien, czy Luke nią jest.

– Więc czym?

– To już twoja sprawa.

Przytaknąłem.

– A poza tym... – mówił dalej Bill – coś jeszcze mnie niepokoi.

– Co?

– Ten Martinez. Śledził was aż do tych krzaków, zatrzymał się, podkradł, a kiedy wysiedliście, otworzył ogień. W kogo celował? W was obu? Tylko w Luke'a? Czy tylko w ciebie?

– Nie wiem. Nie jestem pewien, w kogo z nas był wymierzony pierwszy strzał. Potem strzelał do Luke'a, ponieważ Luke zaatakował i Martinez musiał się bronić.

– Dokładnie. Gdyby był S, albo agentem S, po co w ogóle traciłby czas na rozmowę z tobą w barze?

– Teraz odnoszę wrażenie, że cała ta rozmowa była tylko skomplikowanym wstępem do ostatniego pytania: czy Luke wie coś o Amberze.

– I to twoja reakcja raczej niż odpowiedź zasugerowała mu, że wie.

– Luke rzeczywiście coś wie, sądząc po sposobie, w jaki zwrócił się do mnie na końcu. Myślisz, że naprawdę chciał upolować kogoś z Amberu?

– Może. Ale Luke nie jest Amberyta?

– Przez ten czas, który tam spędziłem po wojnie, nigdy o nikim takim nie słyszałem. Jeśli idzie o rejestrację takich wypadków, moi krewni przypominają kółko kroju i szycia. Są o wiele mniej systematyczni niż w Chaosie. Nie potrafią nawet określić, kto jest najstarszy, ponieważ niektórzy przyszlizli na świat w innych strumieniach czasowych. Ale wiedzą o wszystkich...

– Chaos! Zgadza się. Tam też jest masa krewniaków. Czy możliwe...?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Moja wiedza o tamtejszych rodach jest nawet bardziej szczegółowa. Znam chyba wszystkich, którzy potrafią manipulować Cieniem i podróżować w nim. Luke do nich nie należy i...

– Chwileczkę! To znaczy, że w Dworcach też są ludzie, którzy potrafią chodzić w Cieniu?

– Tak. Albo pozostając w miejscu ściągając z Cienia przedmioty. To jakby odwrócenie...

– Myślałem, że trzeba przejść Wzorzec, by zyskać taką moc.

– Mają tam pewnego rodzaju odpowiednik. Nazywa się Logrus. To taki chaotyczny labirynt. Ciągłe się zmienia. Bardzo niebezpieczny. Zakłóca równowagę umysłową. Żadna przyjemność.

– Więc dokonałeś tego?

– Tak.

– A także przeszedłeś Wzorzec?

Oblizalem wargi, przypominając sobie to doświadczenie.

– Tak. Niemal mnie to zabiło. Suhuy uważał, że zabije na pewno, ale Fiona uznała, że przy jej pomocy zdołam tego dokonać. Byłem...

– Kim jest Suhuy?

– Mistrzem Logrusu, a przy okazji moim wujem. Sądził, że Wzorzec Amberu i Logrus Chaosu są niekompatybilne, że nie mogą nosić w sobie obu wizerunków.

Random, Fiona i Gerard zabrali mnie na dół, żebym zobaczył Wzorzec. Wtedy wezwałem Suhuya i pokazałem mu, jak to wygląda. Powiedział, że wydają się swymi antytezami i że przy próbie

przejścia albo zostaną zniszczone, albo Wzorzec usunie obraz Logrusu. Prawdopodobnie to pierwsze. Ale Fiona stwierdziła, że Wzorzec powinien objąć sobą wszystko, nawet Logrus. A z tego, co wie o Logrusie, powinien ominąć wszystko, nawet Wzorzec. Pozostawili sprawę mojej decyzji, a ja wiedziałem, że muszę spróbować. I spróbowałem. Przeszedłem, i wciąż noszę w sobie wizerunek Logrusu, tak samo jak Wzorca. Suhuy przyznał, że Fi miała rację. Wysunął teorię, że ma to jakiś związek z moim mieszanym pochodzeniem. Fi nie zgodziła się...

Bill podniósł rękę.

– Zaczekaj. Nic bardzo rozumiem, w jaki sposób tak szybko sprowadziłeś swojego wuja Suhuya do podziemi zamku Amber.

– Oprócz Atutów Amberu mam też talię Atutów Chaosu przedstawiających moich krewnych z Dworców.

Pokręcił głową.

– To fascynujące, ale zbaczamy z tematu. Czy jest ktoś jeszcze, kto potrafi chodzić przez Cień? A może istnieją jakieś inne sposoby?

– Tak, jest nawet kilka. Istnieje pewna liczba magicznych istot, takich jak Jednorożec, które mogą zwyczajnie wędrować, gdzie tylko zapragną. Poza tym każdy może podążać za idącym przez Cień albo istotą magiczną, póki nie straci śladu. Coś w rodzaju Thomasa Rhymera z ballady. Jeden chodzący przez Cień może przeprowadzić całą armię. Są też mieszkańcy rozmaitych królestw Cienia, leżących najbliżej Amberu i Chaosu. Z powodu bliskiej odległości od obu ośrodków mocy żyją tam potężni czarnoksiężnicy. Ci najlepsi dobrze sobie radzą, ale ich wizerunki Wzorca i Logrusu są niedoskonałe i nigdy nie dorównują oryginałom. Ale po obu stronach nie potrzeba nawet inicjacji, żeby się poruszać. Złącza Cienia są tam najcieńsze. Nawet prowadzimy z nimi handel. Z czasem coraz łatwiej wędrować wytyczonymi szlakami. Kierunek na zewnątrz jest jednak trudniejszy.

Znane są przypadki, gdy przedostały się spore siły inwazyjne. Dlatego właśnie trzymamy straż: Julian w Ardenie, Gerard na morzu i tak dalej.

– Inne sposoby?

– Może sztorm Cienia.

– Co to jest?

– To naturalne, choć niezbyt dobrze opisane zjawisko. Najlepszym porównaniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest burza tropikalna. Jedna z teorii mówi, że ich powstawanie ma związek z częstotliwością dudnienia fal, pulsujących od Amberu i Chaosu i kształtujących naturę cieni. W każdym razie gdy taki sztorm wybuchnie, to zanim się uspokoi, potrafi ogarnąć sporą liczbę cieni. Czasem wyrządza wielkie szkody, czasem bardzo małe. Ale często przenosi ze sobą różne rzeczy.

– Czy ludzi również?

– Znane są takie przypadki.

Dopił piwo. Poszedłem za jego przykładem.

– Co z Atutami? – zapytał. – Czy każdy może się nimi posługiwać?

– Tak.

– Ile jest zestawów?

– Nie wiem.

– Kto je tworzy?

– W Dworcach jest kilku ekspertów. Tam się nauczyłem. W Amberze potrafi to Fiona i Bleys. O ile pamiętam, mieli uczyć Randoma.

– Ci czarnoksiężnicy, o których wspominałeś, z przyległych krain... Czy któryś z nich mógłby stworzyć talię Atutów?

– Tak, ale byłyby mniej niż doskonałe. O ile dobrze rozumiem, aby wykonać je odpowiednio, trzeba przejść inicjację we Wzorcu albo Logrusie. Niektórzy jednak mogliby uzyskać częściowe rezultaty. Użycie takich Atutów byłoby ryzykowne: można skończyć martwym albo w jakimś piekle, a czasem tam, gdzie człowiek się rzeczywiście wybierał.

– A te, które znalazłeś u Julii?

– Były prawdziwe.

– Jak możesz to wyjaśnić?

– Ktoś, kto wiedział, jak się to robi, nauczył kogoś, kto potrafił opanować tę wiedzę, a ja o tym nie słyszałem. To wszystko.

– Rozumiem.

– Obawiam się, że to do niczego nie prowadzi.

– Ale jest mi potrzebne, jeśli mam coś wymyślić – odparł. – Jak inaczej mogę wskazać główne kierunki śledztwa? Masz ochotę na jeszcze jedno piwo?

– Zaczekaj.

Zamknąłem oczy i przywołałem obraz Logrusu – zmiennego, wiecznie zmiennego. Zakreśliłem swe pragnienie i dwie falujące linie widma zwiększyły grubość i jasność. Wolno poruszałem ramionami, naśladując ich kołysania i szarpnięcia. Wreszcie linie i moje ręce wydawały się jednością; otworzyłem dłonie i sięgnąłem dalej, coraz dalej w Cień.

Bill odchrząknął.

– Hm... Merle, co ty robisz?

– Szukam czegoś – wyjaśniłem. – Jeszcze chwilę.

Linie rozciągałyby się poprzez nieskończoność Cienia, aż natrafiłyby na obiekty mojego pragnienia albo ja straciłbym cierpliwość lub koncentrację. W końcu poczułem szarpnięcie, jakby żyłek dwóch wędek, gdzie ryby chwyciły haczyk.

– Są – oznajmiłem i szybko ściągnąłem je z powrotem.

W obu dłoniach zjawiły się oszronione butelki piwa.

Chwyciłem je mocno, po czym jedną podałem Billowi.

– O to mi chodziło, kiedy mówiłem o odwróceniu chodzenia przez Cień – wyjaśniłem, kilka razy oddychając głęboko. – Sięgnąłem w Cień po dwie butelki piwa. Zaoszczędziłem ci wyprawy do kuchni.

Przyglądał się pomarańczowej etykiecie z dziwacznym, zielonym napisem.

– Nie znam tej marki – stwierdził. – Że już nie wspomnę o języku. Jesteś pewien, że to niczym nie grozi?

– Tak, zamówiłem prawdziwe piwo.

– Aha... a nie sprowadziłeś przypadkiem otwieracza?

– Oj! Przepraszam cię, zaraz...

– Drobnostka.

Wstał, zniknął w kuchni, a po chwili wrócił z otwieraczem. Kiedy zerwał kapsel, poląła się piana i musiał potrzymać butelkę nad koszem, zanim piwo się uspokoiło. Z drugą było to samo.

– Niektóre rzeczy burzą się, e przyciąga się je za szybko, tak jak ja przed chwilą – wyjaśniłem. – Normalnie zdobywam piwo w inny sposób i zapomniałem już...

– Nic się nie stało. – Bill wytarł ręce chusteczką...

I pociągnął z butelki.

– Przynajmniej piwo jest dobre – stwierdził. – Zastanawiam się... Ale nie.

– Co?

– Mógłbyś sprowadzić pizzę?

– Z czym byś chciał? – zapytałem.

Następnego ranka poszliśmy na długi spacer wzdłuż krętego strumienia, który napotkaliśmy przy polu, należącym do sąsiada i klienta Billa. Bill siedł wolno z laską w rękę i fajką w zębach, kontynuując wczorajsze przesłuchanie powiedziałeś coś, na co nie zwróciłem należytej uwagi – oświadczył. – Bardziej interesowały mnie inne aspekty sytuacji. Mówiłeś, że ty i Luke dotarliście do olimpijskiego finału, a potem zrezygnowaliście.

– W jakiej konkurencji?

– Na kilku dystansach biegowych i w paru konkurencjach technicznych. Obaj byliśmy biegaczami i...

– I jego czas był bliski twojego?

– Bardzo bliski. A czasem to mój był bliski jego.

– Dziwne.

– Co?

Brzeg stał się bardziej stromy, więc po kamieniach przeszliśmy na drugą stronę, gdzie teren był stosunkowo płaski. Biegła tam mocno wydeptana ścieżka.

– To dość niezwykły zbieg okoliczności – powiedział – że ten chłopak był w sporcie nie gorszy od ciebie. Z tego, co słyszałem, Amberycy są kilka razy silniejsi od normalnych ludzi i mają zabawny metabolizm, dający niezwykłą wytrzymałość oraz zdolności regeneracyjne. Jak to możliwe, że Luke zdołał ci dorównać w siłowych konkurencjach?

– Jest świetnym sportowcem i dba o formę – odparłem. – Zdarzają się tacy ludzie: bardzo silni i szybcy.

Bill pokręcił głową. Weszliśmy na ścieżkę.

– Nie zaprzeczam. Ale mam wrażenie, że za dużo tych przypadków. Ten Luke ukrywa własną przeszłość, tak samo jak ty, a potem się okazuje, że i tak wie, kim jesteś. Powiedz, czy naprawdę jest miłośnikiem sztuki?

– Czego?

– Sztuki. Czy sztuka interesowała go na tyle, by ją kolekcjonować?

– Aha. Tak. Dość regularnie bywaliśmy na otwarciach galerii i wystawach w muzeum.

Parsknął i z wymachu uderzył laską w kamyk, który plusnął głośno.

– No cóż – mruknął. – To osłabia jeden z argumentów, ale nie psuje schematu.

– Nie bardzo...

– Dziwiło mnie, że znał tego zwariowanego malarza okultystę. Ale niesłusznie, skoro, jak twierdzisz, facet miał talent, a Luke naprawdę zbierał obrazy.

– Przecież nie musiał mi mówić, że znał Melmana.

– Fakt. Ale wszystko to razem, plus jego fizyczne możliwości... Oczywiście, prowadzę tu sprawę poszlakową, uważam jednak, że twój przyjaciel był człowiekiem niezwykłym.

Kiwnąłem głową.

– Po naszej wczorajszej rozmowie długo się nad tym zastanawiałem. I jeśli on nie jest stąd, to do diabła, naprawdę nie wiem, skąd pochodzi.

– Więc chyba wyczerpaliśmy możliwości tego śladu – westchnął Bill. Minęliśmy zakręt strumienia i przystanął, by spojrzeć na stadko ptaków, zrywających się do lotu z niewielkiego mokradła na drugim brzegu.

– Powiedz mi, zupełnie z innej beczki, jaki masz... status.

– Nie rozumiem.

– Jesteś synem księcia Amberu. Czym cię to czyni?

– Chodzi ci o tytuł? Jestem diukiem Marchii Zachodnich i earlem Kolviru.

– Co to oznacza?

– Że nie jestem księciem Amberu. Nikt nie musi się martwić, że zacznę intrygować, żadnej wendety związanej z sukcesją tronu...

– Hm.

– Co miało znaczyć to „hm”?

Wzruszył ramionami.

– Za dobrze znam historię. Nikt nie jest bezpieczny.

I ja wzruszyłem swoimi.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, na domowym froncie panuje spokój.

– To dobra wiadomość.

Kilka zakrętów dalej dotarliśmy do szerokiej polanki pokrytej kamykami i piaskiem. Teren wznosił się lekko przez jakieś dziesięć metrów, aż do stromej skarpy wysokości dwóch, może trzech metrów. Widziałem ślady przyboru wody i odsłonięte korzenie drzew, rosnących wzdłuż krawędzi. Bill przysiadł na głazie w ich cieniu i zapalił fajkę. Ja znalazłem sobie miejsce w pobliżu, po lewej stronie. Woda pluskała cicho w przyjemnej tonacji i skrzyła się w słońcu.

– Ładnie tu – stwierdziłem po chwili. – Naprawdę przyjemne miejsce.

– Uhm.

Spojrzałem na niego – patrzył w stronę, z której przyszliśmy.

– Coś się dzieje? – spytałem, zniżając głos.

– Zauważyłem kogoś – szepnął. – Szedł ścieżką kawałek za nami. Straciłem go z oczu po tych wszystkich zakrętach.

– Może powinienem przejść się z powrotem.

– To pewnie nic ważnego. Jest piękny dzień. Sporo ludzi urządza tu wycieczki. Pomyślałem tylko, że jeśli chwilę poczekamy, zobaczymy go albo upewnimy się, że skręcił gdzieś w bok.

– Możesz go opisać?

– Nie. Zauważyłem tylko poruszenie. Myślę, że nie ma się czym przejmować. Po tej twojej opowieści zrobiłem się przesadnie ostrożny... albo wpadam w paranoję. Nie jestem pewien.

Wyjąłem fajkę, nabiłem i zapaliłem. Czekaliśmy. Czekaliśmy jakieś piętnaście minut, ale nikt się nie pokazał.

Wreszcie Bill wstał i przeciągnął się.

– Fałszywy alarm – stwierdził.

– Chyba tak.

Ruszył dalej. Podążyłem za nim.

– Martwi mnie ta Jasra – rzekł. – Powiedziała, że wyglądało to, jakby przeatutowała się do pokoju. I że miała w ustach żądło, które na pewien czas cię powaliło.

– Zgadza się.

– Spotkałeś kiedyś kogoś podobnego?

– Nie.

– Domyślasz się może?

Pokręciłem głową.

– I co z tą zabawą w Noc Walpurgii? Rozumiem, że jakaś data może mieć istotne znaczenie dla szaleńca, i wiem, że wyznawcy różnych prymitywnych religii przywiązywali wielką wagę do zmian pór roku. Ale S jest niemal zanadto zorganizowany, by być wariatem. A co do tego drugiego...

– Melman uważa, że to ważne.

– Tak. Ale on zajmował się takimi rzeczami. Byłbym zaskoczony, gdyby nie doszukał się jakiejś zbieżności, choćby nawet nie istniała naprawdę. Przyznał, że jego mistrz o tym nie wspominał. Sam to wymyślił. Ale to ty masz doświadczenie w tej dziedzinie. Czy zamordowanie kogoś twojej krwi w pewnym szczególnym dniu roku może mieć specjalne znaczenie albo dostarczyć jakiejś wyjątkowej mocy?

– O niczym takim nie słyszałem. Ale oczywiście istnieje wiele spraw, o których nie mam pojęcia. W porównaniu z innymi adeptami jestem dość młody. Tylko nie rozumiem, do czego zmierzasz. Nie sądzisz, żeby był szaleńcem, ale nie wierzysz też w ten pomysł z Nocą Walpurgii.

– Sam nie wiem. Po prostu głośno myślę. Jedno i drugie jest trochę naciągane. Nawiasem mówiąc, we francuskiej Legii Cudzoziemskiej na trzydziestego kwietnia dawali żołnierzom urlopy, żeby mogli się upić, a potem jeszcze parę dni, żeby wytrzeźwieli. To rocznica bitwy pod Camerone, jednego z ich wielkich zwycięstw. Ale nie sądzę, by istniał tu jakiś związek z naszą sprawą.

I dlaczego sfinks? – dodał po chwili. – Dlaczego Atut przenosi cię w miejsce, gdzie musisz odpowiadać na głupie zagadki albo odgryzą ci głowę?

– Odniosłem wrażenie, że miał w planach raczej to drugie.

– Też mi się tak wydawało. Ale to z pewnością bardzo dziwne. Wiesz co? Założę się, że wszystkie te Atuty działają w taki sposób: prowadzą w pułapkę.

– Możliwe.

Sięgnąłem do kieszeni po karty.

– Zostaw – poradził. – Nie kuśmy losu. Może powinieneś schować je w bezpiecznym miejscu, przynajmniej na pewien czas. Mógłbym zamknąć je w sejfie w moim gabinecie.

– Sejfy nie są aż tak bezpieczne – roześmiałem się. – Nie, dziękuję. Wolę je mieć przy sobie. Może zdołam je sprawdzić, zanedo przy tym nie ryzykując.

– Ty jesteś ekspertem. Ale powiedz, czy coś nie może się tutaj prześliznąć ze sceny na karcie tak, żebyś nie...

– Nie. Nie działają w taki sposób. Wymagają twojej uwagi. Pełnej koncentracji.

– To już coś. Chciałbym...

Obejrzał się znowu. Ktoś nadchodził. Odruchowo zacisnąłem pięści.

A potem usłyszałem, jak Bill oddycha z ulgą.

– W porządku – mruknął. – Znam go. To George Hansen. Syn właściciela farmy, obok której przechodziliśmy. Cześć, George!

Średniego wzrostu i krępej budowy mężczyzna pomachał nam ręką. Miał jasne włosy. Był ubrany w levisy i koszulkę Grateful Dead, a za podwinięty rękaw wsunął paczkę papierosów. Wyglądał na dwadzieścia parę lat.

– Dzień dobry – odpowiedział, gdy podszedł bliżej. – Ciepły dzień, co?

– Jeszcze jak – odparł Bill. – Dlatego wyszliśmy na spacer, zamiast siedzieć w domu.

George przyjrzał mi się.

– Ja też – oświadczył, przygryzając dolną wargę. – Naprawdę ładny dzień.

– To Merle Corey. Przyjechał do mnie w odwiedziny.

– Merle Corey – powtórzył George i wyciągnął rękę. – Cześć, Merle.

Uścisnąłem mu dłoń. Była lekko wilgotna.

– Poznałeś nazwisko?

– No... Merle Corey.

– Znałeś jego ojca.

- Tak? A rzeczywiście!
- Sama Coreya – dokończył Bill i ponad ramieniem George’a spojrzął na mnie znacząco.
- Sam Corey – powtórzył George. – To był facet! Miło cię poznać. Na długo przyjechałeś?
- Najwyżej kilka dni – odparłem. – Nie wiedziałem, że znałeś mojego ojca.
- Świetny gość – stwierdził. – Gdzie mieszkasz?
- W Kalifornii, ale już pora na zmianę.
- A dokąd się wybierasz?
- Chyba wyjadę z kraju.
- Do Europy?
- Dalej.
- Kapitalnie. Też chciałbym kiedyś pojeździć po świecie.
- Może kiedyś pojeździsz.
- Może. No, pora na mnie. Miłego spaceru. Przyjemnie było cię poznać, Merle.
- Mnie również.

Cofnął się, pomachał nam, odwrócił się i odszedł. Spojrzałem na Billa i zauważyłem, że drży.

- O co chodzi? – spytałem szeptem.
- Znam tego chłopca od urodzenia – powiedział. – Myślisz, że brał narkotyki?
- Nie takie, dla których trzeba sobie dziurawić ręce. Nie widziałem żadnych śladów. I nie wyglądał na oszołomionego.

– Tak, ale ty nie znasz go tak jak ja. Był... inny. Pod wpływem impulsu nazwałem twojego ojca Samem. Bo coś było nie tak, jak powinno. Zmienił się jego sposób mówienia, postawa, chód... Drobiazgi. Czekałem, żeby mnie poprawił, a wtedy mógłbym zażartować o przedwczesnej sklerozie. Ale nie. Uwierzył. Merle, to przerażające! Przecież on znał twojego ojca... jako Carla Coreya. Ojciec lubił mieć w domu porządek, ale nigdy nie radził sobie z pieleniem, koszeniem czy grabieniem liści. George pracował u niego przez całe lata, jeszcze w szkole. Wiedział, że nie ma na imię Sam.

- Nie rozumiem.
- Ja też nie. I wcale mi się to nie podoba.
- Czyli zachowuje się dziwnie... i sądzisz, że nas śledzi?
- Teraz tak. To nie może być przypadek... akurat wtedy, kiedy przyjechałeś.

Zawróciłem.

- Idę za nim – oznajmiłem. – Przekonamy się.
- Nie. Zostań.
- Nie zrobię mu krzywdy. Są inne metody.

– Niech lepiej wierzy, że nas oszukał. Może poczuje się pewniej i powie albo zrobi coś, co da nam informację. Z drugiej strony, cokolwiek zrobisz, nawet delikatnego czy magicznego, może go... albo kogoś innego... uprzedzić, że coś podejrzewamy. Zostaw to, bądź wdzięczny za ostrzeżenie i bądź ostrożny.

- Masz rację – zgodziłem się. – Dobrze.

– Wracajmy do domu. Pojedziemy do miasta na lunch. Przy okazji wpadniemy do mojego biura, chcę zabrać pewne dokumenty i załatwić kilka telefonów. O drugiej mam spotkanie z klientem. W tym czasie możesz wziąć samochód i przejechać się po okolicy.

- Doskonale.

Po drodze zastanawiałem się. Było kilka spraw, o których Billowi nie powiedziałem. Na przykład, nie warto było wspominać, że na lewej ręce noszę niewidzialny, obdarzony dość niezwykłymi

możliwościami sznur do duszenia. Jedną z nich jest to, że normalnie ostrzega mnie przed skierowanymi ku mnie złymi intencjami, jak robił to przez prawie dwa lata w obecności Luke'a, zanim zostaliśmy przyjaciółmi. Jakiegokolwiek były powody dziwnego zachowania George'a Hansena, Frakir nie dała znaku, że ma wobec mnie złe zamiary. Chociaż, zabawna rzecz... było coś w jego sposobie wyrażania, w tym, jak wymawiał słowa...

Po lunchu Bill zajął się interesami, a ja wyruszyłem na przejażdżkę. Kierowałem się do miejsca, gdzie przed laty mieszkał ojciec. Kilka razy byłem już w pobliżu, ale nie wchodziłem do środka. Zresztą, chyba i tak nie miałem po co. Bill powiedział, że domek kupiło jakieś młode małżeństwo z dziećmi. Mogłem się tego domyślić widząc porozrzucane na podwórzu zabawki. Ciekawe, jak by to było: dorastać w takim domu. Wyglądał na zadbany, wręcz wymuskany. Wyobrażałem sobie, że ludzie są tu szczęśliwi.

Zastanawiałem się, gdzie on jest teraz... jeśli jest jeszcze wśród żywych. Nikt nie zdołał połączyć się z nim Atutem, choć to jeszcze niczego nie dowodziło. Istnieje wiele sposobów blokowania kontaktu. Jeden z nich, jak mówiono, dotyczył właśnie jego sytuacji, chociaż wolałem o tym nie myśleć.

Jedna z wersji głosiła, że tato oszalał w Dworcach Chaosu, dotknięty klątwą rzuconą przez moją matkę, a teraz wędruje bez celu przez Cień. Mama odmawiała wszelkich komentarzy na ten temat. Według innej, wkroczył do stworzonego przez siebie wszechświata i nigdy nie powrócił. To mogło go usunąć poza zasięg Atutów. Zgodnie z jeszcze inną, po prostu zginął gdzieś po wyjeździe z Dworców – a kilkoro moich krewnych zapewniało, że widzieli, jak odjeżdża. Zatem, jeśli prawdziwe były pogłoski o jego śmierci, nastąpiła ona poza Dworcami Chaosu. Byli też inni, którzy jakoby spotykali go później w różnych odległych od siebie miejscach. Zawsze mówili o jego niezwykłym zachowaniu. Raz słyszałem, że podróżował w towarzystwie niemej tancerki – małej i ślicznej, z którą porozumiewał się językiem migowym – i że sam prawie się nie odzywał. Ktoś inny opowiadał, że widział go pijanego w sztok w jakiejś speluncie, z której w końcu przepędził wszystkich klientów, żeby w spokoju słuchać orkiestry. Długo musiałem szukać, żeby trafić chociaż na te kilka plotek, ale nie mogłem ręczyć za autentyczność żadnej z nich. Choć próbowałem wiele razy, nie zdołałem zlokalizować go wezwaniem Logrusu. Oczywiście, jeśli odjechał dostatecznie daleko, moja zdolność koncentracji mogła się okazać niewystarczająca.

Innymi słowy, nie miałem pojęcia, gdzie się podział mój ojciec, Corwin z Amberu. I nikt inny też chyba nie wiedział. Żałowałem tego, gdyż tylko raz miałem okazję być z nim dłużej – pod Dworcami Chaosu, kiedy wysłuchałem jego opowieści po bitwie Skazy Wzorca.

To odmieniło moje życie. Postanowiłem wtedy opuścić Dworce i zdobywać doświadczenie w świecie Cienia, gdzie przeżył tyle lat. Uznałem, że jeśli chcę rozumieć tatę, powinienem rozumieć ten świat. I wierzyłem, że udało mi się to osiągnąć. Może nawet więcej. Ale jego już nie było i nie mogliśmy dokończyć rozmowy. Sądziłem, że teraz, kiedy projekt Ghostwheel był już na ukończeniu, będę mógł wypróbować nową metodę poszukiwania. I nagle zaczęła się ta ostatnia historia. Po długiej podróży, którą planowałem za miesiąc czy dwa zakończyć u Billa, zamierzałem wyruszyć do mojej prywatnej anomalii i wziąć się do pracy.

Teraz... pojawiły się inne problemy. Muszę je rozwiązać, zanim wrócę do poszukiwań.

Wolno przejechałem obok domu. Przez otwarte okna słyszałem dźwięki muzyki. Lepiej nie wiedzieć dokładnie, co dzieje się wewnątrz. Czasem dobrze jest zachować odrobinę tajemnicy.

Wieczorem po kolacji siedzieliśmy z Billem na werandzie. Próbowałem sobie przypomnieć, co jeszcze powinienem przepuścić przez jego umysł. Nic mi nie przychodziło do głowy, więc to on pierwszy wrócił do naszej odcinkowej konwersacji.

– Jest jeszcze coś – zaczął.

– Tak?

– Dan Martinez zaczął rozmowę z tobą sugerując, że Luke szuka inwestorów, by założyć jakąś firmę komputerową. Uznałeś później, że to tylko manewr, by odwrócić twoją uwagę, a potem zaskoczyć pytaniem o Amber i Chaos.

– Zgadza się.

– Ale Luke rzeczywiście proponował ci coś zbliżonego. Upierał się przy tym, że nie szukał kontaktu z potencjalnymi inwestorami i nigdy nie słyszał o Danie Martinezie. Kiedy zobaczył zwłoki, nadal utrzymywał, że nigdy go nie widział.

Przytaknąłem.

– Czyli albo Luke kłamał, albo Martinez dowiedział się jakoś o jego planach.

– Nie sądzę, by Luke kłamał. Myślałem później o tej sprawie. Znając go, nie wierzę, by szukał inwestorów nie wiedząc jeszcze, czy ma w co włożyć pieniądze. Myślę, że w tej kwestii mówił prawdę. Według mnie mógł to być jedyny prawdziwy zbieg okoliczności we wszystkim, co się do tej pory przydarzyło. Mam wrażenie, że Martinez sporo o Luke’u wiedział i potrzebował tylko ostatniej informacji: czy słyszał coś o Amberze i Dworcach. Był sprytny. Na podstawie tego, co już wiedział, w szczególności że pracowaliśmy z Lukiem w tej samej firmie, potrafił ułożyć wiarygodną dla mnie historyjkę.

– To możliwe – przyznał. – Ale kiedy Luke naprawdę...

– Zaczynam sądzić – przerwałem – że historia Luke’a też była fałszywa.

– Nie bardzo rozumiem.

– Uważam, że ułożył ją tak samo jak Martinez. I z podobnych powodów: żeby wydała mi się dostatecznie prawdopodobna, bym udzielił informacji, na której mu zależało.

– Zgubiłem się. Jakiej informacji?

– Chodziło o mojego Ghostwheela. Chciał wiedzieć, co to takiego.

– I rozczarował się, gdy usłyszał, że to tylko egzotyczne ćwiczenie z projektowania, przeprowadzone wcale nie po to, by stworzyć firmę?

Dostrzegł mój uśmiech, gdy kiwnąłem głową.

– To coś więcej? – zapytał. I dodał: – Czekał, nie mów. Ty też kłamałeś. To coś istnieje rzeczywiście.

– Tak.

– Pewnie nie powinienem nawet pytać... chyba że uważasz to za istotny materiał i chcesz mi powiedzieć. Jeśli to coś dużego i bardzo ważnego, to można będzie to ze mnie wyciągnąć. Wiesz, nie jestem odporny na ból. Zastanów się.

Zrobiłem to. Siedziałem i dumałem przez dłuższą chwilę.

– Przypuszczam, że istnieje pewien związek – stwierdziłem w końcu. – Dość złożony i raczej nie taki, o jakim mówiłeś. Ale nie sądzę, żeby mógł to być, jak to nazwałeś, materiał. Ani dla Luke’a, ani dla nikogo innego. Ponieważ nikt oprócz mnie nie ma nawet pojęcia, co to jest. Nie. Nie wiem, jak można tę niewiadomą wprowadzić do równania. Chodziło tylko o ciekawość Luke’a. Postąpię raczej według twojej rady i nie włączę tej sprawy do akt.

– Mnie to nie przeszkadza – odparł. – Jest jeszcze sprawa zniknięcia Luke’a...

W domu zadzwonił telefon.

– Przepraszam – powiedział Bill. Wstał i zniknął w kuchni. – Merle, to do ciebie! – zawołał po chwili.

Wszedłem do środka. Spojrzałem pytająco, a on wzruszył ramionami i pokręcił głową. Szybko

przypomniałem sobie, gdzie są dwa pozostałe aparaty. Wskazałem palcem Billa, potem jego gabinet i wykonałem ruch, jakbym podnosił i przyciskał do ucha słuchawkę. Uśmiechnął się lekko i skinął głową. Zacząłem mówić, dopiero kiedy usłyszałem pstryknięcie. Rozmówca powinien uznać, że podniosłem słuchawkę w drugim aparacie.

– Słucham?

– Merle Corey?

– To ja.

– Potrzebuję pewnych informacji, które jak sądzę, pan posiada.

Głos był męski, jakby znajomy, chociaż nie całkiem.

– Z kim rozmawiam? – spytałem.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć.

– W takim razie obawiam się, że moja odpowiedź na pańskie pytanie będzie taka sama.

– Czy mogę przynajmniej je zadać?

– Proszę bardzo.

– Dobrze. Pan i Luke Raynard jesteście przyjaciółmi.

Umilkł.

– Można tak to określić – odpowiedziałem, by wypełnić ciszę.

– Słyszał pan, jak wspominał o miejscach zwanych Amberem i Dworcami Chaosu.

I znowu raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Może.

– Czy pan sam wie coś o tych miejscach?

Wreszcie o coś zapytał.

– Może – powtórzyłem.

– Proszę – To poważna sprawa. Potrzebuję czegoś więcej niż tylko „może”.

– Przykro mi. Niczego pan nie usłyszy, dopóki się nie dowiem, kim pan jest i czemu pan pyta.

– Mogę być bardzo pomocny, jeśli zechce pan mówić.

SZI;ZI:T7e.

W ostatniej chwili powstrzymałem się od odpowiedzi.

Czułem, jak przyspiesza mi puls. Ostatnie zdanie padło w thari. Zachowałem milczenie.

Wreszcie...

– No cóż, nie udało się, a ja ciągle nie jestem pewien.

– Czego? Czego nie jest pan pewien?

– Czy to on pochodzi z jednego z tych miejsc, czy może pan.

– Pozwoli pan, że zapytam wprost: co to pana obchodzi? – Ponieważ jednemu z was może grozić poważne niebezpieczeństwo.

– Temu, który stamtąd pochodzi, czy temu drugiemu?

– Tego nie mogę powiedzieć. Nie stać mnie na kolejną pomyłkę.

– O czym pan mówi? Czego dotyczyła ta poprzednia?

– Nie powie pan? Ani dla własnego bezpieczeństwa, ani by pomóc przyjacielowi?

– Mógłbym – odparłem. – Gdybym wiedział, że to prawda. Ale równie dobrze to pan może stanowić zagrożenie.

– Zapewniam pana, że próbuję jedynie pomóc właściwej osobie.

– Słowa, słowa, słowa... – oświadczyłem. – Przypuśćmy, że obaj jesteśmy z tych miejsc.

– Ojej – jęknął. – Nie. To niemożliwe.

– Dlaczego?

– To nieważne. Co muszę zrobić, by pana przekonać?

– Nic. Chwileczkę, niech pomyślę. No dobrze. Co pan na to: spotkajmy się gdzieś. Pan wskaże miejsce. Przyjrzę się panu i wymienimy informacje, po trochu, aż wszystkie karty znajdą się na stole.

Zamilkł.

– Tylko w taki sposób byłby pan skłonny do rozmowy? – spytał po chwili.

– Tak.

– Muszę się zastanowić. Skontaktuję się wkrótce.

– Jedno pytanie...

– Słucham?

– Jeśli to ja, to czy niebezpieczeństwo grozi mi już teraz?

– Tak myślę. Tak, chyba tak. Do widzenia.

Rozłączył się.

Gdy odkładałem słuchawkę, udało mi się westchnąć i zakląć równocześnie. Wystarczyło otworzyć szafę, żeby trafić na kogoś, kto o nas wiedział.

Do kuchni wszedł wyraźnie zdziwiony Bill.

– Skąd ten kim-on-tam-był-do-diabła w ogóle wiedział, że tu jesteś? – brzmiały jego pierwsze słowa.

– To moje pytanie. Wymyśl jakieś inne.

– Proszę bardzo. Naprawdę chcesz iść? A jeżeli on planuje jakiś numer?

– Jasne. Zaproponowałem spotkanie, ponieważ chcę poznać tego faceta.

– Jak sam zauważyłeś, to on może stanowić zagrożenie.

– Mnie to nie przeszkadza. On też znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Nie podoba mi się to.

– Mnie też niespecjalnie. Ale jak dotąd nie otrzymałem lepszej oferty.

– Jak chcesz. Sam decydujesz. Szkoda, że nie ma sposobu, by zlokalizować go wcześniej.

– Ta myśl mnie również przemknęła przez głowę.

– Słuchaj, a może by go trochę przycisnąć?

– Jak?

– Wydawał się lekko zdenerwowany, a twoja propozycja nie spodobała mu się chyba bardziej niż mnie.

Kiedy zadzwoni, mogłoby nie być nas w domu. Niech nie myśli, że siedzisz tu i czekasz na dzwonek telefonu. Niech trochę poczeka. Znajdziemy ci jakieś świeże ubranie i na parę godzin pojedziemy do klubu. To lepsze niż pustoszenie lodówki.

– Niezły pomysł – przyznałem. – Kiedyś to miały być wakacje. Nic bliższego chyba się nie trafi. Doskonale.

Korzystając z zasobów Cienia odnowiłem swoją garderobę, potem przystrzygłem brodę, wziąłem prysznic i przebrałem się. Pojechaliśmy do klubu i zjedliśmy kolację na tarasie. Wieczór świetnie się do tego nadawał: czysty i rozgwieżdżony, ze ściekającym jak mleko księżycowym blaskiem. Za wspólną ugodą, powstrzymaliśmy się od dyskusji o moich problemach. Bill znał tu chyba wszystkich, więc i ja dobrze się czułem. To był najprzyjemniejszy wieczór, jaki przeżyłem od dłuższego czasu. Później przeszliśmy na kilka drinków do baru, który – jak zrozumiałem – był jedną z ulubionych przystani taty. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały strzępy tanecznej muzyki.

– Tak, to był dobry pomysł – stwierdziłem. – Dzięki.

– De nada – odparł. – Często tu bywaliśmy z twoim staruszkiem. Nie miałeś przypadkiem...?

– Nie, żadnych wieści.

- Przykro mi.
- Dam ci znać, kiedy się odezwie.
- Oczywiście. Przepraszam.

Droga powrotna minęła spokojnie. Nikt za nami nie jechał. Wróciliśmy krótko po północy, powiedzieliśmy sobie dobranoc, i poszedłem prosto do swojego pokoju. Po drodze zdjąłem i odwiesiłem do garderoby nową marynarkę, potem ściągnąłem nowe buty. W pokoju od razu zauważyłem biały prostokąt na poduszce.

Dwoma długimi krokami dotarłem do łóżka i chwyciłem kartkę papieru.

PRZEPRASZAM, ALE NIE BYŁO PANA, KIEDY DZWONIŁEM,

informowały drukowane litery.

ZAUWAŻYŁEM PANA W KLUBIE I DOSKONALE ROZUMIEM PAŃSKIE PRAGNIENIE, BY SPĘDZIĆ WIECZÓR POZA DOMEM. NASUNĘŁO MI TO PEWIEN POMYSŁ. SPOTKAJMY SIĘ TAM W BARZE, JUTRO O DZIESIĄTEJ WIECZOREM. LEPIEJ BĘDĘ SIĘ CZUŁ W TOWARZYSTWIE TYLU LUDZI, Z KTÓRYCH ŻADEN NIE SŁUCHA.

Niech to szlag! Pierwszy impuls kazał mi natychmiast powiedzieć o wszystkim Billowi. Pierwsza myśl, jaka zjawiała się po tym impulsie, mówiła, że przecież nic nie może zrobić. Co najwyżej straci trochę snu, a pewnie potrzebuje go bardziej ode mnie. Złożyłem więc kartkę, wsunąłem do kieszeni koszuli, a samą koszulę odwiesiłem na krzesło.

Nawet koszmar nie ożywił mojego snu. Spałem głęboko i mocno wiedząc, że w razie niebezpieczeństwa obudzi mnie Frakir. Szczerze mówiąc, zasnąłem nawet i było to przyjemne. Poranek wstał słoneczny i śpiewały ptaki.

Ochlapałem się, przycesałem, obrabowałem Cię z czystych spodni i koszuli, po czym zszedłem do kuchni. Na stole leżała kartka papieru. Miałem już dość znajdowania wiadomości, ta jednak była od Billa. Pisał, że jedzie do biura, a ja mam częstować się tym, co uznam za odpowiednie na śniadanie. Wróci później.

Zajrzałem do lodówki i przygotowałem sobie maślane bułeczki, kawałek melona i szklanekę soku pomarańczowego. Kawa, którą wcześniej nastawiłem, była gotowa, zanim skończyłem jedzenie. Nalałem sobie i zabrałem filiżankę na werandę.

Pomyślałem, że powinienem może też zostawić Billowi kartkę i wyjechać stąd. Mój tajemniczy korespondent, zapewne S, raz tutaj telefonował i raz się włamał. Nieważne, skąd wiedział, że tu jestem. To był dom przyjaciela, a chociaż nie miałem nic przeciwko temu, by zwierzać się przyjacielom z kłopotów, wolałem raczej nie narażać ich na niebezpieczeństwo. Ale w końcu był biały dzień, a spotkanie miało nastąpić dopiero wieczorem. I pewnie dojdę wtedy do jakichś rozsądnych wniosków. Szkoda by było wyjeżdżać akurat teraz.

Właściwie nawet lepiej, jeśli zostanę jeszcze, przypilnuję wszystkiego, w razie czego będę osłaniał Billa... Nagle wyobraziłem sobie, jak pod groźbą pistoletu ktoś zmusza go do napisania tej kartki, po czym porywa jako zakładnika, by zmusić mnie do mówienia.

Biegiem wróciłem do kuchni i zatelefonowałem do biura. Po drugim sygnale odebrał Horace Crayper, jego sekretarz.

– Dzień dobry, mówi Merle Corey – powiedziałem. – Zastałem pana Rotha?

– Tak – odparł. – Ale w tej chwili rozmawia z klientem. Może później do pana zadzwoni?

– Nie, to nie takie ważne. I tak mamy się spotkać. Nie będę mu przeszkadzał. Dziękuję bardzo.

Nalałem drugą filiżankę kawy i wróciłem na werandę. Takie rzeczy fatalnie wpływały na nerwy.

Postanowiłem, że jeśli wszystko nie wyjaśni się do wieczora, wyjeżdżam.

Zza węgła wynurzyła się jakaś postać.

– Cześć, Merle.

George Hansen. Frakir pulsowała bardzo delikatnie, jakby chciała mnie ostrzec i nagle zmieniła zdanie. Niejasne. Dziwne.

– Cześć, George. Jak leci?

– Świetnie. Jest pan Roth?

– Niestety. Musiał jechać do miasta. Wróci na lunch, może trochę później.

– Aha. Parę dni temu prosił, żeby wpaść do niego. Miał dla mnie jakąś pracę.

Podszedł bliżej, postawił nogę na stopniu.

Pokręciłem głową.

– Nie mogę ci pomóc. Nic mi nie wspominał. Będziesz musiał przyjść jeszcze raz.

Kiwnął głową, wyplątał z rękawa paczkę papierosów, wyjął jednego, zapalił i wsunął paczkę za rękaw. Tym razem miał na koszulce Pink Floydów.

– Jak ci się u nas podoba? – zapytał.

– Bardzo. Napijesz się kawy?

– Z przyjemnością.

Wstałem i ruszyłem do kuchni.

– Z cukrem i śmietanką! – zawołał.

Nalałem mu, a kiedy wróciłem, siedział już na krześle.

– Dziękuję.

Wypił trochę.

– Przy okazji: wiem, że twój ojciec miał na imię Carl, chociaż pan Roth mówił Sam. Pamięć mu już trochę nawala.

– Albo się przejęczył.

Uśmiechnął się.

Coś było w jego sposobie mówienia. Głos mógłby niemal należeć do mojego telefonicznego rozmówcy, choć tamten był chyba bardziej opanowany i spowolniony, by zneutralizować charakterystyczne cechy wymowy. To nie podobieństwo mnie dręczyło.

– Był emerytowanym oficerem, prawda? I konsultantem rządowym?

– Tak.

– Co się z nim teraz dzieje?

– Sporo podróżuje. Za granicą.

– Spotkasz się z nim?

– Mam nadzieję.

– Miło by było – stwierdził, zaciągnął się papierosem i łyknął kawy. – Doskonała. Nie widywałem cię tutaj – oznajmił niespodziewanie. – Chyba nigdy nie mieszkałeś z ojcem?

– Nie. Wychowywała mnie matka i inni krewni.

– Pewnie daleko stąd?

Kiwnąłem głową.

– Za morzem.

– Jak ma na imię?

Niewiele brakowało, żebym mu powiedział. Sam nie wiem czemu. W ostatniej chwili zmieniłem to słowo na „Dorothy”.

Dostrzegłem, jak przygryza wargi. Wpatrywał się w moją twarz.

– Dlaczego pytasz?

– Bez specjalnych powodów. Albo z wrodzonej ciekawości. Moja matka była największą plotkarką w mieście. – Zaśmiał się i łyknął kawy. – Długo tu zostaniesz? – zapytał jeszcze.

– Trudno powiedzieć. Chyba raczej nie.

– Szkoda. Mam nadzieję, że będziesz przyjemnie wspominał tę wizytę. – Dopił kawę i postawił filiżankę na balustradzie. Wstał, przeciągnął się i dodał: – Miło było z tobą pogawędzić.

Zatrzymał się jeszcze na stopniach.

– Mam przeczucie, że zajdziesz daleko – oświadczył. – Powodzenia.

– Może ty także. Umiesz się wygadać.

– Dzięki za kawę. Pewnie się jeszcze spotkamy.

– Pewnie tak.

Skręcił za róg i zniknął. Zwyczajnie nie wiedziałem, co o nim myśleć, więc po kilku próbach zrezygnowałem. Gdy milczy natchnienie, rozsądek szybko się męczy.

Szykowałem sobie kanapkę, kiedy wrócił Bill, więc zrobiłem od razu dwie. Tymczasem on poszedł się przebrać.

– Ten tydzień miał być spokojny – powiedział, kiedy siedliśmy przy stole. – Ale to dawny klient z dość pilną sprawą, więc musiałem go przyjąć. Może dzisiaj też wybierzemy się nad strumień, tylko w drugą stronę?

– Chętnie.

A na spacerze opowiedziałem mu o wizycie George’a.

– Nie – stwierdził. – Nie mówiłem mu, że mam dla niego pracę.

– Innymi słowy...

– Przyszedł, żeby się z tobą zobaczyć. Na pewno widział z domu, że wyjeżdżam.

– Chciałbym wiedzieć, o co mu chodziło.

– Jeśli to ważne, pewnie sam ci w końcu powie.

– Ale czas ucieka – zauważyłem. – Zdecydowałem, że wyjadę jutro rano, może nawet dziś wieczorem.

– Dlaczego?

Szliśmy brzegiem strumienia. Powiedziałem mu o tej kartce na poduszce i o spotkaniu wieczorem. A także o tym, co myślę o wystawianiu go na zbłąkane kule. I te wymierzone też.

– Może do tego nie dojdzie... – zaczął.

– Już postanowiłem, Bill. Żałuję, że muszę cię opuścić, kiedy tak dawno się nie widzieliśmy, ale nie przewidywałem tych problemów. A kiedy ja zniknę, one znikną także.

– Zapewne, ale...

Roztrząsaliśmy tę kwestię, podążając brzegiem potoku.

W końcu zostawiliśmy temat i wróciliśmy do bezowocnego roztrząsania moich łamigłówek. Po drodze oglądałem się co chwilę, ale nie zauważyłem nikogo. Od czasu do czasu w krzakach na drugim brzegu rozlegał się szelest, ale mogło to być jakieś zwierzę, zaniepokojone naszymi głosami.

Spacerowaliśmy prawie godzinę, kiedy nagle doznałem uczucia, że ktoś patrzy na mój Atut. Znieruchomiałem.

Bill przystanął i spojrzał zdziwiony.

– Co..

Uniosłem rękę.

– Rozmowa międzykontynentalna – wyjaśniłem.

Po chwili wyczułem pierwsze drgnienie kontaktu.

I znowu usłyszałem szelest.

– Merlinie.

To był głos Randoma. Po kilku sekundach zobaczyłem go, siedzącego przy stoliku w bibliotece Amberu.

– Słucham – odpowiedziałem.

Wizja nabrała barw, stała się rzeczywista, jakbym przez szerokie wejście zaglądał do sąsiedniego pokoju. Równocześnie nadal widziałem całe otoczenie, choć z każdą chwilą obraz przesuwał się na peryferie pola widzenia. Na przykład, na drugim brzegu zauważyłem George'a Hansena, który wyszedł z krzaków i przyglądał mi się.

– Potrzebny mi jesteś w Amberze. Natychmiast – oświadczył Random.

George ruszył w naszą stronę. Z pluskiem wszedł do wody.

Random wyciągnął rękę.

– Przechodź – powiedział.

Moja sylwetka pewnie już migotała, gdy usłyszałem wołanie George'a:

– Stój! Zaczekaj! Muszę iść...

Złapałem Billa za ramię.

– Nie mogę cię zostawić z tym wariatem – stwierdziłem. – Chodźmy!

Drugą dłonią chwyciłem rękę Randoma.

– W porządku – rzuciłem i zrobiłem krok do przodu.

– Stój! – wrzasnął George.

– Odwal się – odpowiedziałem i zostawiliśmy go tam, żeby łapał tęczę.

Rozdział 7

Random był zaskoczony, gdy obaj zjawiliśmy się w bibliotece. Choć wstał, nadal był niższy od każdego z nas. Spojrzał na Billa.

– Kto to jest, Merlinie? – zapytał.

– Twój adwokat, Bill Roth – wyjaśniłem. – W przeszłości kontaktowałeś się z nim przez wysłanników. Pomyślałem, że chciałbyś może...

Bill zamierzał przyklęknąć na jedno kolano i miał już na ustach „Wasza wysokość”, ale Random chwycił go za ramiona.

– Zostawmy te bzdury – powiedział. – Nie jesteśmy na dworze. – Uścisnął mu dłoń. – Mów mi Random. Zawsze chciałem osobiście ci podziękować za pracę, jaką włożyłeś w przygotowanie traktatu. Jakoś nie miałem okazji. Miło cię poznać.

Jeszcze nigdy nie widziałem, by Billowi zabrakło słów, ale teraz patrzył tylko na Randoma, na komnatę, przez okno na daleką wieżę...

– To prawda... – usłyszałem jego szept.

– Widziałem chyba, jak ktoś biegnie w waszą stronę – zauważył Random, przeczesując palcami rozwichrzone włosy. – A twoje ostatnie słowa nie były chyba skierowane do mnie?

– Mieliśmy drobny problem – odparłem. – Właśnie dlatego zabrałem ze sobą Billa. Widzisz, ktoś próbował mnie zabić i...

Random uniósł dłoń.

– Na razie oszczędź mi szczegółów. Później zechcę je poznać, ale... niech to będzie później. W tej chwili mamy więcej nieprzyjemności niż zwykle, a twoje mogą być częścią większej całości. Ale najpierw muszę trochę odetchnąć.

Dopiero wtedy dostrzegłem kilka głębokich zmarszczek na jego młodej z wyglądu twarzy i pojąłem, że żyje w napięciu.

– Co się stało?

– Caine nie żyje. Został zamordowany – odparł. – Dziś rano.

– Jak do tego doszło?

– Wyjechał do Cienia. Do Deigi. To taki daleki port, z którym utrzymujemy stosunki. Razem z Gerardem mieli renegocjować dawną umowę handlową. Został zastrzelony. Trafiony prosto w serce. Zginął na miejscu.

– Schwytali łucznika?

– Łucznika, akurat! To był snajper na dachu. I uciekł.

– Myślałem, że proch strzelniczy tutaj nie działa.

Rozłożył ręce.

– Może Deiga leży w Cieniu dostatecznie daleko, żeby zadziałał. Nikt nie pamięta, czy ktoś to

sprawdzał. Nawiasem mówiąc, twój ojciec znalazł kiedyś związek skuteczny również tutaj.

– Fakt. Prawie zapomniałem.

– W każdym razie jutro odbędzie się pogrzeb...

– Bill! Merlin!

W drzwiach stała moja cioteczka Flora. Kiedyś odrzuciła propozycje Rosettiego – między innymi by została jego modelką. Wysoka, szczupła, olśniewająca, podbiegła i pocałowała Billa w policzek. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się zarumienił. Powtórzyła tę akcję ze mną, ale nie byłem aż tak wzruszony. Pamiętałem, że kiedyś była strażniczką mojego ojca.

– Dawno przyjechaliście? – Głos też miała śliczny.

– Przed chwilą – poinformowałem.

Natychmiast chwyciła nas pod ręce, próbując wyprowadzić.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła.

– Floro! – zawołał Rundo.

– Tak, braciszku?

– Możesz oprowadzić pana Rotha po pałacu, ale Merlin będzie mi jeszcze potrzebny.

Nadała się lekko i puściła moje ramię.

– Teraz widzisz, na czym polega monarchia absolutna – wyjaśniła Billowi. – I widzisz, jak władza deprawuje.

– Byłem zdeprawowany, zanim zdobyłem władzę – wtrącił Rundo. – Zresztą bogactwo jest lepsze. Pozwalam ci odejść, siostrze.

Parsknęła urażona i wyszła z Billem.

– W pałacu jest spokojniej, gdy znajdzie sobie chłopaka gdzieś w Cieniu – zauważył Rundo. – Niestety, już prawie rok siedzi w domu.

Cmoknąłem współczująco.

Wskazał mi fotel, potem podszedł do szafki.

– Wina? – zapytał.

– Chętnie.

Nalał dwa kielichy, podał mi jeden i usiadł przy niewielkim stoliku.

– Do Bleysa też ktoś strzelał – powiedział. – Dziś po południu, w innym cieniu. Trafił, ale niegroźnie.

Snajper uciekł. Bleys wyruszył ze zwykłą misją dyplomatyczną do zaprzyjaźnionego królestwa.

– Myślisz, że to ten sam człowiek?

– Oczywiście. W tej okolicy nikt jeszcze nie biegał z karabinem. I nagle dwóch naraz? To musi być ten sam człowiek. Albo ten sam spisek.

– Jakież ślady?

Pokręcił głową i spróbował wina.

– Chciałem porozmawiać z tobą w cztery oczy – wyjaśnił – zanim złapią cię pozostali. O dwóch sprawach powinieneś się dowiedzieć.

Wypiłem łyk wina i czekałem.

– Pierwsza to fakt, że to wszystko naprawdę mnie przeraża. Po zamachu na Bleysa trudno dłużej przypuszczać, że ktoś żywił osobistą urazę do Caine'a. Celuje chyba w nas wszystkich, a przynajmniej w niektórych. A teraz mówisz, że ciebie też próbowano zabić.

– Nie wiem, czy istnieje jakiś związek...

– Ja też nie. Ale nie podoba mi się schemat, jaki tu dostrzegam. Najbardziej się obawiam, że za tymi zamachami stoi jedno lub więcej z nas.

– Dlaczego?

Zajrzał ponuro w głąb kielicha.

– Przez całe wieki wendeta była naszą metodą regulowania osobistych sporów. Niekoniecznie prowadziła do śmierci, choć zawsze istniała taka możliwość. Typowe jednak były intrygi, mające na celu kompromitację, poniżenie, okaleczenie lub wygnanie przeciwnika i wzmocnienie własnej pozycji. Ta działalność osiągnęła swój ostatni szczyt w walkach o sukcesję. Kiedy obejmowałem to stanowisko, o które wcale się zresztą nie starałem, myślałem, że sprawy są już załatwione. Nie musiałem z nikim kruszyć toporów i próbowałem być sprawiedliwy. Wiem, jacy wszyscy są przewrażliwieni. Mimo to nie przypuszczam, żebym to ja był powodem ani że chodzi o sukcesję. Inni mi nie przeszkadzali i odniosłem wrażenie, że uznali mnie za mniejsze zło i że naprawdę współpracują, żeby wszystko jakoś się toczyło. Nie, nie wierzę, by ktoś z nich był taki nierozważny i zapragnął mojej korony. Kiedy sprawa sukcesji została rozwiązana, zapanowała prawdziwa przyjaźń i dobra wola. Zastanawiam się jednak, czy znowu nie powtarza się stary schemat. Że dla załatwienia osobistych porachunków ktoś mógł na nowo podjąć dawną grę. Nie chciałbym tego... znowu podejrzewania, ostrożność, nieufność, gra na dwie strony. To nas osłabia, a zawsze istnieje jakieś zagrożenie, wobec którego powinniśmy być silni. Rozmawiałem z każdym z osobna i oczywiście wszyscy wypierają się wiedzy w jakichkolwiek spiskach, intrygach czy wendetach. Widzę jednak, że stają się podejrzliwi. To przyzwyczajenie. Każde z nich bez trudu wygrzebało zadawnione urazy, jakie inni mogli żywić wobec Caine'a, chociaż ten, likwidując Branda, ocalił nasze tyłki. To samo z Bleysem: każdy znalazł jakiś motyw dla każdego z pozostałych.

– Czyli chcesz złapać zabójcę szybko, z powodu jego oddziaływania na morale?

– Dokładnie. Nie potrzebuję tego dogryzania i wyszukiwania pretensji. Wszystko jest jeszcze dostatecznie świeże, byśmy wkrótce znów mieli prawdziwe spiski, intrygi i wendety. Może już je mamy i jakieś drobne nieporozumienie doprowadzi do rozlewu krwi.

– A czy ty sam uważasz, że to ktoś z pozostałych?

– Do diabła! Jestem taki jak oni. Odruchowo staję się podejrzliwy. To całkiem możliwe, ale jak dotąd, nie znalazłem żadnego dowodu.

– A kto jeszcze wchodzi w grę?

Rozprostował nogi, skrzyżował je znowu i łyknął wina.

– Niech to piekło pochłonie! Naszych wrogów jest legion. Ale większości zabrakłoby odwagi. Wiedzą, jakiej zemsty mogą oczekiwać, kiedy ich odnajdziemy.

Splótł dłonie za głową i zaczął się wpatrywać w rzędy książek.

– Nie wiem, jak to powiedzieć – zaciął po chwili. – Ale muszę.

Czekałem.

– Mówi się, że to może Corwin – rzucił szybko. – Ja w to nie wierzę.

– Nie – powiedziałem cicho.

– Mówiłem przecież, że nie wierzę. Twój ojciec wiele dla mnie znaczy.

– Jak ktokolwiek mógłby w to uwierzyć?

– Chodziły słuchy, że oszalał. Sam słyszałeś. A jeśli cofnął się do przeszłego stanu umysłu, z czasów, kiedy jego stosunki z Caine'em i Bleysem nie były całkiem serdeczne... zresztą, z nami wszystkimi, skoro już o tym mowa? Tak właśnie mówią.

– Nie wierzę.

– Chciałem cię tylko uprzedzić, że słyszy się takie plotki.

– Lepiej, żebym ja ich nie słyszał.

– Przynajmniej ty nie zaczynaj. – Westchnął. – Proszę. Są podenerwowani. Nie szukaj kłopotów.

Napiłem się wina.

– Tak, masz rację.

– A teraz wysłucham twojej historii. Nie krępuj się, skomplikuj mi życie jeszcze trochę bardziej.

– Dobrze. Przynajmniej niczego nie zdążyłem zapomnieć.

Opowiedziałem wszystko raz jeszcze. Długo to trwało i zanim skończyłem, za oknem zaczęło się ściemniać. Przerywał mi rzadko, by wyjaśnić jakiś szczegół. W przeciwieństwie do Billa, nie analizował poszczególnych przypadków.

Kiedy zakończyłem, wstał i zapalił kilka olejowych lamp. Niemal słyszałem jego myśli.

– No nie – stwierdził w końcu. – Zabiłeś mi klina z tym Lukiem. Nic wiem, co o nim sądzić. A ta dama z żądłem trochę mnie niepokoi. Mam wrażenie, że słyszałem o podobnych do niej, ale nie pamiętam, przy jakiej okazji. Przypomnę sobie. Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o tym twoim projekcie Ghostwheel. Coś mi się w nim nie podoba.

– Oczywiście. Ale przypominałem sobie, że jeszcze o czymś muszę ci powiedzieć.

– Co to takiego?

– Streściłem wszystko prawie tak jak wtedy, kiedy opowiadałem to Billowi. Całkiem niedawno, więc teraz miałem uczucie, że powtarzam to samo. Ale jest coś, o czym Billowi nie wspominałem, ponieważ wtedy nie wydało mi się to ważne. Może bym nawet zapomniał, gdyby nie wyszła ta sprawa ze snajperem. A potem przypominałeś mi, że Corwin znalazł kiedyś substytut prochu strzelniczego, który działa w Amberze.

– Wierz mi, wszyscy o tym pamiętamy.

– Zapomniałem o dwóch sztukach amunicji, które mam w kieszeni. Pochodzą z ruin tego magazynu, gdzie Melman miał pracownię.

– I co?

– Nie ma w nich prochu. Zawierają jakiś różowy proszek. Nawet się nie pali... to znaczy na cieniu-Ziemi.

Wyjąłem jeden nabój.

– Wygląda na 30-30 – zauważył.

– Chyba tak.

Random wstał i pociągnął za pleciony sznur, wiszący przy półkach z książkami.

Zanim wrócił na miejsce, ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – zawołał.

W drzwiach stanął młody blondyn w liberii.

– To było szybkie – pochwalił Random.

Chłopak był wyraźnie zdziwiony.

– Nie rozumiem, wasza wysokość...

– Co tu jest do rozumienia? Zadzwoń. Ty przyszedłeś.

– Sire, nie pełniłem służby na pokojach waszej wysokości. Przysłano mnie, bym powiadomił, że kolacja jest gotowa, kiedy tylko wasza wysokość zechce przybyć.

– Aha. Powiedz im, że zaraz będę. Muszę tylko porozmawiać z osobą, którą wzywałem.

– Tak jest, panie.

Sługa skłonił się i wycofał.

– Tak myślałem – westchnął Bandom. – To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Po chwili zjawił się inny sługa, starszy i nie tak elegancko odziany.

– Rolf, mógłbyś zajrzeć do zbrojowni i pogadać z tym, kto tam jest teraz na służbie? – rzucił Random. – Niech przeszuka kolekcję karabinów, które tam mamy, odkąd Corwin przyniósł je na

Kolvir w dniu, gdy zginął Eryk. Zobacz, czy znajdziesz 30-30 w dobrym stanie. Niech go wyczyści i przyśle na górę. Teraz idziemy na kolację. Broń możesz zostawić tam w kącie.

– 30-30, Sire?

– Zgadza się.

Rolf wyszedł. Bandom wstał i przeciągnął się. Schował nabój do kieszeni i wskazał mi drzwi.

– Chodźmy jeść.

– Świetny pomysł.

Przy stole siedziało nas ośmioro: Bandom, Gerard, Flora, Bill, wezwany trochę wcześniej Martin, przybyły właśnie z Arden Julian, Fiona, która zjawiała się także z jakiegoś dalekiego miejsca, i ja. Benedykt miał przyjechać rano, a Llewella jeszcze dziś wieczorem.

Siedziałem po lewej ręce Randoma, Martin po jego prawicy. Nie widziałem go już kawał czasu i byłem ciekaw, co u niego słyhać. Jednak atmosfera przy stole nie sprzyjała rozmowom. Gdy tylko ktoś się odezwał, wszyscy pozostali natychmiast patrzyli na niego z uwagą przekraczającą wymogi grzeczności. Uznałem to za denerwujące, a Random chyba również, ponieważ wezwał Droppe MaPantza, nadwornego błazna, by wypełnił chwile posępnego milczenia.

Z początku Droppa przeżywał trudne momenty.

Zaczął od żonglerki jedzeniem, które zjadał w locie, aż zniknęło bez reszty. Otarł usta pożyczoną serwetką, po czym obraził każde z nas po kolei. Potem opowiadał dowcipy, moim zdaniem bardzo zabawne.

Bill, który siedział po mojej lewej ręce, odezwał się cicho:

– Wystarczająco dobrze znam thari, żeby rozumieć większość tego, co mówi. To przecież repertuar George’a Carlina! W jaki sposób...?

– Kiedy dowcipy Droppy zaczynają nudzić, Random wysyła go do różnych lokali w Cieniu – wyjaśniłem. – Żeby zebrał świeży materiał. Jak rozumiem, jest regularnym bywalcem w Vegas. Random sam mu czasem towarzyszy, żeby pograć w karty.

Po chwili Droppa zaczął wywoływać uśmiechy, co rozluźniło nastrój. Kiedy wyszedł na drinka, trwały już rozmowy i można się było odezwać, nie stając się przy tym ośrodkiem uwagi. Gdy tylko to nastąpiło, potężne ramię sięgnęło za plecami Billa i klepnęło mnie. To Gerard odchylił się na krześle do tyłu i w bok, w moją stronę.

– Merlinie – powiedział. – Przyjemnie znów cię zobaczyć. Jeśli nadarzy się okazja, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

– Chętnie – zapewniłem. – Ale zaraz po kolacji Random i ja musimy zająć się pewną sprawą.

– Jeśli nadarzy się okazja – powtórzył.

Kiwnąłem głową.

Po chwili odniosłem wrażenie, że ktoś próbuje się ze mną połączyć przez Atut.

Merlinie!

To była Fiona. Ale przecież siedziała za stołem naprzeciwko...

Wizerunek wyostrzył się, więc odpowiedziałem:

– Tak?

Zauważyłem, że wpatruje się w swoją chusteczkę. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Równocześnie jej obraz trwał w moich myślach. To stamtąd dobiegły słowa:

Nie chcę podnosić głosu... z wielu powodów. Jestem pewna, że po kolacji będziesz bardzo zajęty. Chcę tylko, byś wiedział, że w najbliższym czasie moglibyśmy wybrać się na spacer, popływać łódką, przeatutować się do Cabry albo obejrzeć razem Wzorzec. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparłem. – Skontaktuję się.

Doskonale.

Kontakt został zerwany, a kiedy spojrzałem w jej stronę, wpatrując się w talerz składała właśnie chusteczkę.

Random nie zwlekał; wstał szybko zaraz po deserze, życzył wszystkim dobrej nocy i wyszedł z jadalni, skinąwszy na mnie i Martina.

Julian minął mnie wychodząc. Próbował wyglądać nie tak złowieszczo jak zwykle i prawie mu się udało.

– Musimy pojeździć razem po Ardenie – powiedział. – Jak najszybciej.

– Dobry pomysł – odparłem. – Umówimy się jakoś.

Wyszliśmy z jadalni. Flora dogoniła mnie w korytarzu. Nadal holowała za sobą Billa.

– Zajrzyj do mojego pokoju na wieczornego drinka – zaproponowała. – Zanim pójdziesz spać. Albo wpadnij jutro na herbatę.

– Dziękuję. Na pewno się spotkamy. Kiedy dokładnie, zależy od tego, jak ułożą się sprawy. Skinęła głową i trafiła mnie uśmiechem, który w przeszłości był przyczyną licznych pojedynków i bałkańskich kryzysów. Po czym odeszła, a my także.

– To już wszyscy? – zapytał Random, kiedy wchodziliśmy po schodach do biblioteki.

– Co masz na myśli? – nie zrozumiałem.

– Czy wszyscy już zdążyli się z tobą umówić?

– Na razie bez szczegółów, ale tak.

Roześmiał się.

– Tak myślałem: że nie będą marnować czasu. W ten sposób zapoznasz się z ich podejrzeniami. Możesz tego wysłuchać. Niewykluczone, że kiedyś ci się to przyda. Prawdopodobnie szukają też sprzymierzeńców, a z tobą mogą rozmawiać bez ryzyka.

– Ale naprawdę chciałbym się z nimi spotkać. Fatalnie, że musi się to odbywać w taki sposób.

Stanęliśmy na szczycie schodów. Random skinął ręką i skręciliśmy w korytarz prowadzący do biblioteki.

– Gdzie idziemy? – zapytał Martin.

Był podobny do Randoma, choć nie taki chudy i wyższy. Mimo to nie był potężnym facetem.

– Po karabin – wyjaśnił Random.

– Aha. Po co nam?

– Chcę sprawdzić amunicję, którą przyniósł Merlin. Jeśli wypali, to nasze żywoty zyskają dodatkowy poziom komplikacji.

Weszliśmy do biblioteki. Nadal płonęły lampy, a w kącie stał karabin. Random podniósł go, wyjął z kieszeni nabój i załadował.

– W porządku. – Zastanowił się. – Na czym można by spróbować?

Wyszedł na korytarz i rozejrzał się.

– O, to się nada.

Uniósł broń, wymierzył w zbroję pod ścianą i nacisnął spust. Rozległ się suchy trzask i brzęk metalu. Zbroja zadygotała.

– Niech to szlag! – mruknął Random. – Działa! Dlaczego właśnie ja, Jednorożcu? Miałem nadzieję na spokojne panowanie.

– Czy mogę spróbować, ojcze? – zapytał Martin. – Zawsze chciałem.

– Czemu nie? Masz jeszcze ten drugi nabój, Merlinie?

– Tak. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem dwa.

Podaliśmy je Randomowi. – Jeden i tak nie powinien wystrzelić – wyjaśniłem. – Przypadkiem

schowałem go razem z tamtymi.

– W porządku.

Random wziął oba naboje i załadował jeden. Podał Martinowi karabin i zaczął tłumaczyć zasadę działania.

W dali słyszałem odgłosy alarmu.

– Zaraz zleci się do nas cała gwardia pałacowa – zauważyłem.

– To dobrze – stwierdził Random, gdy Martin przycisnął kolbę do ramienia. – Realistyczny alarm ćwiczebny jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Huknął strzał i zbroja zadzwoniła po raz drugi.

Wyraźnie zaskoczony Martin szybko oddał broń Randomowi. Ten spojrzął na trzymany w dłoni trzeci nabój, mruknął „A niech tam”, wsunął go do komory i nie celując pociągnął za spust.

Huknęło po raz trzeci, potem trzasnął rykoszet – dokładnie w chwili, gdy gwardziści stanęli na szczycie schodów.

– Chyba po prostu nie żyłem cnotliwie – westchnął Random.

Kiedy Random podziękował gwardzistom za właściwą reakcję na ćwiczebny alarm, a ja usłyszałem pomrukiwania, że król chyba sobie wypił, wróciliśmy do biblioteki i padło pytanie.

– Trzeci znalazłem w kieszeni wojskowych spodni Luke’a – odpowiedziałem, po czym wyjaśniłem okoliczności tego zdarzenia.

– Nie mogę sobie dłużej pozwolić na niewiedzę o Luke’u Raynardzie – oświadczył Random. – Jak możesz wytłumaczyć to, co się stało?

– Budynek spłonął – zacząłem. – Na górze mieszkał Melman, który chciał złożyć mnie w ofierze. Na dole mieściła się firma Brutus Storage Company. Najwyraźniej przechowywali taką amunicję. Luke potwierdził, że znał Melmana. Nie miałem pojęcia, że może mieć także powiązania z Brutusem i amunicją. Ale to chyba nie przypadek, że zajmowali ten sam budynek.

– Jeśli wypuszczają ją w takich ilościach, że potrzebują magazynów, to jesteśmy w poważnych kłopotach – westchnął Random. – Chcę wiedzieć, kto był właścicielem budynku... i właścicielem firmy, jeśli to nie ta sama osoba.

– Ustalenie tego nie powinno być trudne.

– Kogo powinienem tam wysłać? – zamyślił się. Potem z uśmiechem pstryknął palcami. – Już niedługo Flora podejmie ważną misję dla Korony.

– Pomysłowe – mruknąłem.

Martin uśmiechnął się także, po czym potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem – oznajmił. – A chciałbym.

– Wiesz co? – Random zwrócił się do mnie. – Opowiedz mu wszystko, a ja powiadomię Florę o jej zadaniu. Może wyruszyć zaraz po pogrzebie.

– Dobrze.

Wszedł, a ja jeszcze raz powtórzyłem całą historię, trochę ją tylko skracając.

Mamin nie miał nowych pomysłów ani nowych informacji. Zresztą, nie oczekiwałem tego. Jak mi powiedział, ostatnie kilka lat spędził w bardziej sielankowym otoczeniu. Odniosłem wrażenie, że od miast woli raczej wiejskie tereny.

– Merlinie – oświadczył. – Powinieneś chyba szybciej przynieść do domu wieści o całej tej aferze. Dotyczy nas wszystkich. Ciekawe, co z Dworcami Chaosu? Czy ten karabin tam także by wystrzelił? Chociaż to Caine i Bleys byli celami zamachowca. Nikt nie wzywał mnie do Dworców, by powiadomić o jakichś wypadkach. Jednak... może tamtych krewniaków też należałoby wprowadzić w całą sprawę?

– Jeszcze parę dni temu wszystko wydawało się o wiele prostsze – wyjaśniłem Martinowi. – A kiedy sytuacja zaczęła rozwijać się szybciej, zbyt mnie pochłonęła.

– Ale te wszystkie lata... i zamachy na twoje życie...

– Nie biegnę do domu za każdym razem, kiedy ktoś nadeptnie mi na odcisk. Nikt tego nie robi. Nie widziałem wtedy żadnego związku.

Wiedziałem jednak, że to on ma rację, a ja się mylę.

Na szczęście akurat wtedy wrócił Random.

– Nie bardzo mogłem ją przekonać, że to zaszczyt – poskarżył się. – Ale załatwi to.

Porozmawialiśmy jeszcze o sprawach bardziej ogólnej natury, głównie o tym, co porabialiśmy przez ostatnie lata. Przypomniałem sobie, że Random ciekaw był Ghostwheela, więc wspomniałem o tym projekcie. Natychmiast zmienił temat, sprawiając wrażenie, że wolałby omówić to ze mną w cztery oczy. Po pewnym czasie Martin zaczął ziewać, co okazało się zaraźliwe. Random życzył nam dobrej nocy i zadzwonił po sługę, by pokazał mi mój pokój.

Poprosiłem Dika, który odprowadził mnie na kwaterę, by poszukał materiałów do rysowania. Po dziesięciu minutach dostarczył wszystkiego, czego potrzebowałem. Droga powrotna byłaby długa i męcząca, a ja odczuwałem znużenie. Dlatego usiadłem przy stole i zacząłem konstruować Atut tego baru w klubie, gdzie wczoraj wieczorem zabrał mnie Bill. Po dwudziestu minutach uznałem, że odwzorowałem wszystko jak należy.

Teraz była to już tylko kwestia różnicy upływu czasu, podlegającej pewnym wahaniom. Stosunek 2,5:1 pomiędzy Amberem a cieniem, gdzie ostatnio mieszkałem, był tylko czymś w rodzaju reguły kciuka. Całkiem możliwe, że już się spóźniłem na spotkanie z bezimiennym włamywaczem.

Odłożyłem na bok wszystko oprócz Atutu. Wstałem.

Ktoś zapukał do drzwi. Kusiło mnie, żeby nie odpowiadać, ale ciekawość zwyciężyła. Przeszedłem przez pokój, odsunąłem rygiel i otworzyłem. Za progiem stała Fiona, z włosami dla odmiany rozpuszczonymi. Miała na sobie elegancką, zieloną wieczorową suknię i niewielką broszkę z klejnotami, doskonale pasującymi do włosów.

– Cześć, Fi – powiedziałem. – Co cię sprowadza?

– Wyczułam, że pracujesz z pewnymi siłami – odparła. – Nie chciałam, żeby coś się z tobą stało, zanim zdążymy porozmawiać. Mogę wejść?

– Oczywiście. – Odsunąłem się. – Ale spieszy mi się.

– Wiem. Może jednak będę mogła ci pomóc.

– Jak? – spytałem zamykając drzwi.

Rozejrzała się i zauważyła skończony przed chwilą Atut. Zasuwała rygiel i podeszła do stołu.

– Bardzo udany – pochwaliła, studiując moją pracę. – Więc tam się wybierasz? Gdzie to jest?

– To bar w takim niedużym klubie w okolicy, skąd tu przybyłem. O dziesiątej czasu miejscowego mam tam spotkanie z obcą mi osobą. Liczę, że otrzymam informacje o tym, kto i dlaczego próbował mnie zabić, może dowiem się też czegoś o innych sprawach, które mnie niepokoją.

– Idź – powiedziała. – I zostaw tu Atut. W ten sposób będę mogła patrzeć, co się dzieje, a gdybyś nagle potrzebował pomocy, potrafię ci jej udzielić.

Uścisnąłem jej rękę. Potem zająłem pozycję obok stołu i skoncentrowałem się.

Po chwili obraz nabrał głębi i barw. Zatonąłem w pojawiających się strukturach, a wszystko zbliżyło się i rozrosło, wypierając bezpośrednie otoczenie. Poszukałem wzrokiem zegara, który jak zapamiętałem, wisiał po prawej stronie baru... 9.48. Zdążyłem niemal w ostatniej chwili.

Widziałem już klientów, słyszałem ich głosy. Rozejrzałem się za najwygodniejszym do materializacji punktem. W prawym końcu baru, koło zegara, nie było nikogo. Dobrze...

Byłem tam. Staralem się sprawiać wrażenie, że siedzę tu przez cały czas. Trzech gości spojrzęło w moją stronę. Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową. Poprzedniego wieczoru Bill przedstawił mnie jednemu z mężczyzn, drugiego widziałem, choć nie rozmawialiśmy. Obaj skinęli mi w odpowiedzi, co przekonało trzeciego, że jestem prawdziwy. Natychmiast zajęł się znowu siedzącą przy nim kobietą.

Po chwili podszedł barman. On też mnie pamiętał, bo zapytał, czy przyjechałem z Billem.

Wziąłem piwo i z kuflem w ręku odszedłem do najbardziej odosobnionego stolika. Tam siedziałem plecami do ściany, od czasu do czasu spoglądając na zegar i obserwując oba wejścia do sali. Gdy się skupiłem, wyczuwałem obecność Fiony.

Dziesiąta przyszła i poszła, podobnie jak kilku gości. Nikt się mną szczególnie nie interesował, za to moją uwagę zwróciła pewna samotna młoda dama o jasnych włosach i profilu jak kamea. Na tym kończyło się podobieństwo, ponieważ kamee na ogół się nie uśmiechają, a ona to właśnie zrobiła tuż przed odwróceniem głowy, gdy spojrzała na mnie po raz drugi. Do licha, dlaczego muszę być wpłątany w sprawę życia i śmierci?

W niemal każdej innej sytuacji wypiłbym piwo, poszedł po następne, wymienił kilka uprzejmych zdań, potem zapytał, czy nie zechciałaby się do mnie przysiąść.

Właściwie...

Spojrzałem na zegar.

10:20.

Ile czasu powinienem jeszcze dać tajemniczemu głosowi? Czy po prostu założyć, że to George Hansen i że zrezygnował ze spotkania widząc, jak się rozpliwam?

Jak długo jeszcze ona tu zostanie?

Dyskretnie zgrzytnąłem zębami. Nie rozpraszać się.

Studiowałem jej wąską talię, łuki bioder, ramiona...

10.25.

Zauważyłem, że mam pusty kufel. Zabrałem go, by napełnić ponownie. W skupieniu obserwowałem, jak przybywa piany.

– Zauważyłam, że siedzi pan sam – usłyszałem jej głos. – Czeka pan na kogoś?

Pachniała mocno jakimiś dziwnymi perfumami.

– Tak – odpowiedziałem. – Ale wydaje mi się, że jest już za późno.

– Mam podobny problem – wyznała, a ja zwróciłem się w jej stronę. Znowu się uśmiechała. – Moglibyśmy czekać razem – zakończyła.

– Może się pani przysiądzie – zaproponowałem. – Wolę spędzić ten czas w pani towarzystwie.

Wzięła swojego drinka i poszła za mną do stolika.

– Mam na imię Merle, Merle Corey – przedstawiłem się, gdy tylko usiedliśmy.

– Meg Devlin. Nie widziałam cię tutaj.

– Jestem przejazdem. Rozumiem, że ty nie?

Pokręciła głową.

– Niestety, mieszkam w nowym osiedlu parę kilometrów stąd.

Skinałem, jakbym wiedział, gdzie to jest.

– Skąd pochodzisz? – zainteresowała się.

– Z centrum wszechświata – odparłem, po czym szybko dodałem: – Z San Francisco.

– Mieszkałam tam kilka lat. Czym się zajmujesz?

Oparłem się niespodziewanemu impulsowi, by powiedzieć, że jestem czarodziejem. Zamiast tego opisałem moją ostatnią pracę w Grand Design. Ona, jak się dowiedziałem, była modelką i

zaopatrzeniowcem wielkiego magazynu, potem prowadziła butik.

Rzuciłem okiem na zegar. Była 10.45. Pochwyciła moje spojrzenie.

– Chyba oboje nas wystawiono do wiatru – zauważyła.

– Prawdopodobnie – przyznałem. – Ale poczekajmy do jedenastej... żeby nikt nie miał pretensji.

– Zgoda.

– Jadłaś już?

– Wcześniej.

– Jesteś głodna?

– Trochę. Właściwie tak. A ty?

– Też. Zauważyłem, że ludzie coś tu zamawiali. Sprawdzę.

Okazało się, że możemy dostać kanapki. Poprosiłem o dwie, do tego jakąś sałatkę.

– Mam nadzieję, że twoja randka nie przewidywała późnej kolacji – powiedziałem nagle.

– Nie było o tym mowy. Zresztą to nieważne – odparła i ugryzła kawałek.

Minęła jedenasta. Skończyłem piwo, zjadłem kanapkę i szczerze mówiąc, nie miałem już ochoty na więcej.

– Przynajmniej wieczór nie okazał się kompletną klęską – oświadczyła, zmięła i odłożyła serwetkę.

Obserwowałem jej rzęsy, ponieważ było to przyjemne zajęcie. Nie miała makijażu, a jeśli nawet, to bardzo delikatny. Zamierzałem właśnie wyciągnąć rękę i przykryć jej dłoń swoją, ale mnie uprzedziła.

– Co planowałaś na dzisiejszy wieczór? – spytałem.

– Nic takiego. Trochę tańca, parę drinków, może spacer przy księżycu... Takie głupstwa.

– W sali obok słyszę muzykę, Może przejdziemy tam?

– Moglibyśmy – odparła. – Dlaczego nie?

Kiedy wychodziliśmy, usłyszałem głos, a właściwie szept Fiony:

Merlinie. jeśli opuścisz scenę z Atutu znajdziesz się poza moim zasięgiem.

– Zaczekaj chwilę – odpowiedziałem.

– Słucham? – nie zrozumiała Meg.

– Ee... muszę iść do toalety – wyjaśniłem.

– Dobry pomysł. Ja też. Spotkamy się tutaj, w hallu. Za parę minut.

Pomieszczenie było puste, ale wszedłem do kabiny na wypadek, gdyby ktoś tu zajrzał. Wyszukałem w talii Atut Fiony i po chwili nastąpił kontakt.

– Posłuchaj, Fi – powiedziałem. – Najwyraźniej nikt już się nie zjawi. Ale pozostała część wieczoru może jeszcze miło się ułożyć. Dlaczego przy okazji wizyty tutaj nie mogę się trochę zabawić? Dziękuję ci za pomoc. Wrócę później.

– Sama nie wiem. – Zawahała się. – Nie podoba mi się, że w takiej sytuacji idziesz z kimś obcym. Gdzieś tam ciągle może ci coś grozić.

– Nie grozi – zapewniłem. – Znam sposób, żeby to sprawdzić, i on nic nie wykazuje. Poza tym jestem prawie pewien, że to był człowiek, którego tutaj poznałem, i że zrezygnował, kiedy się wyatutowałem. Nic mi nie będzie.

– To mi się nie podoba – powtórzyła.

– Jestem dużym chłopcem. Umiem o siebie zadbać.

– Mam nadzieję. Wezwij mnie natychmiast, gdyby pojawiły się jakieś problemy.

– Nie będzie żadnych problemów. Możesz spokojnie iść do łóżka.

– I wezwij mnie, kiedy zechcesz wrócić. Nie przejmuj się, że mnie obudzisz. Chcę osobiście

sprowadzić cię do domu.

– Dobrze, tak zrobię. Dobranoc.

– Bądź ostrożny.

– Zawsze jestem.

– W takim razie dobranoc.

Zerwała kontakt.

Kilka minut później byliśmy już na parkiecie. Obracaliśmy się, słuchaliśmy i dotykaliśmy. Meg miała skłonności do prowadzenia. Ale, do diabła, mogę przecież dać się poprowadzić. Od czasu do czasu próbowałem nawet być ostrożny, ale nie dostrzegłem nic groźniejszego niż głośna muzyka i nagłe wybuchy śmiechu.

O wpół do dwunastej sprawdziliśmy w barze. Siedziało tam kilka par, ale jej partner się nie zjawił, i nikt nawet nie skinął mi głową. Powróciliśmy do muzyki.

Zajrzeliśmy tam znowu krótko po północy, z podobnym wynikiem. Usiedliśmy i zamówiliśmy ostatniego drinka.

– No cóż, było warto – stwierdziła, kładąc dłoń w takim miejscu, bym mógł nakryć ją swoją. Zrobiłem to.

– Owszem – powiedziałem. – Szkoda, że nie możemy spotykać się częściej. Niestety, jutro muszę wyjechać.

– Gdzie się wybierasz?

– Z powrotem do centrum wszechświata. – Szkoda – westchnęła. – Podwieźć cię gdzieś?

Kiwnąłem głową.

– Tam gdzie ty jedziesz.

Uśmiechnęła się i ścisnęła mi dłoń.

– Dobrze. Jeśli zajrzysz do mnie, poczęstuję cię filiżanką dobrej kawy.

Skończyliśmy drinki i wyszliśmy na parking. Po drodze przystawaliśmy kilka razy, żeby się objąć. Postarałem się nawet, żeby znowu pobyć ostrożnym, ale byliśmy chyba jedynymi ludźmi na placu. Samochód Meg okazał się niewielkim, zgrabnym czerwonym porsche z otwartym dachem.

– Jesteśmy. Chcesz poprowadzić? – spytała.

– Nie. Ty prowadź, a ja będę wypatrywał jeźdźców bez głowy.

– Kogo?

– To piękna noc a ja zawsze marzyłem, by mieć szofera dokładnie takiego jak ty.

Wsiedliśmy i ruszyliśmy. Szybko, oczywiście. Jakoś wydawało się to naturalne. Droga była pusta, a mnie ogarnęło poczucie uniesienia. Wyciągnąłem rękę i przywołałem z Cienia zapalone cygaro. Zaciągnąłem się kilka razy i odrzuciłem je, gdy z rykiem przemknęliśmy przez most. Przyglądałem się gwiazdozbiorom, które przez te osiem lat stały się znajome. Odetchnąłem głęboko i wolno wypuściłem powietrze. Próbowałem przeanalizować swoje uczucia i doszedłem do wniosku, że jestem szczęśliwy. Już dawno się tak nie czułem.

Za kępą drzew przy drodze pojawiła się szachownica świateł. Minutę później minęliśmy zakręt i zobaczyłem, że to niewielkie osiedle po prawej stronie szosy. Meg zwolniła i skręciła w drogę dojazdową.

Zaparkowała na numerowanym miejscu, skąd alejką wśród krzewów przeszliśmy do wejścia budynku. Otworzyła drzwi, minęliśmy hall i wsiedliśmy do windy. Jazda trwała zbyt krótko, a kiedy dotarliśmy do jej mieszkania, naprawdę zrobiła kawę.

I bardzo dobrze. Kawa była świetna. Siedzieliśmy razem i piliśmy ją. Bardzo długo...

Jedna rzecz doprowadziła w końcu do następnej.

Trochę później znaleźliśmy się w sypialni a nasze ubrania na krześle. Gratulowałem sobie, że nie doszło do skutku spotkanie, dla którego tu wróciłem. Była gładka, miękka i ciepła, i była jej odpowiednia ilość w odpowiednich miejscach. Imadło kryte aksamitem, oblane miodem... zapach jej perfum...

O wiele później leżeliśmy w stanie tego chwilowego, spokojnego zmęczenia, na które nie będę marnował metafor. Gładziłem jej włosy, gdy przeciągnęła się, odwróciła głowę i spojrzała na mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Powiesz mi coś? – spytała.

– Pewnie.

– Jak miała na imię twoja matka?

Miałem uczucie, że coś szorstkiego przetoczyło mi się po kręgosłupie. Ale chciałem sprawdzić, do czego to wszystko prowadzi.

– Dara – powiedziałem.

– A ojciec?

– Corwin.

Uśmiechnęła się.

– Tak myślałam – stwierdziła. – Ale musiałam wiedzieć na pewno.

– Czy ja też mogę o coś zapytać? Czy może to gra dla jednej osoby?

– Oszczędzę ci kłopotu. Chcesz, wiedzieć, dlaczego mnie to interesuje.

– Trafiłaś w punkt.

– Przepraszam – szepnęła i przesunęła nogę.

– Jak sądzę, ich imiona są dla ciebie istotne.

– Jesteś Merlin – oznajmiła. – Diuk Kolviru i księżę Chaosu.

– Niech to diabli! – mruknąłem. – Wydaje się, że wszyscy w tym cieniu mnie znają. Macie jakiś klub czy co?

– Kto jeszcze cię zna? – spytała natychmiast, szeroko otwierając oczy.

– Mój kumpel Luke Raynard, nieżyjący już Dan Martinez, prawdopodobnie miejscowy farmer George Hansen... i jeszcze jeden martwy, Victor Melman. Czemu? Czy ich nazwiska jakoś ci się kojarzą?

– Tak. Ten niebezpieczny to Luke Raynard. Przywiozłam cię tu, żeby cię przed nim ostrzec, jeśli okażesz się właściwą osobą.

– Co to znaczy „właściwą”?

– Jeśli będziesz tym, kim jesteś: synem Dary.

– Więc ostrzeż mnie.

– Właśnie to zrobiłam. Nie ufaj mu.

Usiadłem i oparłem się na poduszce.

– Czego on chce? Mojej kolekcji znaczków? Czeków podróźnych? Mogłabyś wytłumaczyć dokładniej?

– Kilka razy próbował cię zabić, parę lat temu...

– Co? Jak?

– Za pierwszym razem była to ciężarówka, która niemal cię przejechała. Rok później...

– Bogowie! Naprawdę wiesz! Podaj daty. Kiedy próbował to zrobić?

– Trzydziestego kwietnia. Zawsze trzydziestego kwietnia.

– Dlaczego? Czy wiesz dlaczego?

– Nie.

– Cholera. Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Byłam w pobliżu. Patrzyłam.

– Czemu nic nie zrobiłaś?

– Nie mogłam. Nie wiedziałam, który z was jest którym.

– Panienko, zupełnie się pogubiłem. Kim ty jesteś, do diabła, i jaką rolę grasz w tym wszystkim?

– Jak Luke, nie jestem tym, kim się wydaję... – zaczęła. W sąsiednim pokoju coś ostro zabrzączało.

– Ojej! – jęknęła, wyskakując z łóżka.

Poszedłem za nią. Dotarłem do przedpokoju, gdy naciskała guzik pod niewielką kratką.

– Halo – odezwała się.

– To ja, kochanie – usłyszałem odpowiedź. – Wróciłem o dzień wcześniej. Wpuść mnie, dobrze?

Niosę cały stos pakunków.

O rany!

Zwolniła jeden przycisk, nacisnęła drugi. Obejrzała się na mnie.

– To mąż – szepnęła bez tchu. – Musisz natychmiast wyjść. Proszę! Zejdź po schodach!

– Ale niczego mi jeszcze nie wytłumaczyłaś!

– Powiedziałam już dosyć! Błagam, nie sprawiaj kłopotów!

– Już – mruknąłem. Biegiem wróciłem do sypialni, wciągnąłem spodnie i wsunąłem buty.

Skarpetki i bieliznę wepchnąłem do tylnej kieszeni i narzuciłem koszulę.

– To nie wszystko – powiedziałem. – Wiesz więcej i chcę to usłyszeć.

– Tylko tego chcesz?

Prędko pocałowałem ją w policzek.

– Nie tylko. Wrócę.

– Nie – sprzeciwiła się. – Będę już inna. Spotkamy się znowu, gdy nadejdzie czas.

Ruszyłem do drzwi.

– To nie wystarczy – oznajmiłem, stając w progu.

– Musi.

– Zobaczymy.

Przebiegłem przez korytarz i pchnąłem drzwi z tabliczką WYJŚCIE. Na schodach zapiąłem i wcisnąłem w spodnie koszulę. Zatrzymałem się na samym dole, żeby włożyć skarpetki. Przyczesałem palcami włosy i otworzyłem drzwi do hallu.

Nikogo w polu widzenia. To dobrze.

Kiedy wyszedłem z budynku i ruszyłem ulicą, tuż przede mną zahamował czarny sedan. Usłyszałem szum odsuwanej szyby i dostrzegłem błysk czerwieni.

– Wsiadaj, Merlinie – odezwał się znajomy głos.

– Fiona!

Wsunąłem się do środka. Ruszyła od razu.

– To ona? – zapytała.

– Ona co? – Nie zrozumiałem.

– Czy była osobą, z którą miałeś się spotkać?

Aż do tej chwili nie przyszło mi to do głowy.

– Wiesz – przyznałem po chwili. – Chyba tak.

Skręciła na szosę i ruszyła w kierunku, z którego tu przybyłem.

– Jaką grę prowadzi? – dopytywała się Fiona.

– Wiele bym dał, żeby wiedzieć – odparłem.

– Opowiedz mi o tym – zaproponowała. – Nie krępuj się, możesz wyciąć niektóre partie.

– Dobrze – mruknąłem i zacząłem mówić.

Zanim skończyłem, zatrzymaliśmy się na klubowym parkingu.

– Po co tu wróciliśmy? – zdziwiłem się.

– Stąd wzięłam samochód. Może należy do któregoś z przyjaciół Bille. Pomyślałam, że uprzejmość nakazuje go zwrócić.

– Skorzystałaś z mojego Atutu, żeby przenieść się do baru?

– Owszem. Jak tylko poszliście tańczyć. Obserwowałam was prawie godzinę, głównie z tarasu. Mówiłam, żebyś był ostrożny.

– Przepraszam. Zawróciła mi w głowie.

– Zapomniałam, że nie podają tu absyntu. Musiała mi wystarczyć mrożona marguerita.

– Za to też przepraszam. Potem uruchomiłaś samochód na drut i pojechałaś za nami?

– Tak. Czekałam na parkingu przed blokiem i przez twój Atut utrzymywałam najbardziej peryferyjny kontakt. Gdybym wyczuła zagrożenie, poszłabym za tobą.

– Dzięki. Jak peryferyjny?

– Nie jestem podglądaczem, jeśli o to ci chodzi. No dobrze, teraz oboje wiemy, co się działo.

– Ta historia jest o wiele dłuższa niż ostatni rozdział.

– Zaczekaj z nią – przerwała. – Na razie. W tej chwili interesuje mnie tylko jedna sprawa: nie masz przypadkiem fotografii tego Luke'a Raynarda?

– Mogę mieć. – Sięgnąłem po portfel. – Tak, chyba mam.

Wyciągnąłem z tylnej kieszeni majtki i szukałem dalej.

– Dobrze, że nie nosisz szortów – zauważyła.

Znalazłem portfel i zapaliłem sufitową lampkę. Kiedy przeglądałem zawartość, Fiona pochyliła się i oparła mi dłoń na ramieniu. Znalazłem wyraźne kolorowe zdjęcie z plaży: Luke, ja, a obok Julia i dziewczyna imieniem Gail z którą Luke wtedy chodził.

Poczułem, jak ściska mi ramię. Nabrała tchu.

– O co chodzi? – spytałem. – Znasz go?

Zbyt szybko pokręciła głową.

– Nie, nie – zapewniła. – Nigdy w życiu go nie widziałam.

– Marny z ciebie kłamca, cioteczko. Kto to jest?

– Nie wiem.

– Daj spokój. Niewiele brakowało, a na jego widok wykręciłabyś mi rękę.

– Nie męcz mnie.

– Tu chodzi o moje życie.

– Tu chodzi o coś więcej niż twoje życie.

– A więc?

– Zostawmy to na razie.

– Obawiam się, że nie mogę się na to zgodzić. Będę nalegał.

Odwróciła się w moją stronę i uniosła dłonie. Z wypielęgnowanych palców wydobyły się smuzki dymu.

Frakir zaczęła pulsować, co oznaczało, że Fiona jest dostatecznie wściekła, by uderzyć, jeśli nie będzie miała innego wyjścia.

Wykonałem ochronny gest i uznałem, że lepiej ustąpić.

– No dobrze. Zostawmy tę sprawę i wracajmy do domu.

Zgięła palce i dym rozwiął się. Frakir znieruchomiła.

Fiona wyjęła z torebki zestaw Atutów i wybrała kartę Amberu.

– Ale prędzej czy później musisz mi powiedzieć – uprzedziłem.

– Później – odparła. Przed nami pojawiła się wizja Amberu.

To jedno zawsze podobało mi się u Fiony: nie uznawała maskowania własnych uczuć.

Zgasiałem jeszcze lampkę i wokół nas rozrósł się Amber.

Rozdział 8

Sądzę, że moje myśli podczas pogrzebów są typowe. Jak Bloom w „Ulissiesie” wspominam najzwyczajniejsze zdarzenia z życia zmarłego i obserwuję ceremonię.

W pozostałym czasie mój umysł błądzi.

Na szerokim pasie plaży u południowych zboczy Kolviru stoi niewielka kaplica poświęcona Jednorożcowi – jedna z kilku w całym królestwie, zbudowanych w miejscach, gdzie go widziano. Ta wydawała się najbardziej odpowiednia na nabożeństwo żałobne Caine’a. Tak jak Gerard, wyraził kiedyś życzenie, by złożono go na spoczynek w jaskiniach u stóp góry, twarzą ku morzu, po którym tak często i długo żeglował. Przygotowano dla niego grootę, a po nabożeństwie kondukt miał odprowadzić go na miejsce. Był wietrzny, mglisty ranek i od morza wiało chłodem. Widać było tylko kilka żagli – to statki wpływały lub wypływały z portu, leżącego ponad dwa kilometry na zachód.

Myślę, że formalnie to Random powinien odprawić nabożeństwo, ponieważ będąc królem, automatycznie stawał się najwyższym kapłanem. Odczytał jednak tylko początkowe i końcowe wersety Odejścia Książąt z Księgi Jednorożca, po czym ustąpił miejsca Gerardowi, jako że z Gerardem właśnie Caine przyjaźnił się bardziej niż z kimkolwiek innym. I tak potężny głos Gerarda huczał w małym, kamiennym budynku, recytując długie fragmenty dotyczące morza i zmienności. Podobno sam Dworkin spisał tę księgę, zanim popadł w szaleństwo, a pewne ustępy pochodziły wprost od Jednorożca. Nie wiem. Nie było mnie przy tym. Mówi się też, że pochodzimy od Dworkin i Jednorożca, co przywołuje na myśl dość niezwykle obrazy. Ale początki niemal każdej historii roztapiają się w mitach. Kto wie? Jeszcze mnie wtedy nie było.

– ...I wszystkie rzeczy powracają do morza – mówił Gerard.

Rozejrzałem się. Oprócz rodziny zjawilo się czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, głównie szlachta z miasta, kilku kupców, z którymi Caine się przyjaźnił, przedstawiciele krain z przyległych cieni, gdzie Caine bywał w państwowych i osobistych sprawach, i oczywiście Vinta Bayle.

Bill też chciał być obecny i stał teraz po mojej lewej ręce. Martin zajmował miejsce po prawej. Nie było Fiony ani Bleysa. Bleys nie przybył tłumacząc się raną, a Fiona po prostu zniknęła. Rankiem Random nie potrafił jej odszukać. Julian wyszedł w połowie ceremonii, by sprawdzić rozstawione wzdłuż brzegu warty. Ktoś zauważył, że potencjalny zamachowiec zebrałby niezłe plony, gdy tak wielu z nas zgromadzi się w jednym miejscu: W rezultacie gajowi Juliana, z krótkimi mieczami, sztyletami i łukami albo lancami, stali w strategicznie wybranych punktach w całej okolicy. A od czasu do czasu słyszeliśmy szczekanie jednego z piekielnych psów, któremu natychmiast odpowiadały inne – posępne, niepokojące odgłosy, kontrapunktujące fale, wiatr i refleksje o przemijaniu. Gdzież ona mogła się podziać, myślałem. Fiona... Lęk przed zasadzką: Czy może jej

nieobecność ma związek z wczorajszą nocą? I Benedykt... przesłał wyrazy żalu, wspominając o jakiejś niespodziewanej sprawie, która uniemożliwi mu przybycie na czas.

Llewella zwyczajnie się nie pokazała i była nieosiągalna dla Atutów. Flora stała z przodu, nieco po lewej.

Wyraźnie zdawała sobie sprawę, że w ciemnych kolorach też wygląda ślicznie. Może ją krzywdzę, ale sprawiała wrażenie raczej zalotnej niż pogrążonej w zadumie.

Po nabożeństwie wyszliśmy na zewnątrz. Czterech marynarzy niosło trumnę, a my uformowaliśmy kondukt, który miał odprowadzić Caine'a do groty i sarkofagu.

Grupa żołnierzy Juliana towarzyszyła nam jako zbrojna eskorta.

Po drodze Bill szturchnął mnie i skinął głową w górę, w stronę Kolviru. Spojrzałem tam. Jakaś postać w czarnym płaszczu z kapturem stała na półce w cieniu skalnego występu. Bill przysunął się bliżej, bym mógł go słyszeć wśród muzyki kobz i skrzypiec.

– Czy to część ceremonii? – zapytał.

– Nic o tym nie wiem – odparłem.

Wyszedłem z szeregu i przesunąłem się naprzód. Za około minutę powinniśmy przejść bezpośrednio pod obcym przybyszem.

Zrównałem się z Randomem i chwyciłem go za ramię. Obejrzał się, a ja wskazałem palcem w górę. Przystanął i spojrzał, mrużąc oczy.

Prawą dłonią sięgnął do piersi, gdzie – jak zwykle przy oficjalnych okazjach – wisiał Klejnot Wszechnocy.

Natychmiast wzmógł się wiatr.

– Stać! – krzyknął. – Zatrzymać kondukt! Niech nikt nie rusza się z miejsca!

Postać przesunęła się lekko, odwracając głowę, jak gdyby patrzyła na Randoma. Na niebie, niby w trickowym filmie, pojawiła się chmura i rosła ponad Kolvirem. Spod palców Randoma sączył się czerwony, pulsujący blask.

Nagle postać spojrzała w górę, błyskawicznie wsunęła rękę pod płaszcz i wyjęła ją zaraz, by wykonać szybki ruch, jakby coś rzucała. Mały czarny obiekt zawisł na moment w powietrzu i zaczął spadać.

– Wszyscy na ziemię! – krzyknął Gerard.

Padliśmy. Tylko Random nie drgnął nawet. Stał nieruchomo i patrzył. Z chmury strzeliła błyskawica i uderzyła w ścianę urwiska.

Grom rozległ się niemal równocześnie z eksplozją.

Byliśmy za daleko. Bomba wybuchła wysoko w powietrzu, zanim do nas doleciała... choć pewnie spadłaby nam na głowy, gdybyśmy nie zatrzymując się przeszli pod półką. Kiedy czarne płatki przestały skakać mi przed oczami, raz jeszcze spojrzałem na urwisko. Ciemna postać zniknęła.

– Dostałeś go? – zwróciłem się do Randoma.

Wzruszył ramionami i opuścił dłoń. Pulsowanie Klejnotu przygasło.

– Wstawać wszyscy! – polecił. – Kończmy ten pogrzeb.

Tak uczyniliśmy. Nic więcej się nie zdarzyło i ceremonia potoczyła się zgodnie z planem.

Moje myśli, jak pewnie myśli wszystkich obecnych, rozgrywały rodzinne szarady już wtedy, gdy trumna kryła się w sarkofagu. Czy napastnik mógł być którymś z nieobecnych krewnych? A jeśli tak, to którym? Jakie motywy mogły nim powodować? A właściwie, gdzie oni teraz są? I jakie mają alibi? Czy w grę może wchodzić koalicja? Czy może zamachowcem był ktoś z zewnątrz? Jeśli tak, to w jaki sposób dostał się do naszych rezerw materiałów wybuchowych? A może je importował? Albo ktoś z miejscowych odkrył właściwą formułę? Jeśli to ktoś obcy, to skąd pochodził i jaki miał

motyw? Czyżby ktoś z nas sprowadził tu zabójcę? Po co?

Kiedy przechodziliśmy obok grobu, pomyślałem przelotnie o Cainie, choć raczej jako elemencie łamigłówek niż konkretnym człowieku. Nie znałem go zbyt dobrze. Z drugiej strony, jak mówiono mi wcześniej, nie był osobą, z którą łatwo się zaprzyjaźnić. Twardy, cyniczny, czasem okrutny, zyskał przez lata wielu wrogów i chyba nawet był z tego dumny. W stosunku do mnie zawsze zachowywał się przyzwoicie, choć trzeba pamiętać, że nigdy nie stanęliśmy przeciwko sobie. Dlatego moje uczucia wobec niego nie były tak wyraźnie określone, jak wobec innych krewnych. Julian był ulepiony z tej samej gliny, choć bardziej wygładzony. Nikt nigdy nie miał pewności, co ukrywa w głębi duszy. Caine... szkoda, że nie poznałem cię lepiej. Jestem pewien, że twoja śmierć zubożyła mnie w sposób, jakiego się nawet nie domyślałem.

Wyszliśmy potem i ruszyliśmy do pałacu na poczęstunek. Zastanawiałem się już nie pierwszy raz, jak moje kłopoty wiążą się z tutejszymi problemami. Ponieważ czułem, że jakoś się wiążą... Nie przeszkadzają mi drobne zbiegi okoliczności, ale nie ufam tym wielkim.

A Meg Devlin? Czy wiedziała coś także o tej sprawie? Całkiem możliwe. Mąż czy nie, musimy się spotkać. Już wkrótce. Później, w wielkiej jadalni, wśród gwaru rozmów i brzęku sztućców i zastawy, przyszła mi do głowy pewna możliwość. Postanowiłem sprawdzić ją natychmiast. Przeprosiwszy, opuściłem chłodną i atrakcyjną Vintę Bayle, trzecią córkę jakiegoś drobnego szlachcica i najwyraźniej ostatnią metresę Caine'a, i ruszyłem na koniec sali, w stronę niewielkiej grupki otaczającej Randoma. Stałem tam przez kilka minut, nie wiedząc, jak wcisnął się do środka. Na szczęście zauważył mnie, od razu przeprosił pozostałych, zbliżył się i złapał mnie za rękaw.

– Merlinie – powiedział. – Nie mam teraz czasu. Chciałem tylko, byś wiedział, że nie uważam naszej rozmowy za zakończoną. Musimy spotkać się po południu albo wieczorem... jak tylko będę wolny. Więc nie znikaj nigdzie, dopóki nie pogadamy. Dobrze?

Kiwnąłem głową.

– Jedno pytanie – powiedziałem, kiedy zaczął się już odwracać.

– Strzelaj.

– Czy jacyś Amberyci zamieszkują aktualnie cień – Ziemię, z której tu przybyłem? Może agenci? Pokręcił głową.

– Nikogo tam nie mam i nie sędzę, by miał aktualnie ktoś z pozostałych. Owszem, utrzymuję liczne kontakty w różnych środowiskach, ale to wszystko miejscowi, jak Bill.

Zmrużył oczy.

– Pojawiło się coś nowego? – spytał.

Przytaknąłem.

– Poważnego?

– Możliwe.

– Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, ale musimy to zostawić do naszej rozmowy.

– Rozumiem.

– Przyślę po ciebie – rzucił jeszcze i wrócił do swego towarzystwa.

Ta rozmowa rozniosła w strzępy jedyne wytłumaczenie, jakie potrafiłem wymyślić dla Meg Devlin. Wykluczyła też możliwość, bym spotkał się z nią, gdy tylko zdołam wymknąć się z przyjęcia.

Pocieszyłem się pełnym talerzem. Po pewnym czasie w drzwiach sali stanęła Flora, przyjrzała się kolejno wszystkim grupkom, po czym mijając je dotarła do okna i usiadła na parapecie obok mnie.

– W żaden sposób nie da się porozmawiać z Randomem na osobności – stwierdziła.

– Niestety – westchnąłem. – Podać ci coś do picia albo do jedzenia?

– Nie teraz. Może mógłbyś mi pomóc. Jesteś czarodziejem.

Nie spodobał mi się ten wstęp, ale spytałem:

– W czym problem?

– Zjrzałam do Bleysa. Chciałam spytać, czy może do nas zejdzie. On zniknął.

– Drzwi nie były zamknięte? Tutaj zwykle nie zostawia się otwartych.

– Były, od wewnątrz. To znaczy, że się wyatutował. Włamałam się, kiedy nie odpowiadał. W końcu już raz ktoś próbował go zabić.

– A po co ci czarodziej?

– Potrafisz go odszukać?

– Atuty nie zostawiają śladów – odparłem. – A nawet gdybym potrafił, nie jestem pewien, czybym się zdecydował. Bleys wie, co robi, i wyraźnie dał do zrozumienia, że chce, by zostawić go w spokoju.

– A jeśli jest zamieszany w tę sprawę? W Przeszłości oni Caine stali po przeciwnych stronach barykady.

– Jeśli uczestniczy w czymś dla nas groźnym, powinnaś się cieszyć, że zniknął.

– Więc nie możesz pomóc... albo nie chcesz?

Przytaknąłem.

– Chyba jedno i drugie. To Random powinien podjąć decyzję, czy go szukać. Nie sądzisz?

– Może.

– Dopóki nie porozmawiasz z Randomem, proponuję, żebyś zachowała te wiadomości dla siebie. Nie ma sensu wywoływać bezowocnych spekulacji. Albo, jeśli wolisz, ja mu powiem. Mamy się spotkać trochę później.

– W jakiej sprawie? Oj!

– Nie jestem pewien – powiedziałem. – Chce mi coś powiedzieć czy zapytać mnie o coś...

Przyglądała mi się z uwagą.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać – zauważyła.

– Teraz rozmawiamy.

– Dobrze. Czy mógłbyś opowiedzieć o swoich problemach w jednym z moich ulubionych cieni?

– Czemu nie?

Po raz kolejny zacząłem streszczać całą historię.

Miałem jednak przeczucie, że także po raz ostatni. Byłem pewien, że kiedy powiem Florze, wkrótce dowiedzą się wszyscy.

W mojej sprawie nie dysponowała żadnymi informacjami, którymi chciałaby się podzielić. Wymieniliśmy jeszcze miejscowe ploteczki, po czym zdecydowała, że jednak coś zje. Odeszła w stronę bufetu i nie wróciła.

Rozmawiałem też z innymi – o Cainie i o ojcu. Nie powiedzieli niczego, o czym bym wcześniej nie wiedział. Przedstawiono mi kilku osobom, których dotąd nie znałem. Nie miałem nic lepszego do roboty, więc nauczyłem się na pamięć masy imion i stopni pokrewieństwa.

Kiedy wreszcie goście zaczęli się rozchodzić, pilnowałem Randoma i wyszedłem w tym samym czasie co on.

– Później – rzucił mi i odszedł z paroma ludźmi, z którymi rozmawiał.

Wróciłem więc do pokoju i wyciągnąłem się na łóżku.

Kiedy rośnie napięcie, trzeba wypoczywać, gdy tylko nadarzy się okazja.

Po pewnym czasie zasnąłem i śniłem... Spacerowałem po wypielęgnowanym pałacowym ogrodzie. Ktoś był ze mną, choć nie wiedziałem kto. Nie miało to znaczenia. Usłyszałem znajome wycie. Nagle gdzieś blisko rozległ się warkot. Kiedy rozejrzałem się po raz pierwszy, nie zauważyłem niczego. I

nagle pojawiły się: trzy wielkie, podobne do psów stwory, przypominające tego, którego zabiłem w mieszkaniu Julii. Pędziły do mnie przez ogród. Wycie trwało nadal, ale nie one je wydawały. Warczały tylko i ślinały się, biegnąc ku mnie. Nagle uświadomiłem sobie, że już wiele razy śniłem ten sen, zapominając o nim zaraz po przebudzeniu. Jednak wiedza, że to przecież nie na jawie, nie zmniejszała uczucia zagrożenia. Psy były coraz bliżej. Wszystkie trzy otaczał rodzaj poświaty, bladej i zniekształcającej kontury. Gdy spoglądałem przez te aureole, nie widziałem ogrodu, lecz obraz lasu.

Skoczyły na mnie i wydawało się, że natrafiły na niewidzialny mur. Odbiły się, wstały i zaatakowały znowu i raz jeszcze coś je zablokowało. Podskakiwały, warczały, skowyczały... i spróbowały ponownie. Czuję się tak, jakbym stał pod szklanym kloszem albo w magicznym kręgu. Nie mogły się do mnie dostać. Wtedy wycie zabrzmiało głośniej i przestały zwracać na mnie uwagę.

– O rany – powiedział Random. – Powinienem wystawić ci rachunek za wyciąganie z koszmaru.

...Leżałem rozbudzony w łóżku, a za oknem panowała ciemność. Zrozumiałem, że Random wezwał mnie przez Atut, a kiedy nastąpił kontakt, dostroił się do mojego snu.

Ziewnąłem.

Dzięki, pomyślałem w odpowiedzi.

– Obudź się do końca i możemy porozmawiać – oznajmił.

– Dobrze. Gdzie jesteś?

– Na dole. Mały salonik zaraz przy głównym hallu. Po południowej stronie. Piję kawę. Mamy ten pokój tylko dla siebie.

– Będę za pięć minut.

– Czekam.

Rozpłynął się. Usiadłem, spuściłem nogi na podłogę i wstałem. Podeszedłem do okna, otworzyłem je na oścież i wciągnąłem do płuc rześkie powietrze jesiennego wieczoru. Wiosna w cieniu-Ziemi i jesień tutaj – moje dwie ulubione pory roku. Nastrój powinien mi się poprawić, powinna napłynąć otucha... Zamiast tego – czy to z powodu mroku, czy wspomnień z końcówki snu – wydało mi się, że słyszę ostatnią nutę tamtego wycia. Zadrzałem i zamknąłem okno. Nasze sny zbyt często trwają wraz z nami.

Zszedłem do wskazanej komnaty i zająłem miejsce na sofie. Random nie przeszkadzał mi przez pół filiżanki kawy. Dopiero wtedy powiedział:

– Opowiedz mi o Ghostwheelu.

– To rodzaj... parapsychofizycznego systemu kontrolnego i biblioteki.

Random odstawił filiżankę i przechylił głowę.

– Możesz wyjaśnić to bardziej szczegółowo? – zapytał.

– Tak... po kilku latach pracy przy komputerach postawiłem hipotezę, że podstawowe zasady procesu przetwarzania danych można z ciekawymi efektami wykorzystać w miejscu, gdzie elementy konstrukcyjne komputera nie mogłyby funkcjonować – zacząłem. – Inaczej mówiąc, musiałem zlokalizować środowisko cienia, gdzie reguły operacji pozostałyby niezmiennikami, ale gdzie fizyczna konstrukcja, wszystkie peryferia i metody programowania byłyby całkiem innej natury.

– Hm, Merlinie – mruknął Random. – Nic nie rozumiem.

– Zaprojektowałem i zbudowałem urządzenie do przetwarzania danych w cieniu, gdzie zwykły komputer nie mógłby działać – wyjaśniłem. – Użyłem innych materiałów, radykalnie innego schematu, innego źródła zasilania. Wybrałem również miejsce, gdzie obowiązują inne prawa fizyczne, by moje urządzenie funkcjonowało w inny sposób. Wtedy mogłem napisać dla niego programy, których nie uruchomiłbym na cieniu-Ziemi, gdzie mieszkałem. Moim zdaniem stworzyłem w ten sposób wyjątkowe dzieło. Nazwałem je Ghostwheel, czyli Kołem Upiorów, ze względu na

pewne aspekty jego zewnętrznego wyglądu.

– I jest to system kontrolny i biblioteka. Jak to rozumieć?

– Przerzuca Cię jak stronicę książki... albo talię kart. Można go zaprogramować na wszystko, co chciałbyś sprawdzić, a on będzie tego pilnował. To miała być niespodzianka. Mógłbyś, powiedzmy, wykrywać, czy któryś z naszych potencjalnych wrogów nie mobilizuje sił, albo śledzić ruch sztormów Cienia, albo...

– Chwileczkę! – Uniósł dłoń. – Jak? W jaki sposób przegląda cienie? Jak działa?

– Najkrócej mówiąc – stwierdziłem – natychmiastowo tworzy równoważnik zbioru Atutów, a potem...

– Czekaj. Wróc. Jak można napisać program dla tworzenia Atutów? Myślałem, że może to zrobić tylko osoba, która przeszła inicjację albo Wzorca, albo Logrusu.

– Ale w tym przypadku sama maszyna należy do tej klasy obiektów magicznych, co na przykład miecz taty, Grayswandir. W schemacie wykorzystałem elementy Wzorca.

– I chciałeś nim sprawić niespodziankę?

– Jak tylko będzie gotowy.

– To znaczy kiedy?

– Nie jestem pewien. Zanim programy zaczną normalnie funkcjonować, musi zgromadzić pewną krytyczną ilość danych. Zleciłem mu to jakiś czas temu, a ostatnio nie miałem okazji, żeby sprawdzić.

Random dołał sobie kawy.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mógłby nam zaoszczędzić czasu i wysiłku – stwierdził po chwili. – Powiedzmy, że jestem ciekaw czegoś, co dzieje się w Cieniu. Mogę tam wyruszyć i zbadać sprawę albo mogę kogoś posłać. A teraz, przypuśćmy, że zamiast tego wolę użyć twojej maszyny. Też stracę czas, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie ją zmontowałeś.

– Nie – odparłem. – Przywołasz zdalny terminal.

– Przywołam? Terminal?

– Zgadza się.

Wyciągnąłem moje amberowskie Atuty i wziąłem jeden z samego dołu. Przedstawiał srebrzyste koło na ciemnym tle. Podałem go Randomowi.

– Jak się tego używa? – zapytał, z uwagą studiując kartę.

– Tak samo jak wszystkich innych. Chcesz spróbować?

– Ty to zrób – polecił. – Ja popatrzę.

– Proszę bardzo – zgodziłem się. – Ale chociaż poleciłem mu zbierać dane we wszystkich cieniach, wciąż nie będzie miał pojęcia o wielu użytecznych rzeczach.

– Nie chcę go wypytywać. Raczej zobaczyć.

Uniosłem kartę i oczyma wyobraźni spojrzałem poprzez nią. Po chwili nastąpił kontakt. Przywołałem go. Rozległ się cichy trzask, poczułem jonizację powietrza i przede mną pojawił się świetlisty krąg średnicy mniej więcej dwóch i pół metra.

– Zmniejsz wymiary terminala – poleciłem. Gdy krąg zmałał do jednej trzeciej poprzedniej wielkości, rozkazałem mu się zatrzymać. Przypominał jasną ramę obrazu. Od czasu do czasu przebiegały po nim iskry, a obserwowany przez środek pokój falował bezustannie.

Random wyciągnął rękę.

– Nie dotykaj – powiedziałem. – Możesz doznać wstrząsu. Nie usunąłem jeszcze wszystkich defektów.

– Czy on potrafi transmitować energię?

– Owszem, potrafi. To łatwe.

– Jeśli nakazesz mu transmisję energii...?

– Oczywiście. Musi przekazywać energię, by utrzymać ten terminal, i poprzez Ciebie, by uruchamiać skanery.

– Chodzi mi o to, czy może spowodować wyładowanie z tej strony?

– Gdybym mu to polecił, mógłby zgromadzić ładunek, a potem go uwolnić. Tak.

– Jakie są jego ograniczenia w tym względzie?

– Używa wszystkiego, do czego ma dostęp.

– A do czego ma dostęp?

– Wiesz, teoretycznie do całej planety. Ale...

– Przypuśćmy, że każesz mu pojawić się w pobliżu kogoś w pałacu, zgromadzić duży ładunek i uwolnić go. Czy może nastąpić śmiertelne porażenie?

– Chyba tak – przyznałem. – Nic nie przeszkadza. Ale nie to jest jego funkcją...

– Merlinie, twoja niespodzianka jest rzeczywiście niespodzianką. Ale nie jestem pewien, czy mi się podoba. – Jest całkiem bezpieczny – zapewniłem. – Nikt nie wie, gdzie się znajduje. Nikt tamtędy nie podróżuje. Atut, który ci pokazałem, jest jedynym istniejącym. Nikt nie zdoła do niego dotrzeć. Zamierzałem wykonać, jeszcze jedną kartę, tylko dla ciebie, a potem nauczyć cię go obsługiwać, jak już będzie gotowy.

– Muszę się nad tym zastanowić...

– Ghost, w obrębie pięciu tysięcy zasłon Cienia wokół tego punktu... ile sztormów Cienia aktualnie istnieje?

Słowa zabrzmiały tak, jakby zostały wypowiedziane ze środka kręgu:

– Siedemnaście.

– Brzmiało jak...

– Dałem mu własny głos – wyjaśniłem. – Ghost, pokaż nam parę widoków największego.

Obręcz wypełnił obraz chaotycznej furii.

– Jeszcze coś przyszło mi do głowy – oznajmił Random. – Czy on potrafi przerzucać rzeczy?

– Pewnie. Jak zwyczajny Atut.

– Czy początkowy rozmiar tego kręgu był wielkością maksymalną?

– Nie. Jeśli chcesz, zrobimy go o wiele większym. Albo mniejszym.

– Nie chcę. Ale przypuśćmy, że go powiększysz... a potem nakazesz przetrzucić ten sztorm, a przynajmniej taką jego część, jaką potrafi przenieść?

– Rany! Nie wiem. Próbowalby. Efekt byłby pewnie zbliżony do otwarcia na sztorm ogromnego okna.

– Merlinie, wyłącz go. Jest niebezpieczny.

– Mówiłem przecież, że oprócz mnie nikt nie wie, gdzie go umieściłem, a inaczej można do niego dotrzeć jedynie przez...

– Wiem, wiem. Powiedz, czy każdy mógłby go uruchomić, gdyby miał odpowiednią kartę, albo po prostu go znalazł?

– W zasadzie tak. Jest niedostępny, więc nie myślałem o kodach zabezpieczeń dostępu.

– Ta maszyna, mały, może się stać przerażającą bronią. Wyłącz ją. Zaraz.

– Nie mogę.

– Co to ma znaczyć?

– Ze zdalnego terminala nie da się wykasować pamięci ani odłączyć zasilania. Żeby to zrobić, musiałbym tam dojść.

– Proponuję więc, żebyś wyruszył jak najprędzej. Chcę, żeby pozostał wyłączony, dopóki nie

wbudujesz w niego całą masę zabezpieczeń. A nawet wtedy... zobaczymy. Nie ufam takiej potędze. Zwłaszcza że praktycznie nie mamy przed nią obrony. Może uderzyć bez ostrzeżenia. O czym myślałeś, kiedy budowałeś tę maszynę?

– O przetwarzaniu danych. Posłuchaj, tylko my wiemy...

– Zawsze istnieje możliwość, że ktoś go odkryje i znajdzie sposób, żeby się do niego dostać.

Wiem, wiem... kochasz swoje dzieło, a ja doceniam to, co chciałeś osiągnąć. Ale on musi zniknąć.

– Nie zrobiłem niczego, co mogłoby cię urazić. – To był mój głos, lecz dobiegał z wnętrza kręgu.

Random spojrział na niego, potem na mnie i znowu na niego.

– Nie o to chodzi – zwrócił się do kręgu. – To twój potencjał mnie martwi. – Obejrzał się na mnie.

– Merlinie, wyłącz terminal!

– Koniec transmisji – powiedziałem. – Zamknąć terminal.

Zamigotał przez chwilę i zniknął.

– Przewidywałeś taki komentarz? – zapytał Random.

– Nie. Zaskoczył mnie.

– Zaczynam odczuwać niechęć do zaskakujących wypadków. Może środowisko tego cienia wywołuje w nim jakieś subtelne przemiany... Znasz moje życzenia. Wyślij go na urlop.

Skłoniłem głowę.

– Co tylko rozkażesz, panie.

– Daj spokój. Nie rób z siebie męczennika. Po prostu załatw to.

– Nadal uważam, że wystarczy zainstalować kilka zabezpieczeń. Nie trzeba likwidować całego projektu.

– Gdyby panował spokój – powiedział – może bym się z tobą zgodził. Ale ostatnio wydarzyło się za wiele paskudnych rzeczy, łącznie ze snajperami, bombami i wszystkim, o czym mi opowiadałeś. Nie potrzebuję dodatkowych kłopotów.

Wstałem.

– W porządku. Dziękuję za kawę. Dam ci znać, kiedy rzecz będzie zrobiona.

Skinął głową.

– Dobranoc, Merlinie.

– Dobranoc.

Gdy przechodziłem przez hall, przy głównym wejściu dostrzegłem Juliana w zielonym szlafroku. Rozmawiał z dwójką swoich ludzi. Na podłodze między nimi leżało duże, martwe zwierzę. Zatrzymałem się, żeby popatrzeć. To był jeden z tych psich stworów, o których niedawno śniłem – taki sam jak u Julii.

Podszedłem bliżej.

– Cześć, Julianie. Co to jest? – spytałem, wskazując ręką.

Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Ale piekielne psy niedawno zabiły w Ardenie trzy takie. Przeatutowałem chłopców ze ścierwem, żeby pokazać Randomowi. Nie wiesz przypadkiem, gdzie go szukać?

Wskazałem kciukiem przez ramię.

– W saloniku.

Odszedł w tamtym kierunku. Zbliżyłem się i trąciłem zwierzę nogą. Może powinienem wrócić i powiedzieć, że raz już spotkałem podobną bestię?

Do diabła z tym. Nie widziałem powodu, by taka informacja miała się okazać istotna.

Wróciłem do siebie, umyłem się i przebrałem. Potem wpadłem do kuchni i załadowałem do plecaka prowiant. Nie miałem ochoty na pożegnania, więc zawróciłem i szerokimi schodami na

tyłach zszedłem do ogrodu.

Mrok. Gwiazdy. Chłód. Marsz. Przeszył mnie dreszcz, gdy dotarłem do miejsca, gdzie we śnie pojawiły się psy.

Żadnego wycia, żadnego warkotu. Nic. Minąłem to miejsce i ruszyłem dalej, na tyły wypielegnowanego ogrodu, do punktu, skąd kilka dróg prowadziło w bardziej naturalny pejzaż. Wybrałem drugą od lewej. Trasa była nieco dłuższa niż inna, także możliwa – zresztą, przecinały się później – ale łatwiejsza, a uznałem, że nocą tego mi właśnie potrzeba. Nie znałem jeszcze dokładnie wszystkich trudności drugiego szlaku. Prawie godzinę szedłem granią Kolviru, nim odnalazłem prowadzącą w dół ścieżkę, której szukałem. Zatrzymałem się wtedy, łyknąłem wody i kilka minut odpoczywałem. Potem rozpocząłem zejście. Bardzo trudno jest chodzić przez Cień na Kolvirze. Aby tego dokonać, należy oddalić się dostatecznie daleko od Amberu. Zatem w tej chwili mogłem tylko iść, co dobrze się składało, gdyż była to dobra noc na piesze wycieczki.

Zszedłem już spory kawałek, kiedy zajaśniało niebo, a księżyc wychylił się zza Kolviru i zalał światłem krętą dróżkę. Przyspieszyłem kroku. Zamierzałem przed świtem dotrzeć na sam dół.

Byłem zły na Randoma, który nie dał mi szansy, by bronić mego dzieła. Nie byłem jeszcze gotów, by mu o wszystkim powiedzieć. Gdyby nie pogrzeb Caine'a, w ogóle nie wracałbym do Amberu, póki nie udoskonaliłbym maszyny. I nie zamierzałem nawet wspominać o Ghostwheelu; grał jednak pewną, choć skromną rolę w tajemniczych wydarzeniach dziejących się wokół mnie, więc Random spytał o niego, by zyskać pełny wgląd w sprawę. No dobrze. Nie spodobało mu się to, co zobaczył, ale demonstracja była przedwczesna. Jeśli, zgodnie z rozkazem, wyłączę teraz Ghostwheela, na marne pójdzie cała praca, która trwa już od pewnego czasu. Ghostwheel wciąż realizował fazę autoedukacji i skanowania Cienia. I tak powinienem go sprawdzić, zobaczyć, jak mu idzie, i poprawić wszelkie widoczne błędy, jakie znalazły się w systemie.

Myślałem o tym, schodząc coraz bardziej stromą i krętą ścieżką po zachodnim stoku Kolviru. Random nie kazał mi przecież wykasować wszystkiego, co udało się zebrać do tej pory. Kazał po prostu wyłączyć urządzenie. Jeśli popatrzeć na to tak, jak wolałem na to patrzeć, sam miałem zdecydować, jakie podjąć środki.

Uznałem, że mogę najpierw sprawdzić i przejrzeć funkcje systemu i skorygować programy, aż będę pewien, że wszystko działa poprawnie. Potem, przed wyłączeniem, przerzucę jeszcze dane na bardziej trwały nośnik. Wtedy nic nie ulegnie zniszczeniu. Pamięć pozostanie sprawna, gdy przyjdzie czas, by znów uaktywnić funkcje.

Może...

A gdybym zrobił wszystko co trzeba, by przygotować Ghostwheela, w tym zainstalował kilka – moim zdaniem zbędnych – zabezpieczeń, żeby uspokoić Randoma?

Wtedy, myślałem sobie, połączę się z Randomem, pokażę mu wszystko i zapytam, czy teraz jest zadowolony. Jeśli nie, zawsze; mogę odłączyć zasilanie. Ale może zmieni decyzję. Warto pomyśleć...

Odgrywałem w wyobraźni możliwe wersje rozmowy z Randomem, póki księżyc nie odpłynął na lewo. Dotarłem już do połowy wysokości Kolviru i droga była coraz łatwiejsza. Wyczuwałem zmniejszoną nieco moc Wzorca. Kilka razy zatrzymywałem się, żeby łyknąć trochę wody, a raz zjadłem kanapkę. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że Random tylko się rozżołości i prawdopodobnie nawet nie zechce mnie słuchać. Z drugiej strony, sam też byłem zły. Ale czekała mnie długa droga i niewiele skrótów. Będzie mnóstwo czasu, żeby się zastanowić.

Niebo już pojaśniało, gdy minąłem ostatnie kamieniste zbocze i trafiłem na szeroki trakt u stóp Kolviru. Prowadził na północny zachód. Spojrzałem na kępę drzew po drugiej stronie drogi. To wysokie było doskonałym znakiem orientacyjnym...

Z oślepiającym błyskiem, sykiem i hukiem gromu jak wybuch bomby, błyskawica rozszczerzyła drzewo niecałe sto metrów przede mną. Zasłoniłem twarz, lecz jeszcze przez kilka sekund słyszałem trzeszczenie drewna i echo eksplozji.

A potem rozległ się głos:

– Wracaj!

Uznałem, że to ja jestem tematem tego konwersacyjnego gambitu.

– Może to przedyskutujemy? – zaproponowałem.

Nie było odpowiedzi.

Wyciągnąłem się w płytkim zagłębieniu przy trakcie, potem przeczołgałem kilka długości ciała do punktu, gdzie miałem lepszą osłonę. Nasłuchiwałem i obserwowałem w nadziei, że ten, kto wyciął taki numer, w jakiś sposób zdradzi swoją pozycję.

Nic się nie stało, choć przez pół minuty studiowałem zagajnik i fragment zbocza, z którego zszedłem. Ich bliskość nasunęła mi pewien pomysł.

Przywołałem wizerunek Logrusu i dwie jego linie stały się moimi ramionami. Wyciągnąłem je nie poprzez Ciebie, ale w górę, gdzie solidnych rozmiarów głaz spoczywał ponad całą masą innych.

Pochwyciłem go i szarpnąłem. Był za ciężki, by od razu go przechylić, więc zacząłem kołysać. Z początku wolno, po chwili osiągnąłem graniczne wychylenie i głaz runął, strącając małą lawinę. Wycofałem się, gdy kamienie podskakując runęły w dół. Grunt pękł, gdy uderzyły z dużą szybkością, i całe kamieniste pole stęknęło, trzasnęło i zaczęło się zsuwać.

Odczołgując się w tył czułem wibrację gruntu. Nie planowałem niczego tak spektakularnego. Głazy spadały, toczyły się i wpadały do zagajnika. Widziałem, jak kołyszą się drzewa; kilka nawet upadło. Słyszałem chrzęsty, zgrzyty i trzaski pękającego drewna. Kiedy, jak mi się wydawało, nastąpił koniec, odczekałem jeszcze pół minuty. W powietrzu krążyły tumany kurzu, a połowa zagajnika leżała na ziemi.

Dopiero wtedy wstałem i wszedłem między drzewa. Frakir zwisała mi z lewej ręki.

Dokładnie przeszukałem teren, ale nie znalazłem nikogo. Ostrożnie wspiąłem się na złamany pień.

– Powtarzam: może podyskutujemy? – zawołałem.

Cisza.

– W porządku. Jak chcesz – mruknąłem i skierowałem się na północ, do Ardeny.

Przemierzając pradawny las słyszałem parskanie koni. Jeśli ktoś za mną jechał, nie próbował mnie doścignąć. Prawdopodobnie przechodziłem w pobliżu jednego z patroli Juliana,

Nie miało to znaczenia. Wkrótce odnalazłem ścieżkę i rozpocząłem niewielkie zmiany, przenoszące mnie dalej i dalej od nich.

Jaśniejszy odcień kory, bardziej żółty niż brązowy, i niższe drzewa... Mniej przerw w liściastym dachu... Niezwykłe wołanie ptaka, dziwny grzyb... Z wolna zmieniał się wygląd lasu. Przeskoki też były łatwiejsze w miarę, jak oddalałem się od Amberu. Zacząłem spotykać zalane słońcem łąki. Niebo przybrało jaśniejszą barwę... Drzewa były zielone, w większości młode pędy...

Ruszyłem lekkim biegiem.

Masy chmur pojawiły się w polu widzenia, gąbczasta gleba była twardsza, bardziej sucha... Przyspieszyłem, zbiegając w dół. Wszędzie rosła trawa. Drzewa zebrane w kępy jak wyspy w rozkołysanym morzu jasnych traw. Wzrok sięgał dalej. Po prawej stronie migotliwa zasłona z paciorków: deszcz. Nadbiegł huk gromu, choć na mej drodze wciąż świeciło słońce. Głęboko zaciągnąłem się czystym, wilgotnym powietrzem i pobiegłem dalej.

Trawy zniknęły, szczeliny pocięły grunt, poczerniało niebo... Wody pędziły wokół przez kaniony i wąwozy... Całe strumienie spływały z góry na skalistą glebę...

Zacząłem się ślizgać. Za każdym razem, kiedy się podnosiłem, przeklinałem swoją nadgorliwość w dokonywaniu przemian.

Chmury rozstały się niby teatralna kurtyna, odsłaniając cytrynowe słońce, z łososiowego nieba lejące w dół ciepło i blask. Grom ucichł w pół grzmotu i zbudził się wiatr...

Wspiąłem się na wzgórze i spojrzałem na ruiny wioski, dawno już opuszczonej i zarośniętej zielskiem; dziwne wzgórki wyrastały wzdłuż głównej ulicy.

Minąłem ją pod niebem barwy dachówek, ostrożnie przeszedłem pokryty lodem staw, a twarze zamarzniętych topielców spoglądały niewidzącymi oczami we wszystkie strony...

Niebo przecinały pasma sadzy, śnieg był twardy, a mój oddech parował, gdy wkroczyłem do szkieletowego lasu, gdzie na gałęziach przysiadły przemarznięte ptaki: litografia.

Ześlizg w dół, upadek, zsuwam się w roztopy i wiosnę... Znowu ruch wokół mnie... Błotnisty grunt i kępy zieleni... Niezwykłe samochody na dalekiej szosie... Wysypisko, cuchnące, ociekające, rdzewiejące i dymiące... Szukam drogi wśród hektarów śmieci... Przebiegają szczury...

Dalej... Szybsze przemiany, głębszy oddech... Linia horyzontu pod czapką smogu... Dno delty... Brzeg morza... Przy drodze złociste kolumny... Jeziora... Brunatne trawy pod zielonym niebem... Zwalniam... Falujące trawy, rzeka i jezioro... Wolniej... Bryza i trawy niby morze... Rękawem ocieram czoło... Wciągam powietrze... Idę...

Normalnym krokiem wszedłem na pole. Wolałem odpocząć w okolicy podobnej do tej, gdzie nic nie przesłaniało mi widoku. Wiatr szumiał cicho, poruszając źdźbłami traw. Najbliższe jezioro miało ciemnocytrynowy kolor, a powietrze pachniało słodko.

Zdawało mi się, że po prawej stronie dostrzegłem krótki rozbłysk światła, lecz kiedy spojrzałem, nie zauważyłem niczego niezwykłego. Po chwili byłem pewien, że słyszę daleki tętent kopyt. Ale znowu niczego nie zobaczyłem. Z cieniami zawsze są takie problemy.

Człowiek nie wie, co tu jest naturalne, i nigdy nie ma pewności, na co powinien uważać.

Minęło kilka minut i wyczułem to, zanim cokolwiek zauważyłem.

Dym.

W chwilę później strzeliły płomienie. Długa linia ognia przecięła mi drogę.

I znowu rozległ się głos:

– Kazałem ci zawrócić!

Wiatr wiał od strony pożaru i pędził ku mnie płomienie. Odwróciłem się by uciekać, i zobaczyłem, że po bokach już mnie wyprzedzają. Trzeba czasu, by wytworzyć stan umysłu odpowiedni dla zmiany cienia, a ja straciłem koncentrację. Nie wierzyłem, bym zdążył skupić się na nowo.

Ruszyłem biegiem.

Linia ognia wyginała się przede mną, jakby zakreślając wielkie koło. Nie zatrzymałem się, by podziwiać precyzję rysunku, gdyż czułem już żar, a dym słał się coraz gęściej. Wśród trzasku płomieni wciąż słyszałem tętent kopyt.

Jednak oczy zaczynały łzawić, a kłęby dymu dodatkowo utrudniały widzenie. Jak poprzednio, nie dostrzegłem żadnych śladów osoby, która zastawiła tę pułapkę. Tak, z całą pewnością ziemia drżała od biegu kopytnego zwierzęcia, zmierzającego w moją stronę. Krąg się domykał; płomienie strzeliły wyżej i zbliżyły się. Gdy koń z jeźdźcem przebili ognistą zasłonę, nie byłem pewien, czy nie nadciąga nowe zagrożenie. Jeździec ściągnął wodze, ale koń – kasztan – nie był zachwycony bliskością płomieni. Odsłaniał zęby, gryzł uździenicę, kilka razy próbował stanąć dęba.

– Szybko! Za mnie! – krzyknął jeździec, a ja podbiegłem i wskoczyłem na grzbiet wierzchowca. Jeźdźcem była ciemnowłosa kobieta. Tylko przelotnie spojrzałem na jej twarz. Zdołała wykręcić w stronę, z której przybyła, i potrząsnęła uszami. Kasztan pobiegł, lecz nagle stanął dęba. Udało mi się nie

spaść. Kiedy przednie kopyta dotknęły ziemi, zwierzę zawróciło i pognało w stronę światła. Skręcił znowu, gdy był już prawie w ogniu.

– Przekleństwo! – usłyszałem głos kobiety, gorączkowo szarpiącej wodze.

Koń skręcił znowu, rżąc głośno. Z pyska kapłała mu krwawa piana. Krąg się zamknął, buchał gęsty dym, a linia ognia była już bardzo blisko. W żaden sposób nie mogłem pomóc. Parę razy uderzyłem tylko piętami, gdy koń znów ruszył prosto.

Wpadł w ogień po lewej stronie. Wył niemal. Nie wiedziałem, jak szeroki jest w tym miejscu pas płomieni, ale żar parzył mi stopy i czułem zapach palonych włosów. A potem bestia znowu stanęła dęba, jeździec krzyczał, a ja nie mogłem już utrzymać się na grzbiecie. Zsunąłem się w chwili, gdy przebiliśmy barierę ognia, i runąłem na wypaloną, dymiącą ziemię, gdzie przeszedł już pożar.

Wznosząc chmurę popiołu upadłem między czarne, gorące grudy. Przetoczyłem się w lewo, zakaszałem i mocno zacisnąłem powieki.

Usłyszałem krzyk kobiety i wstałem niepewnie, przecierając oczy. Zdążyłem dostrzec, że kasztan się podnosi.

Najwyraźniej upadł przygniatając jeźdźca. Odbiegł natychmiast i zniknął w chmurze dymu, a kobieta leżała nieruchomo. Podbiegłem do niej, zdusiłem iskry na sukni, sprawdziłem oddech i tętno. Otworzyła oczy.

– Kręgosłup... pęknięty... chyba – wykrztusiła. – Nic... nie... czuję... Uciekaj... jeśli zdołasz... Zostaw mnie. I tak umrę.

– Nie ma mowy. Ale muszę cię przenieść. O ile pamiętam, tu w pobliżu jest jezioro.

Odwiązałem od pasa zwinięty płaszcz i rozłożyłem go na ziemi. Potem, jak najostrożniej, przesunąłem ją, owinąłem, by chronić przed ogniem, i pociągnąłem we właściwym – miałem nadzieję – kierunku. Przesuwaliśmy się przez zmienną szachownicę płomieni i dymu. Paliło mnie w gardle, oczy łzawiły bez przerwy, a spodnie zajęły się już ogniem, gdy wreszcie zrobiłem krok do tyłu i poczułem, że stopa zapada się w błoto. Szedłem dalej.

W końcu stałem w wodzie po piersi i podtrzymywałem ją. Pochyliłem się i odsunąłem z jej twarzy brzeg płaszcza.

Miała otwarte oczy, ale puste spojrzenie. Nie poruszała się. Zanim jednak zdążyłem sprawdzić puls, wydała świszczący jęk, a potem wymówiła moje imię.

– Merlinie – wyszeptała chrapliwie. – Przepraszam...

– Pomogłaś mi, a ja nie zdołałem ci pomóc – odpowiedziałem. – To ja przepraszam.

– Przepraszam... że nie wytrzymałam... dłużej... – mówiła dalej. – Nie radzę sobie... z końmi. Oni... ścigają cię.

– Kto? – spytałem.

– Przynajmniej... odwołał... psy. Ale ten... pożar... jest kogoś... innego. Nie wiem... czyj.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Zwilżyłem jej policzki wodą. Pod sadzą i przypalonymi włosami trudno było ocenić wygląd.

– Ktoś... za... tobą... – szepnęła. Głos był coraz słabszy. – Ktoś... z przodu... także. Nie... wiedziałam... o tym... drugim... Przepraszam.

– Kto? – zapytałem po raz drugi. – I kim ty jesteś? Skąd mnie znasz? Dlaczego...

Uśmiechnęła się słabo.

– ...spać z tobą. Teraz nie mogę. Odchodzę... Zamknęła oczy.

– Nie! – krzyknąłem.

Ze skurczoną twarzą po raz ostatni nabrała tchu. I wypuściła go, by szepnąć jeszcze:

– Pozwól mi... tutaj... zatonać. Żegnaj...

Obłok dymu przesłonił jej twarz. Wstrzymałem oddech i zamknąłem oczy, gdyż nadpływało go więcej.

Kiedy powietrze się oczyściło, zbadałem ją. Ustał oddech, zanikł puls, zamarło serce. Wokół nie było nawet skrawka ziemi, która by nie płonęła lub nie była mokradłem, gdzie mógłbym chociaż spróbować reanimacji. Umarła. Wiedziała, że umiera.

Starannie owinąłem ją płaszczem, zmieniając go w całun. Na końcu zakryłem twarz. Szczepiłem wszystko klamrą, którą zwykle spinałem okrycie pod szyją. Potem zacząłem brnąć na głębszą wodę. „Pozwól mi tutaj zatonać”. Umarli czasem toną szybko, a czasem unoszą się na powierzchni...

– Żegnaj, pani – powiedziałem. – Szkoda, że nie poznałem twego imienia. Dziękuję ci raz jeszcze. Puściłem ją. Zamknęły się wody i zniknęła. Po pewnym czasie odwróciłem wzrok, a potem odszedłem. Zbyt wiele pytań i żadnych odpowiedzi.

Gdzieś w oddali rżał oszalały koń...

Rozdział 9

Kilka godzin i wiele cieni później znów zatrzymałem się na odpoczynek w miejscu pod jasnym niebem i bez drewna w pobliżu. Wziąłem kąpiel w płytkim strumieniu, a potem ściągnąłem z Cienia świeże ubranie. Czysty i suchy, usiadłem na brzegu i przygotowałem sobie posiłek.

Miałem wrażenie, że każdy dzień jest teraz trzydziestym kwietnia. Wydawało się, że zna mnie każdy, kogo spotykam, i że każdy rozgrywa tu jakąś skomplikowaną podwójną grę. Ludzie wokół mnie ginęli, a katastrofy stały się czymś zwyczajnym. Czuję się jak postać z gry wideo. Co będzie dalej? Deszcz meteorów?

Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie. Ta bezimienna dama, która oddała życie, by wyciągnąć mnie z ognia, powiedziała, że ktoś mnie ściga i ktoś jest przede mną. Co to mogło oznaczać? Czy powinienem poczekać, aż prześladowca mnie dogoni, a potem po prostu go, ją albo je zapyta? A może jak najprędzej podążać naprzód w nadziei, że doścignę drugiego przeciwnika i tam się czegoś dowiem? Czy obaj udzieliliby tej samej odpowiedzi? Czy w grę wchodziły raczej dwie zupełnie różne? Może pojedynek dałby któremuś satysfakcję? Stałbym do walki. Albo łapówka. Zapłaciłbym. Chciałem tylko odpowiedzi, a po niej odrobiny spokoju i ciszy. Parsknąłem. To brzmiało jak definicja śmierci... choć tej części z odpowiedzią wcale nie byłem pewien.

– Szlag by to – oświadczyłem, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i cisnąłem do wody kamień.

Wstałem i przeszedłem przez strumień. Na drugim brzegu, na piasku, wypisane było słowo: WRACAJ!

Nadepnąłem na nie i ruszyłem biegiem.

Świat zawirował, kiedy pochwyciłem cienie. Zniknęła roślinność. Kamienie wyrosły w głązy, jaśniejące, roziskrzane...

Przebiegłem dolinę graniastosłupów pod przytłaczającym, purpurowym niebem... Wiatr pomiędzy tęczowymi skałami śpiewa eolską pieśń...

Szkwaly szarpia ubraniami... W górze purpura zmienia się w lawendę... Ostre krzyki wśród smug dźwięku... Trzeszczy ziemia... Szybciej. Jestem olbrzymem. Ten sam pejzaż, tym razem nieskończenie mały... Jak cyklop, miażdżę stopami lśniące głązy... Pył tęcz na moich butach, kłębki chmur wokół ramion...

Atmosfera gęstnieje, staje się niemal ciekła i zielona... Wiruje... Zwalniam mimo wysiłków... Unoszę się w niej... Przepływają zamki niby akwaria... Lecą ku mnie podobne do świetlików jasne pociski... Nic nie czuję...

Zieleń w błękit... Rzadsza, coraz rzadsza... Niebieski dym i powietrze jak kadzidło... Echa miliona niewidzialnych gongów bijących nieprzerwanie... Zaciskam zęby... Szybciej.

Błękit w róż przeszywany iskrami... Język płomienia... Następny... Zimne ognie tańczą przede mną

jak wodorosty... Wyżej, wciąż wyżej... Ściany ognia łączą się z trzaskiem...

Czyjeś kroki za plecami.

Nie oglądaj się. Przeskok.

Niebo rozcięte w pół mknącą kometą słońca... Przebiega i znika... Znowu. Znowu. „Trzy dni w ciągu trzech uderzeń serca... Wdycham wonne powietrze... Wirują płomienie, opadają ku purpurowej ziemi... Kryształ na ciebie... Pędzę szlakiem błyszczącej rzeki przez pole gąbczastych grzybów barwy krwi... Zarodniki zmieniają się w klejnoty, padają jak pociski...

Noc na spizowej równinie, kroki odbijają się echem ku wieczności... Brzęczą rośliny podobne do maszyn z pokrętłami, metalowe kwiaty kryją się w metalowe źdźbła, źdźbła w konsóle... Brzęk, brzęk, westchnienie...

Czy to tylko echo za moimi plecami? Odwracam się jeden raz.

Czy to mroczna postać skryła się za drzewem podobnym do wiatraka? Czy tylko cienie tańczą w moich cieniozmiennych oczach?

Naprzód. Przez szkło i papier ścierny, pomarańczowy lód, pejzaż białego ciała... Nie ma słońca, jedynie blada poświata... Nie ma ziemi... Tylko wąskie mosty i wyspy w powietrzu... Świat jest matrycą kryształu...

W górę, w dół, dookoła... Przez otwór w powietrzu i przez klapę...

Ześlizg... Na kobaltową plażę nad nieruchomym, miedzianym morzem... Bezgwiezdny zmierzch... Wszędzie delikatne lśnienie... Martwo; martwa okolica... Błękitne skały... Spękane posągi niehumanoidów... Bezruch... Stop.

Wykreśliłem magiczny krąg i obdarzyłem go mocami Chaosu. W samym środku rozścieliłem swój nowy płaszcz, wyciągnąłem się i zasnąłem. Śniło mi się, że wezbrane wody zmyły część kręgu i że zielony łuskowaty stwór o fioletowej sierści i ostrych zębach wypełził z morza i podczołgał się do mnie, by wyssać mi krew.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem przerwany krąg i zielonego, łuskowatego stwora o fioletowej sierści i ostrych zębach. Leżał martwy na plaży pięć metrów ode mnie, z Frakir zaciśniętą na szyi, wśród zdeptanego dookoła piasku. Musiałem naprawdę głęboko zasnąć.

Zabrałem mój sznur dusiciela i przekroczyłem kolejny most ponad nieskończonością.

Na kolejnym etapie podróży niemal mnie pochwyciła nagła powódź, kiedy pierwszy raz przystanąłem, by odpocząć. Nie dałem się zaskoczyć i utrzymując dostateczną odległość, zdążyłem z przeskokiem. Otrzymałem kolejne ostrzeżenie, wypisane płonącymi literami na zboczu obsydianowej góry. Sugerowało, bym zrezygnował, wycofał się, wrócił do domu. Moje wykrzyczane zaproszenie na konferencję zostało zignorowane.

Podążałem wciąż dalej, aż znowu nadszedł czas na sen. Rozbiłem obóz w Poczerniałych Ziemiach – nieruchomych, szarych, zatechłych i mglistych. Znalazłem łatwą do obrony rozpadlinę, osłoniłem ją przed magią i zasnąłem.

Później – nie jestem pewien, o ile później – pulsowanie Frakir na rękę wyrwało mnie ze snu bez marzeń.

Rozbudziłem się natychmiast i zacząłem zastanawiać, co było powodem. Nic nie słyszałem, w moim ograniczonym polu widzenia nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Lecz jeśli Frakir ostrzega, to choć nie jest w stu procentach doskonała, zawsze ma jakiś powód.

Czekając na wyjaśnienie, przywołałem wizerunek Logrusu. Kiedy pojawił się w całej pełni, jak w rękawicę wsunąłem w niego rękę i sięgnąłem...

Rzadko noszę ze sobą klingę dłuższą niż średnich rozmiarów sztylet. To strasznie niewygodne, taszczyć wiszący u boku metr stali, który obija się o nogi, czepia krzaków, a czasem można się o

niego potknąć. Mój ojciec i większość krewnych w Amberze i w Dworcach używa ciężkiej, niezgrabnej broni, ale są chyba ulepieni z twardszej niż ja gliny. Zresztą, w zasadzie nie mam nic przeciwko mieczom. Uwielbiam szermierkę i długo trenowałem, by się nimi posługiwać. Po prostu uważam, że noszenie czegoś takiego to tylko kłopot. Po pewnym czasie pas ociera mi biodro. Normalnie wolę raczej Frakir i improwizację. Jednakże...

Skłonny byłem przyznać, że nadeszła odpowiednia chwila, by chwycić w rękę miecz. Gdzieś z przodu po lewej stronie usłyszałem bowiem, że coś sapie jak miech, prycha i gramoli się.

Sięgnąłem w Cień, szukając miecza. Coraz dalej i dalej...

Niech to! Daleko odszedłem od cywilizacji używających metalu, o odpowiedniej anatomii i we właściwej fazie historycznego rozwoju.

Szukałem nadal; pot zrosił mi czoło. Daleko, bardzo daleko. A dźwięki były coraz bliższe, głośniejsze, szybsze...

Rozległ się grzechot, tupanie, parskanie. Potem ryk.

Kontakt!

Poczułem w dłoni rękojeść miecza. Chwycić i przywołać! Wezwałem go; pchnął mnie na ścianę energią swej materializacji. Dopiero po chwili zdołałem wyrwać go z pochwy, w której wciąż tkwił. I właśnie w tej chwili na zewnątrz wszystko ucichło.

Odczekałem dziesięć sekund. Piętnaście. Pół minuty...

Nic.

Wytarłem dłoń o spodnie. Wciąż nasłuchiwałem. Wreszcie ruszyłem do przodu. Przed szczeliną nie było nic prócz rzadkiej mgły. A kiedy otworzył się widok na boki, nadal nie było na co patrzeć.

Jeszcze krok...

Nic.

Następny.

Stałem na samym progu. Wychyliłem się szybko i spojrzałem w obie strony.

Tak. Z lewej strony coś było: ciemne, niskie, częściowo przesłonięte mgłą. Przyczajone? Gotowe, by na mnie skoczyć?

Czymkolwiek to było, nie poruszało się i zachowywało całkowite milczenie. Ja również. Po chwili dostrzegłem następną zbliżoną kształtem ciemną plamę... i może jeszcze trzecią, trochę z tyłu. Żadna z nich nie wykazywała skłonności do wydawania takiego piekielnego hałasu, jaki słyszałem jeszcze przed chwilą.

Obserwowałem uważnie.

Minęło kilka minut, nim zdecydowałem się wyjść na zewnątrz. Mój ruch nie wywołał żadnej reakcji. Zrobiłem jeszcze krok i znieruchomiałem. Potem następny. Wreszcie, bardzo powoli, zbliżyłem się do pierwszej bryły. Paskudny stwór, pokryty łuską o barwie wyschniętej krwi... Kilkaset kilogramów długiego, krętego cielska... Wielkie zębiska, co zauważyłem, gdy czubkiem miecza otworzyłem mu paszczę. Wiedziałem, że mogę to zrobić bez ryzyka, ponieważ głowa bestii była niemal całkowicie odrąbana od reszty ciała. Czyste cięcie. Z rany wciąż ściekała żółtopomarańczowa ciecz.

Ze swojego miejsca widziałem, że dwa pozostałe kształty były podobnymi stworami. Podobnymi we wszystkim. Ta znaczy, też były martwe. Drugi, którego zbadałem, otrzymał liczne pchnięcia i stracił nogę. Trzeci był posiekany na kawałki. Spływały posoką i pachniały lekko goździkami.

Przeszukałem zdeptaną ziemię. W tej dziwnej krwi i rosie znalazłem coś, co wyglądało jak niewyraźne odciski butów, ludzkich rozmiarów. Rozejrzałem się dokładniej i trafiłem na jeden wyraźny ślad, skierowany w stronę, z której przybyłem.

Mój prześladowca? Może S? Ten, który odwołał psy? Przyszedł mi z pomocą?

Potrząsnąłem głową. Miałem już dość szukania sensu tam, gdzie go nie ma. Zbadałem teren, ale nie znalazłem więcej śladów. Wróciłem więc do szczeliny, wsunąłem miecz do pochwy i umocowałem ją do pasa. Zapiąłem go na ramieniu, żeby klinga wisiała na plecach. Rękojeść będzie wystawała tuż ponad plecakiem. Nie wyobrażałem sobie biegu z bronią u boku.

Zjadłem trochę chleba i resztkę mięsa, popiłem wodą i odrobiną wina. Po czym ruszyłem dalej.

Biegłem prawie cały dzień – o ile można nazwać dniem porę doby pod niezmiennym, pasiastym niebem, kraciastym niebem, niebem rozjaśnianym przez wiecznie wirujące koła i fontanny światła. Biegłem do zmęczenia, wypoczywałem, zjadałem coś i znów ruszałem biegiem.

Oszczędzałem żywność, gdyż miałem przecucie, że po prowiant musiałbym sięgnąć daleko, a taki akt narusza rezerwy energetyczne organizmu. Unikałem skrótów, gdyż błyskotliwe, przecinające cienie piekielne rajdy też mają swoją cenę, a nie chciałem przybyć do celu całkiem wyczerpany. Często oglądałem się za siebie, ale na ogół nie widziałem nic podejrzanego. Tylko od czasu do czasu miałem wrażenie, że dostrzegam za sobą pogoń. Jednak możliwe były też inne wyjaśnienia, biorąc pod uwagę wszystkie płatanie przez cienie sztuczki.

Biegłem, póki nie byłem pewien, że w końcu zbliżam się do celu. Nie wydarzyła się żadna nowa katastrofa i nikt nie kazał mi wracać. Przez moment zastanawiałem się, czy to dobry znak, czy może najgorsze ma dopiero nadejść. Wszystko jedno. Wiedziałem, że jeszcze jeden sen i trochę marszu doprowadzi mnie do miejsca, gdzie chciałem się znaleźć. Dołożymy odrobinę czujności i kilka środków ostrożności, a znalazłbym nawet pewne powody do optymizmu.

Biegłem właśnie przez okolicę pokrytą lasem krystalicznych kształtów. Nie miałem pojęcia, czy są żywymi organizmami, czy raczej jakimś fenomenem geologicznym. Zniekształcały perspektywę i utrudniały przeskoki.

Nic się jednak nie poruszało w tym szklistym, lśniącym lesie, co skłoniło mnie do rozbicia tu ostatniego obozowiska.

Nałamałem gałęzi i wetknąłem je w różowy grunt o konsystencji częściowo zaschniętego kitu. Tworzyły okrągłą palisadę, wysoką mniej więcej do ramion. Odwinąłem z nadgarstka Fraku, wydałem niezbędne polecenia i ułożyłem na krawędzi błyszczącego, choć nierównego muru.

Frakir wydłużyła się, rozciągnęła w ciekłą nić i wplotła między odłamki kryształów. Poczuję się bezpiecznie. Nic nie mogło przekroczyć tej bariery. Frakir zaatakowałaby natychmiast i zacisnęła śmiertelną pętlę.

Rozścieliłem płaszcz, położyłem się i zasnąłem. Nie wiem, jak długo to trwało. Nie pamiętam żadnych snów. Nic nie zakłóciło mi odpoczynku.

Obudziłem się i przekręciłem głowę, ale widok był identyczny. Ze wszystkich stron oprócz dołu otaczały mnie splecione, kryształowe gałęzie. Wstałem powoli i napałem na nie. Wytrzymały. Zmieniły się w szklaną klatkę.

Mógłbym odłamać niektóre cieńsze pędy, jednak takie rosły mi głównie nad głową, więc nic by to nie dało. Te, które wczoraj zasadziłem, wyraźnie pogrubiały, zapuszczając pewnie korzenie. Nie ustępowały przed najsilniejszymi kopniakami.

Ta przeklęta kopuła doprowadzała mnie do pasji. Machnąłem mieczem i dookoła posypały się szkliste odpryski. Zasłoniłem twarz płaszczem i zadałem jeszcze kilka ciosów. Potem zauważyłem, że mam mokrą dłoń. Spojrzałem – spływała krew. Niektóre drzazgi były naprawdę ostre. Zrezygnowałem z miecza i wróciłem do kopania ścian klatki. Trzeszczały z rzadka i dźwięczały cicho, ale nie ustępowały.

Nie cierpię na klaustrofobię, a mojemu życiu nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo, lecz coś

w tym błyszczącym więzieniu irytowało mnie zupełnie nieproporcjonalnie do sytuacji. Wściekałem się chyba z dziesięć minut, nim odzyskałem spokój i mogłem rozsądnie pomyśleć.

Przestudiowałem gąszcz kryształów, aż dostrzegłem jednostajną barwę i fakturę wplecionej w nie Frakir.

Dotknąłem jej końcami palców i wydałem rozkaz. Zajaśniała nagle, przebiegła pełne widmo i zatrzymała się na czerwonym żarzeniu.

Wycofałem się szybko na środek klatki i owinąłem się płaszczem. Gdybym przykucnął, odłamki z górnej części przeleciałyby większą odległość i uderzyły mnie z większą siłą. Dlatego stałem prosto, osłaniając głowę nie tylko płaszczem, ale i rękami.

Trzeszczenie zmieniło się w trzaski, a po nich w grzechot, odgłosy pękania i łamania. Coś trafiło mnie w ramię, ale nie straciłem równowagi.

Dzwoniąc i chrzęszcząc, konstrukcja zaczęła się sypać. Nie ruszałem się z miejsca, choć kilka razy uderzyły mnie odłamki. Gdy ucichł hałas, rozejrzałem się dookoła. Dach zniknął i stałem po kostki w twardych, połamanych na kawałki podobnych do koralu, pędach. Kilka bocznych konarów pękło tuż przy ziemi, inne pochyliły się na boki. Parę celnie wymierzonych kopnięć powaliło je do końca.

Płaszcz był rozdarty w kilku miejscach, a Frakir owinęła się wokół kostki i rozpoczęła migrację do nadgarstka. Gdy odchodziłem, pędy chrzęściły pod stopami.

Otrzeptałem płaszcz i ubranie. Po półgodzinnym marszu zostawiłem za sobą tę okolicę i dopiero wtedy zatrzymałem się na śniadanie w gorącej, ponurej dolince, pachnącej lekko siarką.

Kończyłem jedzenie, gdy usłyszałem tupot. Grzbietem po prawej stronie przebiegł rogaty fioletowy stwór z wielkimi kłami, ścigany przez bezwłosą pomarańczową bestię o długich szponach i rozwidlonym ogonie. Oba potwory wyły w różnych tonacjach.

Pokiwałem głową. To po prostu jeden paskudny zwierzak gonił drugiego.

Przekroczyłem ziemie zamarznięte i rozpalone, pod niebami dzikimi i spokojnymi. W końcu, po wielu godzinach, dostrzegłem zorzę płonąca za pasmem niewysokich, mrocznych wzgórz. To tutaj. Musiałem tylko je przekroczyć, by za ostatnią, najtrudniejszą barierą zobaczyć swój cel.

Ruszyłem. Dobrze będzie załatwić to i zająć się ważniejszymi sprawami. Kiedy skończę, przeatutuję się do Amberu. Nie muszę wracać tą samą drogą. W tę stronę nie było to możliwe, gdyż nie można odwzorować tego miejsca na karcie.

Ponieważ biegłem, myślałem z początku, że sam powoduję wibracje. Zmieniłem zdanie, gdy kamyki na ziemi zaczęły przetaczać się z miejsca na miejsce.

Dlaczego nie?

Atakowało mnie już wszystko inne. Jak gdyby moja niezwykła Nemezis sprawdzała listę katastrof i doszła właśnie do punktu „Trzęsienie ziemi”. W porządku.

Przynajmniej nie było w pobliżu niczego wysokiego, co mogłoby się na mnie zwalić.

– Ciesz się, sukinsynu! – krzyknąłem. – Niedługo przestanie ci być tak wesoło! Jakby w odpowiedzi drzenie gruntu przybrało na sile i musiałem się zatrzymać, żeby nie upaść. Ziemia zapadała się w niektórych miejscach, przechylała w innych. Rozejrzałem się szybko, próbując zdecydować, czy lepiej iść naprzód, cofnąć się, czy może zostać na miejscu. Otwierały się niewielkie szczeliny i słyszałem niski, złowieszczy huk.

Grunt pode mną opadł nagle – może z piętnaście centymetrów – i poszerzyły się najbliższe rozpadliny.

Zawróciłem i co sił pogałem drogą, którą przyszedłem.

Ziemia wydawała się tam spokojniejsza.

To chyba był błąd. Szczególnie gwałtowny wstrząs zwałił mnie z nóg, a zanim zdążyłem wstać, w

zasięgu ręki pojawiła się szeroka szczelina. Rosła w oczach. Zerwałem się, przeskoczyłem ją, potknąłem się, wstałem znowu i zobaczyłem kolejną szparę – poszerzającą się jeszcze szybciej niż ta, przed którą uciekałem.

Skoczyłem na pochyłony skrawek terenu. Ziemię dookoła znaczyły czarne zygzaki szczelin, otwierające się do wtóru straszliwych jęków i zgrzytów. Spore kawałki gruntu znikwały w otchłani. Los mojej wysepki był już przypieczętowany.

Skoczyłem jeszcze raz i jeszcze, próbując dotrzeć do czegoś, co wyglądało na bardziej stabilny obszar. Nie całkiem mi się udało. Stopy zjechały w dół i upadłem, zdołałem jednak pochwycić krawędź rozpadliny. Zawisłem na chwilę, potem zacząłem się podciągać.

Krawędź rozkruszyła się, ale rozpaczliwie macając dłonią natrafiłem na nowy chwyt. I znowu zawisłem, kaszląc i przeklinając na przemian. Szukałem oparcia dla stóp w gliniastej ścianie. Poddawała się pod uderzeniami butów, a ja kopałem, mruganiem usuwając piasek z oczu, i próbowałem znaleźć lepszy chwyt dla ręki. Frakir zsunęła się, zacisnęła w pętlę, a wolny koniec spłynął mi z palców, zapewne w poszukiwaniu czegoś solidnego, co mogłoby posłużyć za kotwicę.

Nic z tego. Lewa ręka straciła uchwyt. Wisząc na prawej szukałem następnego – bezskutecznie. Wokół padała ziemia, a prawa dłoń zaczęła się ześlizgiwać. Ciemna sylwetka nade mną, poprzez pył i załzawione oczy...

Prawa ręka zsunęła się. Pchnąłem nogami, by spróbować raz jeszcze.

Coś chwyciło mój prawy nadgarstek i szarpnęło w przód, do góry. Trzymała mnie wielka, potężna dłoń.

Po chwili dołączyła do niej druga i wspólnie wyciągnęły mnie szybko i gładko. Znalazłem się na krawędzi. Dłonie uwolniły moją rękę. Przetarłem oczy.

– Luke!

Miał zielony strój. Miecze widocznie nie przeszkadzały mu tak jak mnie, gdyż solidnych rozmiarów klinga wisiała u jego boku. Zamiast plecaka miał zrolowany płaszcz, a kłamrę nosił jak broszę na lewej piersi – piękna robota, jakiś złocisty ptak.

– Tędy – powiedział, a ja ruszyłem za nim. Prowadził mnie z powrotem, trochę w lewo, po stycznej do drogi, którą wszedłem w tę dolinę. Wstrząsy cichły z wolna, gdy odchodziliśmy coraz dalej, wspinając się w końcu na wzgórek poza zasięgiem zaburzeń. Tu przystanęliśmy, by spojrzeć za siebie.

– Nie waż się iść dalej! – zahuczał stamtąd potężny głos.

– Dzięki, Luke – wysapałem. – Nie wiem, skąd się tu wzięłeś i po co, ale...

Uniósł dłoń.

– W tej chwili interesuje mnie tylko jedno – oświadczył, pocierając krótką brodę, która wyrosła mu zdumiewająco szybko. Zauważyłem, że nosi pierścień z niebieskim kamieniem.

– Pytaj.

– W jaki sposób to, co właśnie przemówiło, miało twój głos?

– O rany! Rzeczywiście wydawał mi się znajomy!

– Nie żartuj – powiedział. – Musisz wiedzieć. Za każdym razem, kiedy coś ci zagrozi i każe zawrócić, słyszę twój głos. Jak echo.

– A właściwie od jak dawna za mną idziesz?

– Spory kawałek.

– Te martwe stwory przed szczeliną, gdzie rozbiłem obóz...

– Zlikwidowałem je dla ciebie. Dokąd zmierzasz i o co w tym wszystkim chodzi?

– W tej chwili mam tylko pewne podejrzenia, ale to długa historia. Odpowiedź powinna leżeć w

następnym paśmie wzgórz. – Wskazałem ręką zorzę. Spojrzał tam, po czym skinął głową.

– Ruszajmy – rzekł.

– Trwa trzęsienie ziemi – przypomniałem mu.

– Jest chyba ograniczone do tej doliny – stwierdził. – Możemy ją ominąć i iść dalej.

– I całkiem możliwe, natrafić na jego ciąg dalszy.

Pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że to, co próbuje zagrozić ci drogę, wyczerpuje się po każdym ataku. Mija sporo czasu, nim odzyska siły i uderzy znowu.

– Ale przerwy są coraz krótsze – zauważyłem. – A ataki coraz bardziej widowiskowe.

– Czy to dlatego, że zbliżamy się do ich źródła? – zapytał.

– Możliwe.

– To spieszmy się.

Zeszliśmy po drugiej stronie wzgórza, wspięliśmy się na następne. Wstrząsy tymczasem ustały i tylko z rzadka grunt drżał lekko. Po chwili zapanował całkowity spokój.

Szliśmy inną doliną, która przez pewien czas prowadziła nas daleko na prawo od celu, a potem wykręciła we właściwym kierunku, w stronę ostatniego pasma nagich wzgórz. Za nimi migotały światła na tle niskiej, nieruchomej podstawy czegoś jakby białych chmur pod niebem barwy różu z fioletem. Nie pojawiła się żadne nowe zagrożenie.

– Luke – odezwałem się po dłuższej chwili. – Co się zdarzyło tamtej nocy w Nowym Meksyku?

– Musiałem zniknąć... i to szybko.

– A ciało Dana Martineza?

– Zabrałem je ze sobą.

– Czemu?

– Nie lubię zostawiać dowodów.

– Szczerze mówiąc, to niewiele tłumaczy.

– Wiem – odparł i ruszył biegiem.

Dogoniłem go.

– W dodatku wiesz, kim jestem – ciągnąłem.

– Tak.

– Skąd?

– Nie teraz – odparł. – Nie teraz.

Przyspieszył kroku. Ja również.

– A dlaczego mnie ścigałeś?

– Ocaliłem twój tyłek, prawda?

– Tak, i jestem ci wdzięczny. Ale to żadna odpowiedź.

– Ścigamy się do tego pochyłego głazu – oznajmił i pognął przed siebie.

Ja także. Dogoniłem go, ale choć starałem się ze wszystkich sił, nie mogłem wyjść na prowadzenie. Dyszeliśmy już zbyt ciężko, by zadawać pytania albo na nie odpowiadać.

Wyteżyłem siły i pobiegłem szybciej. On również. Wytrzymał tempo. Pochyły głaz wciąż był dość daleko. Biegliśmy obok siebie, a ja oszczędzałem siły na końcowy sprint. To szaleństwo, ale ścigaliśmy się już tyle razy, że teraz była to kwestia przyzwyczajenia. A także dawna ciekawość. Czy jest odrobinę szybszy? A ja? A może wolniejszy?

Łokcie pracowały rytmicznie, stopy uderzały o ziemię. Opanowałem oddech i utrzymywałem równe tempo. Przesunąłem się odrobinę do przodu, a on nie zareagował. Głaz znalazł się nagle o wiele bliżej. Biegł za mną może pół minuty, a potem nagle wystrzelił do przodu. Zrównał się ze mną,

objął prowadzenie... Pora na finisz.

Szybciej ruszyłem nogami. Krew dudniła mi w uszach. Wciągałem powietrze i atakowałem wszystkimi siłami, jakie mi jeszcze pozostały. Odległość między nami zmalała, pochyła skała rosła coraz bardziej... Zrównałem się z nim, zanim do niej dobiegliśmy, ale w żaden sposób nie mogłem go wyprzedzić. Przemknęliśmy obok głazu ramię w ramię i razem padliśmy na ziemię.

– Finisz na fotokomórkę – wysapałem.

– Musimy to uznać za remis. – Przerwał na chwilę. – Zawsze mnie zaskakujesz... przy samym końcu. Podałem mu wyjętą z plecaka manierkę. Pociągnął łyk i oddał. Osuszyliśmy ją po trochu.

– Niech to – westchnął i wstał ciężko. – Chodź, zobaczymy, co jest za tymi wzgórzami.

Podniosłem się i ruszyliśmy.

– Mam wrażenie, że wiesz o mnie o wiele więcej niż ja o tobie – powiedziałem, kiedy wreszcie uspokoiłem oddech.

– Chyba tak – przyznał po chwili. – Ale wołałbym nie wiedzieć.

– Co to ma znaczyć?

– Nie teraz – odparł. – Później. Nie czyta się „Wojny i pokoju” na przerwie śniadaniowej.

– Nie rozumiem.

– Czas – wyjaśnił. – Zawsze jest go za dużo albo za mało. W tej chwili za mało.

– Zgubiłem się.

– Chciałbym, żeby to było możliwe.

Wzgórza zbliżyły się, a grunt pod stopami wciąż był pewny. Wytrwale szliśmy naprzód.

Myślałem o domysłach Billa, podejrzeniach Randoma i ostrzeżeniu Meg Devlin. A także o tym niezwykle naboju znalezionym w kieszeni Luke’a.

– Ta rzecz, do której zmierzamy... – zaczął, nim zdążyłem ułożyć pytanie. – To twój Ghostwheel, prawda?

– Tak.

Roześmiał się.

– Czyli nie kłamałeś w Santa Fe, kiedy powiedziałeś, że wymaga szczególnego środowiska. Nie mówiłeś tylko, że znalazłeś to środowisko i zbudowałeś maszynę.

Przytaknąłem.

– Co z twoimi planami założenia firmy? – spytałem.

– To był tylko pretekst, żebyś zaczął mówić.

– A Dan Martinez... i wszystko, co powiedział?

– Nie wiem. Naprawdę go nie znałem. Nie mam pojęcia, czego chciał i czemu zaczął do nas strzelać.

– A czego ty chcesz, Luke?

– W tej chwili chcę zobaczyć to urządzenie. Czy to, że zbudowałeś je tak daleko, daje mu jakieś szczególne właściwości?

– Tak.

– Na przykład jakie?

– Na przykład takie, o których nawet nie pomyślałem – odparłem. – Niestety.

– Wymień jedną.

– Przykro mi, ale pytania i odpowiedzi to zabawa dla dwóch.

– Zaraz! To ja jestem tym facetem, który wyciągnął cię z dziury w ziemi!

– Domyślam się, że jesteś również facetem, który próbował mnie zabić przez kolejne trzydzieste kwietnia.

– Ostatnio nie – oświadczył. – Słowo.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę próbowałeś?

– No... tak. Ale miałem powody. To długa historia i...

– Jezu, Luke! Dlaczego? Co ja ci zrobiłem?

– To nie takie proste – westchnął.

Dotarliśmy do stóp najbliższego wzgórza i Luke ruszył w górę.

– Stój! – zawołałem. – Nie przejdiesz.

Zatrzymał się.

– Dlaczego?

– Piętnaście metrów nad ziemią kończy się atmosfera.

– Chyba żartujesz.

Pokręciłem głową.

– A po drugiej stronie jest jeszcze gorzej – dodałem. – Musimy poszukać przejścia. Jest jedno tam po lewej.

Skręciłem, a po chwili usłyszałem za sobą jego kroki.

– Więc dałeś mu swój głos – powiedział.

– I co?

– Teraz rozumiem, co zamierzasz i co się działo. W tym zwariowanym miejscu, gdzie go zbudowałeś, zyskał świadomość. I szaleje, a ty chcesz go wyłączyć. On o tym wie i ma dość sił, by się bronić. To twój Ghostwheel próbował cię zmusić do odwrotu. Zgadza się?

– Prawdopodobnie.

– Dlaczego się zwyczajnie nie przeatutujesz?

– Nie można skonstruować Atutu miejsca, które ciągle się zmienia. Nawiasem mówiąc, co wiesz o Atutach?

– Dość – odparł.

Dostrzegłem przed nami przejście.

Zbliżyłem się i przystanąłem, nie wchodząc dalej.

– Luke – powiedziałem. – Nie wiem, czego chcesz. Nie wiem, po co ani jak się tu znalazłeś, a ty jakoś nie chcesz mi tego wyjaśnić. Ale jedno powiem ci za darmo. Tam może być bardzo niebezpiecznie. Może powinieneś wrócić, skąd przybyłeś, i pozwolić mi załatwić to samemu. Nie ma powodu, żebyś się narażał.

– Myślę, że jest – stwierdził. – Poza tym mogę się przydać.

– Jak?

Wzruszył ramionami.

– Chodźmy, Merlinie. Chcę go zobaczyć.

– Dobrze. Idziemy.

Poprowadziłem wąskim korytarzem, gdzie rozszczepiały się głązy.

Rozdział 10

Przejsście było długie, ciemne, miejscami ciasne i coraz zimniejsze w miarę, jak się w nie zagłębialiśmy. W końcu jednak wyszliśmy na szeroką, skalną półkę ponad dymiącą otchłanią. W powietrzu unosił się zapach amoniaku. Stopy miałem zimne, a twarz zaczerwienioną, jak zwykle. Mrugnąłem kilka razy, studiując przez mgłę kontury labiryntu. Nad całym obszarem zawisł perłowoszary całun, a krótkie pomarańczowe błyski przebijały mrok.

– Gdzie to jest? – dopytywał się Luke.

Wskazałem wprost przed siebie, ku miejscu ostatniego migotania.

– Tam – powiedziałem.

Właśnie wtedy podmuch wiatru porwał zasłonę mgieł, rząd za rzędem odkrywając ciemne, gładkie grzbiety rozdzielone czarnymi zagłębieniami. Zygzakami sięgały do wyspy przypominającej fortecę. Otaczając niski mur, za którym widać było kilka metalicznych konstrukcji.

– Przecież to... labirynt – stwierdził. – Pójdziemy dołem, przez korytarze, czy górą po krawędziach murów?

Uśmiechnąłem się, uważnie obserwując otoczenie.

– To zależy – wyjaśniłem. – Czasem górą, a czasem dołem.

– Więc którą?

– Jeszcze nie wiem. Za każdym razem muszę się przyjrzeć. Widzisz, on stale się zmienia. Jest w tym pewna sztuczka.

– Sztuczka?

– Właściwie nawet więcej niż jedna. Wszystko to pływa w jeziorze ciekłego wodoru i helu. Labirynt przesuwają się i za każdym razem jest inny. Dochodzi jeszcze problem atmosfery. Gdybyś chciał przejść wyprostowany po tych grzbietach, przez większość trasy byłbyś powyżej jej poziomu. Nie przetrwałbyś długo. A na różnicy poziomów rzędu kilkudziesięciu centymetrów temperatura wzrasta od potwornego mrozu do palącego żaru. Musisz wiedzieć, kiedy się czołgać, kiedy wspinać, a kiedy robić coś innego... nie tylko którą trzeba iść.

– A ty jak poznajesz?

– Nie, nie – odpowiedziałem. – Zabiorę cię ze sobą, ale nie mam zamiaru zdradzać tajemnic.

Z głębiny znowu uniosła się mgła, formując niewielkie chmury.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie można stworzyć Atutu tego miejsca – oświadczył.

Nadal studiowałem układ labiryntu.

– W porządku – stwierdziłem. – Tędy.

– A jeśli zaatakuje nas w czasie drogi? – zapytał.

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać.

– Nie. Naprawdę chcesz go wyłączyć?

– Nie jestem pewien. Chodź.

Zrobiłem kilka kroków do przodu i w prawo. W powietrzu przede mną pojawił się błyśnięcie krążek światła; rozbłysnął mocniej. Poczulem na ramieniu dłoń Luke'a.

– Co...? – zaczął.

– Ani kroku dalej! – zawołał głos, który rozpoznałem jako własny.

– Sądzę, że dojdziemy jakoś do porozumienia – odparłem. – Mam kilka pomysłów i...

– Nie – odpowiedział. – Słyszałem, co mówił Random.

– Jestem skłonny nie wykonać jego rozkazu. O ile istnieje lepsza możliwość.

– Próbujesz mnie oszukać. Chcesz mnie wyłączyć.

– Tylko pogarszasz sprawę tymi demonstracjami siły. Wchodzę teraz...

– Nie!

Z kręgu światła dmuchnął silny wicher i uderzył we mnie. Zatoczyłem się. Spostrzegłem, że rękaw koszuli staje się brązowy, potem pomarańczowy... rozpadał się w oczach.

– Co ty wyprawiasz? Muszę z tobą porozmawiać, wytłumaczyć...

– Nie tutaj! Nie teraz! Nigdy!

Zatoczyłem się na Luke'a, który pochwycił mnie, równocześnie opadając na jedno kolano. Runął na nas arktyczny podmuch. Przed oczami tańczyły kryształki lodu. Potem rozbłysły oślepiająco jaskrawe kolory.

– Przestań! – krzyknąłem, ale nic nie przestało.

Grunt nachylił się pod nami, a potem nagle nie było już ziemi. Nie miałem wrażenia upadku. Zdawało się, że tkwimy zawieszeni w samym środku huraganu światła.

– Przestań! – krzyknąłem znowu, ale wiatr porwał moje słowa.

Krąg światła zniknął, jakby wycofywał się w głąb długiego tunelu. Pojmowałem jednak, mimo przeciążenia zmysłów, że to Luke i ja oddalamy się od światła. Odrzuciło nas na taką odległość, że powinniśmy być już w połowie wzgórza. Lecz wokół nie pozostało nic materialnego.

Rozległo się ciche brzęczenie, przeszło w szum, potem głuchy ryk. W oddali dostrzegłem coś podobnego do małej lokomotywy wspinającej się pod niesamowitym kątem na górskie zbocze, później odwrócony wodospad, horyzont pod zielonymi wodami. Przemknęła parkowa ławka, na której, trzymając się jej z całej siły, siedziała przerażona błękitnoskóra kobieta.

Gorączkowo szukałem w kieszeni, wiedząc, że lada chwila może dosięgnąć nas zniszczenie.

– Co to jest?! – wrzasnął mi Luke w samo ucho.

Niemal wykręcał mi ramię.

– Sztorm Cienia – odkrzyknąłem. – Trzymaj się! – dodałem jeszcze całkiem niepotrzebnie.

Jakieś podobne do nietoperza stworzenie pacnęło mnie w twarz i zniknęło natychmiast, pozostawiając tylko wilgotny ślad na prawym policzku. Coś uderzyło mnie w lewą stopę.

W pobliżu przepłynęło odwrócone górskie pasmo; drżało i falowało. Ryk nabrał mocy. Światło pulsowało wokół szerokimi pasami barw, atakując nas z niemal fizyczną siłą. Palniki i odgłosy wichru...

Luke krzyknął, jakby coś go trafiło, ale nie mogłem mu pomóc. Przemieszczaliśmy się przez obszar jaskrawych błysków, gdzie włosy stawały dęba i dreszcz przebiegał po skórze.

Wyrwałem z kieszeni talię kart. Zaczęliśmy wirować i bałem się, że wypadną mi z ręki, gdybym próbował w nich przebierać. Trzymałem je mocno, jak najbliżej ciała, i ostrożnie przesuwałem do góry. Ta, która leży na wierzchu, musi być naszą ucieczką.

Wokół tworzyły się i pękały ciemne bąble, wypuszczając trujące gazy.

Kiedy uniosłem rękę, skóra była szara, połyskująca fluorescencyjnymi wirami. Dłoń Luke'a na

mym ramieniu wyglądała jak ręka trupa. Obejrzałem się i spojrzałem na wyszczerzoną czaszkę.

Szybko odwróciłem głowę i zająłem się kartami.

Trudno było skupić wzrok w tej szarości, wobec niezwykłego efektu oddalenia. W końcu zobaczyłem wyraźnie. To był ten trawiasty cypel, na który patrzyłem... jak dawno temu? Wokół spokojne wody, po prawej stronie brzeg czegoś krystalicznego i jasnego na samej granicy pola widzenia.

Skoncentrowałem się. Odgłosy zza mego ramienia dowodziły, że Luke próbuje coś powiedzieć, ale nie rozróżniałem słów. Nadal wpatrywałem się w Atut, a obraz stawał się wyraźniejszy. Ale powoli, bardzo powoli. Coś uderzyło mnie mocno tuż pod prawym dolnym żebrzem. Zmusiłem się, by zignorować ból.

Wreszcie scena na karcie przesunęła się ku mnie i urosła. Odebrałem znajome wrażenie chłodu, gdy ogarnęła mnie, a ja ją. Nad małym jeziorkiem trwał niemal żałobny bezruch.

Upadłem na trawę. Serce biło mi mocno, ból pulsował w prawym boku. Z trudem chwytałem oddech. Wciąż towarzyszyło mi subiektywne wrażenie pędzących obok światów – jak powidoki autostrad, gdy zamknie się oczy po długim dniu jazdy.

Wciągnąłem w nozdrza słodki zapach wody i zemdląłem.

Niejasno zdawałem sobie sprawę, że ktoś mnie ciągnie, niesie, potem pomaga iść. Później nastąpił okres całkowitej utraty przytomności, przechodzący stopniowo w sen i marzenia.

..Szedłem przez ruiny ulic Amberu pod niskim niebem. Kaleki anioł chodził po szczycie nade mną i ciął ognistym mieczem. Tam gdzie trafiło ostrze, wznosił się kurz, dym i płomień. Aureolą był mój Ghostwheel; wypuszczał potężne huragany, których dosiadały okropieństwa, niby ciemna, żywa zasłona przelatujące obok twarzy anioła. Gdzie upadły, zmieniały wszystko w chaos i ruinę. Pałac był w połowie zburzony, a w pobliżu na szubienicach wisieli moi krewni i kołysali się w podmuchach wichury. W jednej dłoni trzymałem miecz, z drugiej zwisała Frakir. Szedłem w górę, by wyzwąć i walczyć z jasnomroczną Nemezis. Podążając kamienistą dróżką, miałem straszne przeczucie, że moja porażka jest już przesądzona. Jeśli nawet, pomyślałem, to odchodząc stąd ta istota będzie miała dość ran do wylizywania. Dostrzegł mnie, gdy podszedłem bliżej, i odwrócił się w moją stronę. Twarz wciąż miał zasłoniętą, kiedy unosił broń. Skoczyłem naprzód, żałując tylko, że nie miałem czasu, by zatruć ostrze. Dwa razy zakręciłem mieczem, zamarkowałem cios i uderzyłem w okolice jego lewego kolana.

Rozbłysło światło, a potem spadałem, spadałem, a odpryski płomieni pędziły wraz ze mną niby ognista zamieć. Miałem wrażenie, że lecę tak przez półtora stulecia. Wreszcie spocząłem na plecach na wielkiej, kamiennej płycie oznaczonej jak tarcza słonecznego zegara, którego wskazówka niemal mnie przebiła – co wydawało się szaleństwem, nawet we śnie. W Dworcach Chaosu nie ma słonecznych zegarów, ponieważ nie ma tam słońca. Znalazłem się na brzegu dziedzińca pod wysoką ciemną wieżą. Nie mogłem się ruszyć, nie mówiąc już o wstawaniu. Nade mną moja matka, Dara, stała na niskim balkonie w swojej naturalnej postaci i spoglądała na mnie w swej straszliwej mocy i pięknie.

– Matko! – krzyknąłem. – Uwolnij mnie!

– Posłałam kogoś, by ci pomógł – odpowiedziała.

– A co z Amberem?

– Nie wiem.

– A mój ojciec?

– Nie mów do mnie o umarłych.

Wskazówka przesunęła się z wolna, ustawiła nad moją krtanią i zaczęła opadać, stopniowo, lecz

stale.

– Pomóż mi! – wrzasnąłem. – Szybciej!

– Gdzie jesteś?! – zawołała. Rozglądała się, a jej oczy biegały nerwowo. – Gdzie zniknąłeś?

– Tutaj! – wrzeszczałem.

– Gdzie jesteś?

Wskazówka dotknęła mojej szyi... Wizja pękła i rozpadła się.

Siedziałem z wyciągniętymi nogami, oparty o coś twardego. Ktoś właśnie ścisnął mnie za ramię, a ręka musnęła szyję.

– Merle, co z tobą? Chcesz pić? – zapytał znajomy głos.

Odetchnąłem głęboko. Zamrugałem. Światło było niebieskie, a świat zmienił się w powierzchnię linii i kątów. Przy moich ustach pojawił się kubek wody.

– Masz. – To był głos Luke’a.

Wypiłem wszystko.

– Chcesz jeszcze?

– Tak.

– Zaczekaj chwilę.

Poczułem, jak się przesuwa, słyszałem cichnące kroki. Obserwowałem słabo oświetloną ścianę o jakieś dwa metry przede mną. Dotknąłem podłoża. Było chyba z tego samego materiału.

Wkrótce powrócił Luke, uśmiechnął się i podał mi kubek. Wychyliłem go do dna.

– Jeszcze?

– Nie. Gdzie jesteśmy?

– W jaskini. Dużej i ładnej.

– Skąd wzięłeś wodę?

– Z bocznej groty, kawałek stąd. – Skinął ręką. – Jest tego parę beczek. I mnóstwo żywności. Zjesz coś?

– Na razie nie. Nic ci się nie stało?

– Trochę jestem poobijany – odparł. – Ale cały. Chyba nic sobie nie złamałeś, a ta rana na twarzy przestała krwawić.

– To przynajmniej coś.

Wstałem ostrożnie. Ostatnie strzępy snu odpływały z wolna. Zauważyłem, że Luke odwrócił się i odchodzi. Kilka kroków szedłem za nim, aż przyszło mi do głowy, że mogę zapytać.

– Gdzie idziesz?

– Tutaj – odpowiedział, wskazując kubkiem drogę.

Przeszliśmy przez otwór w ścianie, prowadzący do zimnej komory wielkości salonu w moim dawnym mieszkaniu. Po lewej pod ścianą stały cztery duże drewniane beczki. Luke zawiesił kubek na brzegu najbliższej. Po drugiej stronie dostrzegłem stosy kartonowych pudeł i worków.

– Puszki – oznajmił. – Owoce, warzywa, szynka, łosoś, suchary, słodycze. Kilka: skrzynek wina. Grzejnik. Mnóstwo paliwa. Nawet butelka czy dwie koniaku.

Zawrócił, wyminął mnie i skręcił w korytarz.

– Gdzie teraz? – spytałem.

On jednak szedł prędko i nie odpowiadał. Musiałem podbiec, by go dogonić. Minęliśmy kilka odgałęzień i przejść, wreszcie zatrzymał się i skinął głową.

– Tam jest latryna. Zwykła dziura, a nad nią parę desek. Sądzę, że lepiej ją czymś zakrywać.

– Co to jest, do licha?

Uniósł rękę.

– Za chwilę wszystko się wyjaśni. Tędy.

Skręcił za szafirowy występ i zniknął. Poszedłem za nim, prawie całkowicie zdezorientowany. Po kilku zakrętach i jednym nawrocie zgubiłem się zupełnie. Luke'a nigdzie nie było widać.

Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Cisza; tylko mój oddech.

– Luke! Gdzie jesteś?! – krzyknąłem.

– Tutaj – odpowiedział.

Głos dobiegał z góry i z prawej strony. Przebiegłem pod niskim łukiem i znalazłem się w błękitnej komorze z tej samej krystalicznej substancji, z której była zbudowana cała jaskinia. W kącie zauważyłem śpiwór i poduszkę. Przez niewielki otwór mniej więcej dwa i pół metra nad moją głową padało światło.

– Luke'!! – zawołałem znowu.

– Tutaj – padła odpowiedź.

Przesunąłem się bezpośrednio pod otwór w sklepieniu i mrużąc powieki spojrzałem w górę. Po chwili osłoniłem oczy dłonią. Głowa i ramiona Luke'a rysowały się wyraźnie, a włosy jaśniały miedzianym płomieniem w blasku zapewne wczesnego świtu lub wieczoru. Znów się uśmiechał.

– To, jak rozumiem, jest wyjście – stwierdziłem.

– Dla mnie – odpowiedział.

– Co to ma znaczyć?

Rozległ się zgrzyt i krawędź wielkiego głazu częściowo przesłoniła mi widok.

– Co tam robisz?

– Przesuwam kamień tak, żebym szybko mógł zablokować otwór – wyjaśnił. – A potem wbić jeszcze parę klinów.

– Po co?

– Nie udusisz się. Jest dość małych szczelin i powietrze będzie dopływać – mówił dalej.

– Świetnie. A dlaczego się tu znalazłem?

– Nie pora na egzystencjalne problemy. Nie jesteśmy na seminarium z filozofii.

– Luke, do diabła! Co się tu dzieje?

– To chyba jasne, że jesteś moim więźniem – odparł. – Nawiasem mówiąc, ten błękitny kryształ zablokuje wszelkie łącza Atutów i zneutralizuje twoje magiczne zdolności, które opierają się na obiektach poza tym ścianami. Potrzebny mi jesteś żywy, ale z wyrwanym żądłem, w miejscu, do którego mogę bez trudu dotrzeć.

Obserwowałem otwór i pobliskie ściany.

– Nawet nie próbuj – poradził. – Moja pozycja daje mi przewagę.

– Nie sądzisz, że winien mi jesteś jakieś wyjaśnienie?

Przyglądał mi się w milczeniu, wreszcie przytaknął.

– Muszę wracać – oświadczył – i podjąć próbę opanowania Ghostwheela. Masz jakieś sugestie?

– Nasze stosunki nie były ostatnio najlepsze. – Roześmiałem się. – Obawiam się, że nie zdołam ci pomóc.

Jeszcze raz kiwnął głową.

– Zobaczę, co da się zrobić. Boże, co to za broń! Jeśli nie zdołam sam jej użyć, wrócę tu i spróbuję wyciągnąć coś od ciebie. Pomyślisz o tym, dobrze?

– Będę myślał o wielu rzeczach, Luke. Niektóre bardzo ci się nie spodobają.

– Niewiele możesz mi zrobić.

– Na razie niewiele.

Chwycił głaz i zaczął go przesuwac.

– Luke! – krzyknąłem.

Przerwał i spojrzał na mnie z wyrazem, jakiego jeszcze u niego nie widziałem.

– Moje imię jest inne – oznajmił po chwili.

– A jakie?

– Jestem twoim kuzynem Rinaldem – wycedził. – Zabiłem Caine’a i niemal dostałem Bleysa.

Niestety, chybiłem bombą na pogrzebie. Ktoś mnie zauważył. Zniszczę ród Amberu, z twoim Ghostwheelem albo bez niego... ale gdybym dysponował taką potęgą, byłoby to o wiele prostsze.

– Z jakiego powodu, Luke... Rinaldo? Skąd ta wendeta?

– Caine’a zaatakowałem pierwszego – ciągnął – ponieważ to właśnie on zabił mojego ojca.

– Ja... nie wiedziałem. – Widziałem na jego piersi błysk broszy z Feniksem. – Nie wiedziałem, że Brand miał syna – dokończyłem.

– Teraz już wiesz, stary kumplu. To kolejna przyczyna, dla której nie mogę cię wypuścić i muszę cię trzymać w takim miejscu. Nie chcę, żebyś ostrzegł pozostałych.

– Nie uda ci się ten numer.

Zamilkł na moment, po czym wzruszył ramionami.

– Wygram czy przegram, muszę spróbować.

– Ale dlaczego zawsze trzydziestego kwietnia? – spytałem nagle. – Wytłumacz mi.

– Tego dnia otrzymałem wieść o śmierci ojca.

Pchnął głaz i zamknął nim otwór. Potem usłyszałem kilka uderzeń.

– Luke!

Nie odpowiedział. Przez półprzejrzysty kryształ widziałem jego cień. Po chwili wyprostował się i zniknął mi z pola widzenia. Słyszałem, jak jego buty uderzają o ziemię nade mną.

– Rinaldo!

Milczał. Usłyszałem tylko oddalające się kroki.

* * *

Znaczą dni rozjaśnieniami i zaciemnieniami niebieskich kryształowych ścian. Minał już miesiąc mojego więzienia, choć nie wiem, jak szybko płynie tu czas w stosunku do innych cieni. Przemierzyłem każdy korytarz i każdą komorę wielkiej groty, ale nie znalazłem drogi wyjścia. Moje Atuty tu nie działają, nawet Atuty Zguby. Moja magia jest bezużyteczna, ograniczona ścianami barwy pierścienia Luke’a. Zaczynam żywić przekonanie, że z radością powitałbym nawet ucieczkę w chwilowe szaleństwo. Lecz rozum nie chce mu się poddać, gdyż zbyt wiele nęka mnie zagadek: Dan Martinez, Meg Devlin, moja Pani z Jeziora... Dlaczego? I po co tyle czasu spędzał w moim towarzystwie Luke, Rinaldo, mój wróg? Muszę znaleźć sposób, by przekazać ostrzeżenie.

Jeśli zdoła obrócić przeciwko nim Ghostwheela, wtedy marzenie Branda – koszmarna zemsta z mojego snu – zostanie zrealizowane. Rozumiem teraz, że popełniłem wiele błędów... Wybacz mi, Julio... Raz jeszcze przemierzę granice swego więzienia. Gdzieś musi istnieć luka w otaczającej mnie logice błękitu i w tę lukę cisnę swój umysł, swoje krzyki, swój gorzki śmiech. W tej sali... na końcu tego tunelu... Błękit jest wszędzie. Cienie nie wyprowadzą mnie stąd, gdyż tutaj nie ma cieni. Jestem Merlinem uwięzionym, synem Corwina zaginionego, a mój sen o jasności został obrócony przeciwko mnie. Krążę po więzieniu niby upiór samego siebie. Nie pozwolę, by skończyło się to w taki sposób. Może w następnym korytarzu, może w jeszcze następnym...

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 3](#)

[Rozdział 2. 13](#)

[Rozdział 3. 23](#)

[Rozdział 4. 32](#)

[Rozdział 5. 43](#)

[Rozdział 6. 61](#)

[Rozdział 7. 83](#)

[Rozdział 8. 101](#)

[Rozdział 9. 117](#)

[Rozdział 10. 128](#)